

KAZIMIERZ WODZICKI

JAKO MYŚLIWY.

napisał

Alexander Rembowski.



WARSZAWA.

Nakładem Gebethnera i Wolffa.

—
1891.

Dot. Lep. Ornifolog.

WYDAWNICTWA
GEBETHNERA I WOLFFA

w Warszawie.

Bałucki Michał. Romans bez miłości. Szkic powieściowy z galeryi serc kobiecych	1 —
Bareille J. Emilia Paula, powieść historyczna z czasów pierwszych chrześcian, z francus. przełoż., 2 tomy, Kraków	— 80
Berlicz-Sas (Strutyński). Dwie babki, pamiętnik. (I. Pani kasztelanowa trocka. II. Pani starościna horodelska). 2 tomy	2 —
Braddon E. M. Nad przepaścią. Powieść. Przekład T. Marenicza	— 80
— Tajemnica grobu. Powieść. Przekład z angielskiego M. Faleńskiej	— 75
Buchanan R. Cień miecza. Przekład z ang. H. Dalewskiej	1 —
Burzyński K. Tahir Bej. Powieść ze wspomnień życia obywatelowego, 2 tomy	1 80
Bykowski Piotr Jaxa. Dwór królewski w Grodnie. Epizod biograficzny (1795—97).	— 80
— Glinkowie. Stara historia starego rodu	— 75
— Jełowiczowe Bukojemscy. Historia prawdziwa dawnej rodziny i kawałka ziemi. Z archiwów i podań rodzinnych	— 75
— Lepsze dobre imię, niżli maśćcie drogie. Historia starej bramy zamkowej	1 20
— Memoryalik palestranta trybunalskiego. Kraków.	1 50
— Ostatni sejmik województwa Braclawskiego ze współczesnego rękopismu dosłownie przepisal.	1 —
— Pamiętniki Włóczęgi. Serya nowa: Myszures, Pięknne gałganki	1 50
Byr Rob. Andor, romans, przełożył F. Sulimierski	1 20
Chłędowski Kaz. Królowa Bona, obrazy czasu i ludzi. 2 t.	1 80
Chojecki E.	1 50
Clay B. M.	— 60
Daudet Ali	2 —
Delpit Alb	— 60

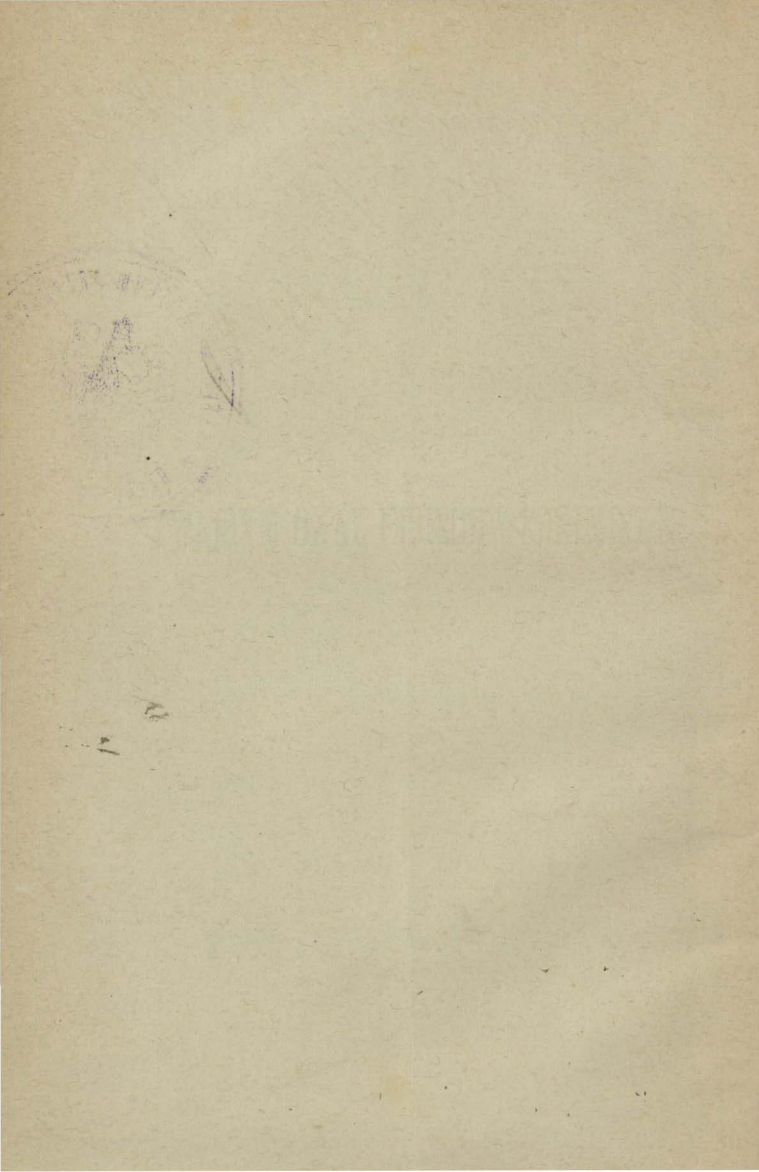
panowemu Panu Holennu
na pamiątkę

k. 19/9 41.

Autka



KAZIMIERZ WODZICKI JAKO MYŚLIWY.



KAZIMIERZ WODZICKI

JAKO MYŚLIWY.

napisał

Alexander Rembowski.



NARODOWE MUZEUM PRZYRODNICZE
DZIAŁ ZOOLOGICZNY
Biblijoteka. № Inwent. 3920

WARSZAWA.

Nakładem Gebethnera i Wolffa.

—
1891.

27

(18569)



Дозволено цензурою.
Варшава 27 Мая 1981 г.



Druk E. Lubowskiego i Ski, Mazowiecka № 8.

Jabym cię wiecznie słuchał, pieśni boru dzika,
Pośród burzliwej życia mojego zawiei...
Tyle śpiewu w twym szumie i tyle nadziei
Wieścisz skołataniem sercu samotnika.

S.

Wyobrażam sobie, że każdy z wykształconych myśliwych, rozproszonych po różnych ustroniach naszej ziemi, ujrzawszy jastrzębia, pławiącego się w pogodnym niebie, lub jaskółkę, która szybując, rzuci mu w szczeciocie życzliwe powitanie, mimowoli wspomni Kazimierza Wodzickiego. Nie przypuszczam bowiem, aby do dworów wiejskich nie zawitał choć jeden z owych ptaków, odtworzonych prześlicznie w zapiskach jego ornitologicznych, a gdy się raz taki ptak zjawił, wówczas przyciągał za sobą inne i przykuwał na zawsze uwagę myśliwego, pobudzając go do czynienia własnych obserwacyj.

Nie przypominam sobie, aby jakakolwiek rzecz w druku interesowała w równym sto-

pniu najzagorzalszych myśliwych i łowców, jak „Zapiski ornitologiczne“ Wodzickiego. Wywoływały one zwykle żwawe turnieje polemiczne, ale nie w łamach dzienników, tylko w kniei, wśród chwilowego wytchnienia, lub przy obozowisku nocnem. Wówczas Wodzicki wśród sędziwych nemrodów znajdował nietyle szyderczych krytyków, ile życzliwych obserwatorów, którym się udało podkraść z życia ptaków lub zwierząt kilka tajemnic, nieznanych jemu samemu. Zazwyczaj wówczas odzywał się jakiś sędziwy hetman kniejowy w sposób mniej więcej następujący: „Wodzicki przytacza o jastrzębiu gołębiarzu takie a takie zdarzenia, mnie zaś przytrafiły się dwa lub trzy wypadki jeszcze osobliwsze“. Tu następowało opowiadanie, rzucające zwykle jaśniejsze światło na charakter dzikiego ptaka lub zwierza. Nadto dodać winienem: że posiwiali w łowach kniejoci, czytający „Zapiski“ Wodzickiego, uważali się za jego kolegów i towarzyszków, choć go nigdy w życiu nie widzieli na oczy. Nikomu z nich nie przyszło też na myśl uważać Wodzickiego za uczonego przyrodnika, lub za artystę-literata, odtwarzającego piękno w naturze. Podobnie fantastyczne posądzenia odsuwali oni daleko od siebie, przyznając mu za to bezspornie: iż we wszystkich stronach kraju nale-

żała mu się godność nietylko nestora, ale i najpierwszego z myśliwych polskich.

Jednakże, ktoby mniemał, że w „Zapiskach ornitologicznych“, lub w innych pracach Wodzickiego, niema głębokiego znawstwa przyrody, które mu zapewniało, nawet w rzędzie uczonych, poważane stanowisko, tenby się kapitalnie pomylił. Wodzicki, nietylko sam umiejętnie i przy pomocy nauk przyrodniczych obserwował, lecz starał się zarazem z obserwacyami innych zapoznać. Dlatego to studia ornitologiczne i myśliwskie traktaty obcych literatur wertował pilnie, a nawet, pisząc monografię o sokolnictwie, zapoznał się z historią literatury, powyższego przedmiotu dotyczącej. Uczeni przyrodnicy, jak np. Taczanowski¹⁾, posilkowali się często spostrzeżeniami Wodzickiego i nie raziło ich to bynajmniej, że kreśląc swe „Zapiski“, nie przystrajał się w urzędową togę uczoną, lecz pozostawał zawsze w formie, treści i tonie prawdziwym myśliwym.

Właśnie tej okoliczności, że w „Zapiskach“ tkwi zaklęty myśliwy, zawdzięczają prace Wodzickiego ów nieprzeparty urok, jaki wywierają na nemrodową rzeszę. Każdy ptak Wodzickiego, w „Zapiskach“ schwy-

1) „Ptaki krajowe“.

cony, to nie wypchany egzemplarz, wymierzony i opisany z benedyktyńską skrupulatnością przez fachowego ornitologa. Ptak Wodzickiego staje przed wyobraźnią naszą piękny, żywy, z całym zasobem swych przyzwyczajęń oraz przebiegów i z bogatym skarbem śpiewnej mowy, pełnej najróżnorodniejszych gwarów, tkliwych kwileń, namiętnych pień i ostrzegających świstów. Wodzicki odtwarza nam każdego ptaka, lub zwierza, w pełnym przebiegu żywota. Beztroska niemowlęctwa, porywy młodości i dolegliwość sędziwości, wszystko to skreślone jest z niezaprzeczonem poczuciem prawdy. Rozkosze pożycia rodzinnego, wady i przymioty charakterów obojej płci, a nadewszystko niebezpieczeństwa dalekich wędrówek, w które z jesienią, zarówno drobne ptasze, jak i potężni możnowładcy powietrzni, wyruszyć muszą, pochwycił Wodzicki tak umiejętnie, że zdaje się, iż natura swemu ulubieńcowi odkryła nieprzebrane skarby powabów, ukryte przed oczyma zwykłego śmiertelnika.

Wodzicki potrafił też podpatrzyć najskrytsze tajniki życia ptaszego. Czasami był świadkiem wzruszających scen poświęcenia, częściej jednak wstrząsał nim widok zbrodni i przestępstw, które ani na chwilę nie przygłuszyły w nim litości i przywiązania

do skrzydlatych winowajców. Daremnie drobna sikorka, lub napuszysty bąk, starał się przed Wodzickim ukryć gorętsze objawy przywiązania małżeńskiego. Po za kotarą z gęstwiny zielonej, lub z nieprzebitego szuwaru, pewny swego utajenia ptak, dawał się podejrzeć przenikliwemu oku myśliwca, który z cierpliwością bez granic badał rysy jego charakteru. Wodzicki dawał nam jednak ptaka, nie tylko w boju i pokoju, w radości i smutku, w świetności młodocianej i w zgnębieniu zgrzybiałym, ale nadto odtwarzał tegoż ptaka w otoczeniu wspaniałem natury, w jakim go każdy z myśliwych podziwiał i zdobywał.

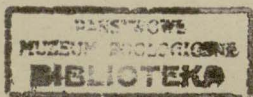
Dlatego to każdemu z sędziwych nemrodów „Zapiski“ Wodzickiego pachniały żywicą puszczy lub sianokosem rozległych łąk. Z obrazów jego zdawał się podnosić opar, osłaniający wieczorem lesiste moczary, lub pierzchały poranne mgły przed promykiem wschodzącego słońca, zakłętę w jego opowieści. Gwary radosne wiosennych przybyśzów, zarówno jak i smętne przedodlotne sejmy ptasie, niepochwytne, a tak różnolite czar lasu, w czterech porach roku—cały ten i tak pełny skarb naszej natury, przedstawił Wodzicki w swoich pracach. Niezawodnie miał on potężnego i zwycięskiego współzawodnika w Adamie Mickie-

wiczu. Kto z nas jest w stanie zapomnieć ów przedziwnego uroku obraz litewskich lasów, skreślony w „Panu Tadeuszu“, lub ów przyłot z odległej wędrówki rzeszy ptasiej, gdy „w ciemnej głębi nieba wciąż jęczą żórawie“. Są to niedoścignione arcydzieła, w których na każdym kroku znać duchowe piętno genialnego wieszca. Ale jeżeli puszcze litewskie i cała natura kraju występuje w „Panu Tadeuszu“ nieporównanie piękną, to w pracach Wodzickiego jest ona nieporównanie rzeczywistą. Znać w nich myśliwego, który zżył się z puszczą, jak z domem własnym i na stanowiskach spędził więcej czasu, niż w pokoju. Do odtwarzania zaś obrazów natury, język dostarczał Wodzickiemu tak pięknych i świeżych barw, że czytającemu mimowoli zdaje się, że widzi poranną rosę na brodatych mchach i wrzosach, lub słyszy chrzęst śniegu pod racicą czarnego lub czerwonego zwierza. Dlatego to myśliwi, czytając prace Wodzickiego, uważają go za swego „primus inter pares“ i nie zechcą go nigdy ustąpić fachowym uczonym przyrodnikom, lub w ogóle pisarzom z fachu.

Z tego samego powodu postanowiłem przejrzeć drukowaną spuściznę Wodzickiego, bo ją uważam za owoc spostrzeżeń rozumnego i wykształconego myśliwego. Zanim jednak

do głównego zadania przystąpię, muszę się wytłómaczyć, co rozumiem pod wyrazem „myśliwy“. Łatwo bowiem mógłby mnie spotkać zarzut, że, jak pewna część łowców, lekceważę uczonych przyrodników, a myśliwym przypisuję nadprzyrodzone instynkta. Aby więc uniknąć nieporozumień i oddać należytą cześć nauce specjalnej i jej pracownikom, zastanowię się cokolwiek nad znaczeniem i treścią wyrazu „myśliwy“, a następnie postaram się przekonać, że Wodzicki niekiedy tylko uważał się za ornitologa na małą skalę, zawsze zaś poczuwał się w szczyrim, myśliwskim majestacie.

Język nasz posiada nazwę „kłusownika“, co do znaczenia której, prawdopodobnie, sporów nie będzie. Kłusownik, czyli rabuś zwierzyny, jest łowcą, znającym jeden cel tępienia zwierza dla materialnego zysku. Pomiedzy jednak wyrazami: łowca i myśliwy jest już niewyraźna granica i na ściśle oznaczenie obu terminów niema zgody między powagami. Sądzę, że same wyrazy powinny być decydującemi. Łowca poświęca nade wszystko całą zmysłność i przebiegłość w celu złowienia czujnego a trwożliwego zwierza. Jedna więc strona myśliwskiego życia wyczerpuje jego uwagę, tymczasem myśliwy „przemysłiwia“ nietylko nad złapaniem zwierza, ale i nad podtrzymaniem oraz



rozmnożeniem pożytecznych gatunków. Myśliwy jest przede wszystkim wybornym gospodarzem w lesie i w polu, on ochrania zwierzynę od drapieżnych jej wrogów i jeszcze drapieżniejszych kłusowników. On myśli nad tem, jak dostarczyć pożywienia swej zwierzynie w silne mrozy, jak jej zabezpieczyć spokój w czasie trosk rodzinnych i wreszcie zastanawia się, jaką odsetkę wolno mu zabrać na spożycie.

Myśliwemu nie są bynajmniej obce powaby umiejętnych łowów. I w tym kierunku przemyśliwa on nad udoskonaleniem sposobów podejścia zwierza. Tylko, że w myśliwym panuje harmonia pragnień i zabiegów. Nietylko myśli on nad tem, co wziąć naturze, ale troszczy się o to, co jej dać w zamian za chwilowe łupy ²⁾).

²⁾ Kozłowski: „Początki terminologii łowieckiej, S. XI“, utrzymuje odmiennie. Według niego, wyraz „myśliwstwo“ pochodzić zdaje się od słowa „myśleć“, bo człowiek, mający upodobanie w myśliwstwie, błąka się po lasach, a czatując na przesmyku na zwierza, musi ciągle natężyć umysł i obmyślać sposoby, za pomocą których mógłby najłatwiej zwierza znaleźć i ubić, używając do tego broni ognistej i psów. Z tego określenia okazuje się, że myśliwstwo jest tylko częścią łowiectwa.

Do przyjęcia wprost przeciwnej terminologii skłonił mnie przede wszystkim ten wzgląd, że w dawnej Polsce tak a nie inaczej pojmowano wyraz „myśliweca“,

Nie ulega żadnej wątpliwości, że powyższe pojęcie myśliwego powoli się tylko pozbywało charakteru rabunkowego łowiectwa. Z tem wszyskciem, w naszej literaturze dawniejszej są pomniki, dowodzące, że myśliwstwo uważano za zbliżone i pobratymcze z rycerstwem, a wszelkie zyski, z tego zawodu płynące, z góry wykluczano. Ostroróg, dedykując królewiczowi Władysławowi IV-mu swe „Myślistwo z ogary“, uprzedza, że „myśliwstwo ma w sobie wielką pracowitość i wielką pociechę. Człowiek myśliwy nie dośpi, nie doje, upragnie, umoknie, uziębnie, uznosi się, na szkapie się ukołace — ba, i z niego potłucze, a wszystko mu to lekko, dla tego smaku, który w myśliwstwie czuje. Nie trzeba też mieć

uważając łowy i łowców za część podrzędną jego zawodu. Pod tym względem znajdujemy wyjaśnienie w dziele p. t. „Ordynacja korolewskich puszczy“ (Wilno 1871), w którym wydrukował Paweł Szrednicki, pisarz skarbowy J. K. Mości, „Ordynacyę puszczy J. K. M. Wielkiego X. L.“ W powyższej, bardzo ciekawej ordynacyi dla puszczy litewskich, znajdują się określone powinności myśliwca, z których przekonać się można, że łowy stanowiły tylko podrzędną część jego zawodu, główną zaś pieczołowitość o zwierzo- stan i chronienie go od klęsk natury i od drapieżników. Strzelcy zaś byli specjalnie do łowów przeznaczeni i nad nimi nadzór mieli myśliwcy (str. 85 i 86).

myśliwstwa za lada co, zawdy to uczciwa zabawka między rycerskie zabawki, zawdy za jakieś wyobrażenie wojny poczytaną była“.

Jakkolwiek Ostroróg uważał myśliwstwo za rycerską zabawkę i cieszył się z tego, że szlachcicowi polskiemu wolno było zażywać łowieckiego przywileju, jednak ostrzega, że godzi się zażywać myśliwstwa „uczciwego i szlacheckiego, nie zyskownego, ze psy i ptaki, nie sieciami i sidłami, wyjąwszy puszcze i ostępy zwierza wielkiego“.

Już zatem słynny myśliwy polski z roku 1618-go pojmował „uczciwe myśliwstwo“, z którego wykluczano zysk i środki tępiące zwierza. Pojęcie zaś racjonalnego myśliwstwa rozwinęło się wprawdzie znacznie później, ale każda epoka u nas, poczynszy od XVI-go wieku, posiadała myśliwych, górujących nad rabunkowym systemem i pragnących bezmyślnemu tępieniu położyć tamę.

Ponieważ każdemu myśliwemu idzie nie tylko o łowienie, lecz i o zachowanie pożytecznych gatunków zwierza, przeto musi z natury rzeczy wszechstronniej, niż łowca, zbadać zwyczaje dziczyzny i zapoznać się z przyrodą, wśród której ona się chowa. Właśnie te obserwacye, tak cenne dla

przyrodnika ³⁾, przywiązują powoli myśliwego do zwierzostanu, jaki posiada i do natury, jaka tych dzikich wychowalców ukrywa. Myśliwy też w łowach nie zadawalnia się zwykłym mordem, wystarczającym dla kłusownika. Tylko trudny strzał jest pięknym strzałem, tylko karkołomna pogoń, warta trudu. Dla myśliwego, knieja, step lub moczary, są światem całym, nie dlatego bynajmniej, żeby łaknął łupów i oczekiwał chwili, w której na widelcu ujrzy, nietylko zabitego, ale i upieczonego zwierza, lecz dlatego, że ocenia wybornie czary dzikiej natury i że napawa się pięknem, jakie umie dojrzeć na każdym kroku i w każdej porze dnia, albo lata.

Dla należytego odtworzenia myśliwskiego świata, myśliwy używa specjalnego języka i dawniej przestrzegano surowo, aby nermrodowa rzesza tą jedynie mową się posługiwała ⁴⁾. Nietylko każda część budowy zwierza i ptaka miała swoją odrębną nazwę, ale wszystkie zwyczaje ujęte zostały w jędrną a obrazową formę. Chociaż np.

³⁾ Taczanowski: „Ptaki krajowe. Tom I. Przedmowa“. Część obyczajową, najwięcej przedstawiającą interesu i dającą najrozleglejsze pole do obserwacji, treściwie także podaje.

⁴⁾ Kozłowski: „Pierwsze początki terminologii łowieckiej, S. VII“.

Mickiewicz w „Panu Tadeuszu“ każe w głębi ciemnej nieba jęczeć żórawiom, myśliwy, szanujący spuściznę swych poprzedników, nazwie odgłos żórawi „klangorem“; tak samo słonka Mickiewicza nie będzie dla myśliwca wśród ciągu wieczornego lub porannego szeptać, lecz chrapać. Mogą też wszyscy poeci nazwać miły śpiew wieczorny drozda jak najwdzięczniejszemi przymiotnikami, myśliwy utrzymywać będzie, że „skrzypi“, że kos piskoce, słowik lamentuje, orzeł szczeka, sęp kłapa, chruściel strzyka, głuszec pucha, sroka brzecha i t. p. ⁵⁾).

Tak samo głosy, które wydaje zwierzę czworonogi, oddane są obrazowo. Wilk trąbi, ryś warczy, żbik mlaska, wydra śwista, żubr beczy, a dodać należy, że głosy, wydawane w czasie turniejów miłosnych, mają jeszcze oddzielną terminologię. W budowie zwierza, każdy organ, lub ozdobę wydatniejszą, starał się myśliwy określić dosadnym wyrazem. Rogi np. jelenia nazywają się w języku myśliwskim wieńcem, sarnika — parostkami, daniela — rosochami. Uszy jelenia to łyżki, ryj dzika to gwizd, wąsy zająca to strzyże, zęby strugi i t. d. Jeżeli zwierzyna znajduje się w stanie dobrym

⁵⁾ Podług Kozłowskiego. „Początki terminologii łowieckiej“.

i jest tłustą, wówczas ją przezywają specjalnym terminem. Zając jest wtedy skromny, jelen krasny, dzik sadlisty, bekas oblany, kuropatwa pyszna, drop' ciężki, sarna łojna, przepiórka tuczna i t. d.

Nietylko że myśliwy ujął w swoją mowę każdy ruch, głos, przyzwyczajenie i organ zwierza, ale nadto w myśliwskim świecie urządził pewną skalę hierarchiczną dla zwierzyny. Sztuka, jest to ranga średnia, którą może pozyskać tylko para gołębi; tymczasem każdy zając z osobna, każdy krzyk, kaczka, jarząbek liczony jest za sztukę. Głuszcza zaś jest wielkim dygnitarzem kniei, bo jest liczony za sztuk cztery ⁶⁾.

Do świata myśliwskiego należała broń z przyborami myśliwskimi, a przytem, jako dzielni pomocnicy w wytropieniu, i pościgu zwierza, konie i psy. W następstwie nieuniknionem, ogarnęła mowa myśliwska, z taką samą troskliwością i dobozem i te ważne czynniki w myśliwskiej pracy. Każda też część składowa broni, każdy przybór miał swą jędrną i dosadną nazwę. Cóż dopiero mówić o psach, tych towarzyszach, nieomal przyjaciołach myśliwego? Każdy z nich był najskrupulatniej odtworzonym w mowie, a nawet, jeśli goniły pospołu, jak np.

⁶⁾ Bobiatyński: „Nauka łowiectwa“. T. I. Str. 12.

gończe, wówczas indywidualne przymioty i charakterystyka bywały jak najściślej zachowane. Tak np. już w r. 1608-m, u nas, dzielono gończych, stosownie do przymiotów, okazywanych we wspólnej pogoni, na pięć klas. Klasy te szły w takim porządku: przejemca, popądźca, gońca, wyprawca i poprawca ⁷⁾. Głosy nawet ogarów, jak się z Ostroroga przekonywamy, dzielono na rzewliwe, jadowite i niedbałe. „I ta korektura jedna taka jest najgrzeczniejszą, jaka we wszystkiej muzyce, żeby ze wszystkich głosów miała w sobie, co trzeba, od najmniejszych do najcieńszych, a możnali, żeby wszystkie były rzewliwe a jadowite, niedbałe zaś nie zdołają w gonieniu psów“ ⁸⁾.

Nietylko jednak zwierzyna wypełniała świat myśliwski. Pozostawała jeszcze przyroda martwa, którą ożywiały rzesze ptaków i stada dzikiego zwierza. Owe wspaniałe mieszkania powietrzne, lub nadwodne, ogarnął także myśliwy swoją mową i wcielił na zawsze do swego świata. Każde wybitniejsze, swym odrębnym charakterem, miej-

⁷⁾ Kraszewski: „Pomniki do historii obyczajów w Polsce“, 1843. O psiech gończych i myśliwstwie z nimi, str. 122. Pismo dedykowane Ostrorogowi.

⁸⁾ Ostroroga: „Myśliwstwo z ogary“, wyd. Turowskiego, str. 42.

sce w lesie, na górach, w stepie, lub na moczarach, otrzymało odrębną nazwę, uosabiającą w jednym wyrazie, pełny obraz. Dąbrową nazwano las, dębami wyłącznie zarosły; parów otrzymał nazwę jaru lub debry; jarug, albo chmal, to las gęsto podszyty, trudny do przebycia, w którym wilczyca (wедера) szczenięta wywodzi; bajor, kaleń, to miejsce niskie wśród lasu, które nigdy nie wysycha; chrapy, to miejsce niskie wśród lasu, większą część roku wodą zalane, przez które tylko przeskakując z kępy na kępę przejść można; czerot, to bagno wśród lasu, zarosłe trzciną, sitowiem lub tatarakiem; gan znowu, to wierzch wzgórza, lub wysoki brzeg parowu, lasem pokryty.

Moczary, będące siedzibą wodnego i błotnego ptastwa, cieszą się także przeróżnymi nazwami. Łazy np., to miejsce bagniste, gdzie rosną rozmaite chrusty; moczar, mokradła, oparzelisko, źródlisko, to miejsce, gdzie woda nigdy nie zamarza; sapisko, to błoto iłowate, głębokie, niebezpieczeństwem grożące; werdnia, to miejsce bagniste, darniną pokryte; wiszar wreszcie, to miejsce bagniste, trzciną i trawą wysoką zarośnięte. Tak samo wody bieżące i źródelka wszelkiego rodzaju, noszą nazwy paników, strug, ruczaj, potoków, krynic, wypchliska,

zdroju i t. p., a prócz tego każda część kniei lub błót, zapełniona przeważnie jednym gatunkiem zwierza, nosi zwykle specjalną nazwę, jak np. czarną knieją nazywają zwykle część lasu, gdzie stale przebywają dziki ⁹⁾).

Tej jędrnej, obrazowej mowy, nie stworzyli jednak sami myśliwi. Część lwia zasługi trzeba tym razem przyznać kłusownikom i łowcom, którzy, tępiąc zwierza, przywiązali się do swego zawodu i do pięknej natury, wśród której koczowali przez większą część życia. Ktoby chciał wątpić w prawdę powyższych słów, ten niech tylko pozna kłusowników tatrzańskich i owego słynnego eks-opryszka i gęślarza Sabałę, którego gwarę myśliwską i temperament kłusowniczy odtworzył z taką prawdą i artystyzmem Witkiewicz ¹⁰⁾. Gdyby też nie ci nieubłagani kłusownicy Tatr, nie byłby w stanie Nowicki opowiedzieć tyle ciekawych szczegółów o kozicy antylopie, a tembardziej nie byłby w możności zaopatrzyć swej rozprawy w prawdziwe skarby myśliwskiej mowy ¹¹⁾).

⁹⁾ Kozłowski: „Słownik leśny, bartny, bursztyński i orylski“, Warszawa 1846, tomów dwa; ztąd czerpałem odpowiednią terminologię.

¹⁰⁾ „Na przełęcz“.

¹¹⁾ „Kozica-antilope, rupicapra, gemse“. Przegląd polski 1868.

Jakkolwiek jednak kłusownicy przygotowali przeważnie materiały do myśliwskiej mowy, to jednakże myśliwi, przyjmując ją za swoją, wśród nowych warunków gospodarstwa myśliwskiego, podnieśli jej znaczenie i uszlachetnili ją jeszcze bardziej. Wykształcony myśliwy, posługując się myśliwską mową, nie ulegał ślepo zwyczajowi, lecz oczyszczał terminologię z gwar prowincjonalnych, dobierając te wyrazy, które najdosadniej przedstawiały treść, czyli rzecz samą. Myśliwego też w produkcjach literackich poznać można odrazu. Przedewszystkiem nie zdradzi on swej specjalnej mowy i nie użyje terminu niewłaściwie. Tylko też W. A. Maciejowskiemu mógł się zdarzyć tego rodzaju wypadek, że nazwy, czyli przezwiska psów, jak np. doskoczów, latawców, pieszczorochów, pożarów, wziął za odrębne gatunki, jak np. ogarów, chartów i wyżłów; albo że doszukał się tego, że dawniej u nas nazywano żubrów odyńcami¹²⁾.

W odpowiedzi też na tak oryginalne odkrycia, zauważył Wodzicki ironicznie, że z całej, na próżno zmarnowanej pracy widać, że autor nie był w swem życiu ani

¹²⁾ Orędownik naukowy, 1841, Nr. 16: „Łowy polskie aż do XVII wieku“, str. 127.

razu w kniei ¹³⁾. Była to zemsta najwyższa, a dla Maciejowskiego nie dotkliwa. Wykreślono go bowiem z grona myśliwych, do których nigdy należeć nie pragnął — ale prawdopodobnie odebrano mu w przyszłości ochotę do publikowania swych odkryć, dziejów polskiego myśliwstwa dotyczących.

Następnie, produkcyje literackie myśliwych noszą jeszcze inne charakterystyczne piętna. Przedewszystkiem myśliwy stara się odtworzyć charakter ptaka lub zwierza, żyjącego na swobodzie lub nawet w niewoli i dlatego zwykle w formie anegdotycznej przedstawia zwyczaje dziczyzny, począwszy od gniazda lub barłogu, aż do zgrzybiałości. Myśliwy nie zwykł polegać na spostrzeżeniach pastuchów, wprowadzających często w błąd, kłamliwą opowieścią, przyrodników, ani nie ufa kłusownikom, puszczającym równie, w celach wyzysku, wodze fantazyi. Zwyczaje i przebiegi zwierza zwykł myśliwy badać sam, lub sprawdzać ostrożnie osobliwsze wypadki, obserwowane przez innych, aby nie paść łupem łatwowierności. Myśliwy nie tylko wtedy obserwuje zwyczaj, gdy łowieckie zamiary wabią go do lasu lub na moczary. Z wczesną wiosną otacza on troskliwością i przyjmuje nawet ży-

¹³⁾ „Przyjaciel ludu“, 1841. Leszno, Nr. 26.

wy udział w rodzicielskich kłopotach zająca; później zaś kuropatwie, której gniazdo zostało przypadkiem wysieczone, przychodzi stale z pomocą, skarbiąc sobie jej zaufanie w ciężkich chwilach. Gnieźdzące się w ogrodach grzywacze, turkawki, wilgi, niekiedy drozdy, są przedmiotem jego nieustającej bacności i jeżeli dostarczaniem żeru zajmować się nie może, to przynajmniej zapewnia im spokój i chroni od licznych wrogów.

Nie ulega żadnej wątpliwości, że i myśliwy najchętniej bada zwyczaje zwierząt i naturę je otaczającą, wówczas, gdy go nęca powaby łowiectwa. Nikt z większem, niż on, wzruszeniem nie wsłuchuje się w wiosenną pieśń poranną, jaką rzesze ptasze witają pierwsze brzaski słoneczne. Czeka on w ukryciu namiętnego grania tokowego cietrzewia lub głuszców, lecz nie ujdzie uwagi jego żaden głos, żaden ruch w naturze, począwszy od „przepierowania“ ledwuchny, skowronka leśnego, a skończywszy na dziwnych zwrotach lisioogonnej strategii (Fuchschwänzelei). Tak samo, nikt z większem, niż on, wzruszeniem nie wsłuchuje się w wiosenną pieśń wieczorną, gdzie go nęci chrapanie, czyli, jak Mickiewicz określa, „szept ciągnącej słonki“. Czar natury, budzącej się ze snu zimowego, przejmuje myśliwego do głębi

i pozwala mu zapomnieć o trudach i niewyuczasiu, których bardzo często, skromne łupy zupełnie nie wynagradzają. Ileż też czasu poświęcił Wodzicki na mozolne obserwacye, pozbawione łowieckich zamiarów. Cały opis „rui“ sarni zawdzięczamy jego zapałowi badawczemu, a spostrzeżenie powyższe nie jest bynajmniej jedynem, lecz spotykamy ich mnóstwo, rozrzuconych po jego studyach.

Badanie zwyczajów dziczyzny oraz natury, wśród której zwierz przebywa, nadaje produkcjom literackim myśliwego pewne charakterystyczne piętno prawdziwości i świeżości, jakich inne prace nie posiadają. Zarówno jak w obrazie malarza-myśliwego da się odczuć prawda i piękno, czy to w odтворzeniu głębi lasu, lub postaci dzikiego zwierza, tak i myśliwy-literat pozostawi w swem studyum wrażenie istotnego życia, gdzie rozmarzona fantazyja nie rozwielnia się kosztem prawdy. Olbrzymi talent nie zastąpi bynajmniej owego zbratania się z naturą żywą i martwą, owego temperamentu, który dawniej nazywano „żyłką myśliwską“. Powoływania się na „Pana Tadeusza“ nie uważałbym za zupełnie usprawiedliwione, aby zaprzeczyć memu zdaniu. Mickiewicz bowiem sam o sobie powiada, że był lichym myśliwym, ale w każdym razie

był nim i żył wśród rzeszy dzielnych nemrodów litewskich, od których przejął zamiłowanie do puszczy i do badania życia łowieckiego.

Jeżeli jednak przepiękne opisy z „Pana Tadeusza“ zaliczymy do szeregu wyjątkowych utworów, choćby lichego myśliwego, to w późniejszej i współczesnej nam literaturze polskiej, nikt chyba nie zdradził w umysłowych tworach tyle wybitnych przymiotów myśliwego, co Wodzicki. Nieporównany urok świeżości i prawdziwości panuje w jego opisach i zwycięsko wychodzi, w porównaniu z wielkimi talentami pisarskimi, jak i z uznaniami powagami naukowymi. Nie chciałbym, aby mnie posądzono o stronność w poglądzie i przekonaniu; dlatego pozwolę sobie zwrócić uwagę na jedną przynajmniej kwestyę w poparciu mojego zdania.

Wiadomo wszystkim, jaki nieprzeparty urok wywiera na każdego inteligentnego człowieka olbrzymi las, zwany puszczą. Poeta, zarówno jak i powieściopisarz, podróżnik, zarówno jak malarz i muzyk, stara się odtworzyć to wrażenie, jakie ogarnia każdego, kto się zagłębia w ten świat tajemniczy i posępny. Im naturalnie owa puszcza jest większą, im groźniejsi są możnowładcy, zamieszkujący owe mroczne dzier-

żawy, tem czar się zwiększa, podniecając mimowoli wyobraźnię. Jedną z najciekawszych puszczy europejskich jest dziś niewątpliwie puszcza Białejwieży, której gniewliwi i brodaci mieszkańcy, „żubry“, mają jedynie w górach Kaukazu mniej okazałych krewniaków. Literatura nasza posiada opisy puszczy Białowieskiej, skreślone piórem badaczy przyrody, lub pełnych talentu powieściopisarzy; porównanie więc tym razem z opisami Wodzickiego będzie najdogodniejszym, aby wykazać różnicę między utworami literackimi myśliwych, a takimiż produkcjami uczonych lub beletrystów.

Pierwszy opis barona Brinckena w języku francuskim pod tytułem: „Memoire descriptif sur la foret imperiale de Białowieża en Lithuanie“ (Warszawa 1828), robi wrażenie kompletnego traktatu naukowego, w którym wiadomości przyrodnicze współzawodniczą z doświadczeniem wyższego urzędnika administracyjnego, otaczającego troskliwą pieczę lasy rządowe w Królestwie Polskiem. Spotykamy też w opisie Brinckena wyliczone skrupulatnie gatunki drzew, roślin, owadów, zwierząt i ptaków, znajdujących się w Białejwieży. Nadto wymierzone są dokładnie przestrzenie, określone topograficzne właściwości ostępów, wskazane zawały drzew martwych — jednym słowem,

znajdujemy puszcę imponującą, rozłożoną na atomy, ale jej życia w każdej porze roku nie odnajdujemy. Brincken odczuwał świadomie potężne wrażenie puszczy Białejwieży i przyznawał jej znaczenie pierwsze w Europie a jedyne w swoim rodzaju; lecz uznanie powyższe było zdaniem teoretyka przyrodnika i fachowego urzędnika, a nie myśliwego, który zżył się z puszcą i wsłuchał w odmienne szумы drzew, w różne rozhowory skrzydlatych lub czworonożnych jej mieszkańców.

Drugi opis Jarockiego, dawnego profesora zoologii w Królewskim Warszawskim Uniwersytecie ¹⁴⁾, pod tytułem: „O puszczy Białowieskiej i o celniejszych w niej zwierzętach i t. d.“, jest zwyczajnem zdaniem sprawy z polowania, odbytego w dniach 15 i 16 lutego r. 1830 na dwa żubry, które były przeznaczone dla Gabinetu Zoologicznego w Warszawie. Pomimo, że Jarocki w umysłowej swej spuściźnie pozostawił nawet wiersze, puszcza Białejwieży nie wyprowadziła go ani na chwilę ze spokojnego chłodu badacza i przypatrywał jej się z tem samem zaciekawieniem, z jakimby oglądał szkielet rzadkiego ptaka, lub kształty wbitego na szpilkowy pal owadu. Jarockiemu

¹⁴⁾ „Pisma rozmaite“, Warszawa 1830, str. 231.

też nie zabiło żywiej w piersiach serce, na widok olbrzymów leśnych, lub zbliżającego się brodacza żubra — zadowolnił się zupełnie tem, że służba leśna zabiła owe dwa „egzemplarze“ dla Gabinetu i dopiero przy opisywaniu poległych mocarzów puszczy odezwała się w Jarockim żyłka badacza, dopiero wtedy zaczął skwapliwie wytykać niedokładności w pracy Brinckena i wyliczył cały szereg drobnostkowych błędów, wyszperanych w traktacie poprzednika.

Trzecim opisem puszczy Białejwieży obdarzył nas Sienkiewicz ¹⁵⁾. Niewątpliwie w utworze tym, będącym ślicznym miniaturowym obrazkiem, rozwinął Sienkiewicz wielkie bogactwo językowe i rzadki zmysł podróżnika. W jego wytwornej miniaturze widzimy jednak puszcę Białejwieży tylko świetnie odmalowaną, ale nie odczuta i nie odtworzoną z całą grozą swej tajemniczości i z całym majestatem rozległego życia. Gdy Sienkiewicz w noc księżycową przypatruje się puszczy, wówczas widzi: „Sosny stoją ogromne, strzeliste i teraz oto księżyc gra po nich, jak grał sto lat temu, oświeca ich czuby, wdziera się w przerwy między gałęzmi i upada na grunt puszczy w kształcie długich, białych snopów i pa-

¹⁵⁾ „Z puszczy Białowieskiej“, Tom XIX, str. 181.

sem. Rzekłbyś: duchy przechadzają się wśród kolumn. Prawdziwe czarodziejstwo leśne. Głębokie cienie i tuż drgające plamy srebrne. Coś tam porusza się, coś żyje! Tylko czekać, jak zaśpiewa dziwo-żona. Ale i bez tego chciałoby się choć zaraz iść w głąb“. Gdy zaś za dnia przejeżdżał się wózkiem po puszczy, wówczas dostrzegał, jak „zabarwiony na czerwono liść spływał milionami z drzew na ziemię, napełniając puszcę szeptem łagodnym. W tej całej leśnej naturze bywały chwile takiego spokoju, jakiego napróżno spotkać po za nią. Wśród tego spokoju możnaby zapomnieć o wszystkim, nawet o sobie samym; można rozmawiać się w tej puszczy, którą jesień maluje w barwy rozmaite. W głębokich przestrzeniach leśnych, grają zielone, żółte i czerwone odmiany liścia, oblane bładem światłem dnia. Ileż tam tonów, ile odcieni, ile stopniowań, ile łagodnych połączeń każdej barwy, a nad wszystkim jakaś melancholia jesienna“.

Pięknych opisów i porównań znajduje się dużo w „Puszczy Białowieskiej“ Sienkiewicza, ale odrazu dostrzedz można, że pełen talentu artysta przypatrywał się jej z zewnątrz, podziwiał jej kształty, kąpiące się w blaskach księżyca lub słońca, lecz nie wdarł się do jej prawdziwych uroczysk,

„bo bagienka wezbrały i niepodobna było robić wycieczek“, a w pięknym opisie bekwiska jeleni polegał jedynie na spostrzeżeniach służby miejscowej; to samo zaś miało miejsce i z opisem natury żubra ¹⁶⁾.

Wodzicki Białejwieży i żubrów nie widział nigdy, lecz za to, „wezwany od osób miłujących nauki przyrodnicze, aby zbadać dokładnie Karpaty i Tatry, średnie i niższe góry Sandeckie“, jeszcze w 1850 r. wyruszył w góry na wiosnę, czas, w którym dotąd żaden podróżujący nie śmiał wstąpić na szczyty, okryte śniegiem niezgłębionym, a to „dla wyszukania gniazd ledwie znanych lotnych mieszkańców i poznania dokładnego miejsc, materyałów, używanych do bu-

¹⁶⁾ („Łowiec“, 1 października 1884 r.) Znajduje się w literaturze naszej jeszcze jeden, szczuplejszy opis „Wycieczki do Białejwieży“, przez Zygmunta Glogiera. Autor przyznaje: że każdy ogrom zawsze robi pewne wrażenie na umyśle ludzkim, czy to ogrom wód morskich, czy kraju, widzianego z wysokiej góry, czy ogrom otchłani, w podziemiach Wieliczki, czy powódź ludu, zgromadzonego na obchód uroczysty, czy powódź zielonej puszczy starożytnej a nieprzejranej. W opisie Glogiera znajduje się też niejedno miejsce pięknie skreślone, ale z tem wszystkim, puszcza Białejwieży jest tylko starannie, lecz zewnętrznie opisana. Życie wewnętrzne puszczy pozostało prawie nietkniętem, pomimo, że p. Glogier brnął po moczarach i przedzierał się przez gęstwiny, aby podpatrzeć stado żubrów.

dowy, jaj i piskląt, a szczególnie uważania ptaków w chwili gnieźdzenia się“¹⁷⁾.

Wodzickiego też nie wstrzymywały w wycieczkach „wzbierające bagienka“ i wyjechawszy w góry własnymi końmi, o mało życiem nie przypłacił na samym wstępie tego dawnego polskiego zwyczaju. Konie bowiem uniosły go ku przepaści. „Wielkiem mojem szczęściem—pisze Wodzicki—znalazł się świerk na drodze, na której wóz, wyróciwszy się, ochronił mnie od okropnej śmierci. Pokaleczony i stłuczony dostałem się wieczorem do Nowego Targu, drogą, której nie opisuję, bo sądzę, iż żaden podróźający po tejże błędzić nie będzie; ornitologom jej nie wskazuję, chcąc ich dla nauki zachować“ (str. 5).

Że szkoła myśliwska, jaką Wodzicki przebył w lasach Tatrzańskich i Karpackich, była wyborną, a może najlepszą w naszym kraju, to nie ulega żadnej wątpliwości. „Czytelnik trudność tej pracy wtedy dopiero oceni—pisze Wodzicki w swej „Wycieczce“ (str. 4)—gdy się rozpatrzy w kraju tatrzańskim, w porze, w której szalały z bydłem i owcami jeszcze nisko stoją, a gdzie

¹⁷⁾ „Wycieczka ornitologiczna w Tatry i Karpaty galicyjskie na początku czerwca 1850 r.“ Leszno 1851, str. 3.

trzeba kilka dni i nocy na śniegu, między nagimi skałami, przebywać. W dzień promienie słońca są tam tak ostre, że przy męczącym i niebezpiecznym chodzeniu gorączkę sprowadzają i ptaki, po kilkunastu godzinach, pierze tracą i nie mogą być konserwowanemi. W nocy zaś mrozy i wiatry srogo dokuczają. Bywają chwile tak przykre, iż potrzeba prawdziwego zamięłowania nauki, by mózdz zwalczyć pokusę powrócenia do kraju dachów i pieców“.

W tych twardych kilkudziesięcioletnich wyprawach, pokochawszy puszcze, bory, lasy, knieje, stepy, moczary, Wodzicki niejednokrotnie starał się odtworzyć wrażenie, jakie na jego umyśle wywarło piękno natury. Już w „Wycieczce ornitologicznej“ (str. 13), idąc z Bukowiny do Morskiego Oka, zauważył Wodzicki, że na połowie drogi jest skała uroczej piękności, wisząca nad rzeczką Białką, okryta świerczyną; w rozpadlinach jej rośnie mozolnie sosna; jaworów grube pnie, weterany okropnej walki z zimą karpacką, straciwszy wierzchy, opuszczają szerokie liście przy ziemi. „Południowa wystawa tej skały sprzyja wegetacyi. W tem miejscu, mimo sypkiego wapiennego kamienia, kwieciste dywany, obfitość różnej drzewiny, bujna zieloność, ciemne ramy świerczyny, pieniająca się Biał-

ka przepyszny i wspaniały przedstawiają widok. Zostawiła mi ona tem miłsze wrażenie, iż na świerku, przy samym pniu, znalazłem gniazdo czyża, jedno z najtrudniejszych gniazd do odkrycia“. W dolinie zaś Kościeliskiej (str. 19), pisze Wodzicki: „z radością ornitologa spostrzegłem alpejską wegetację i ptaki, mało dotąd znane w naszym kraju. Kwiaty tu nie rosną pojedynczo, tysiące bukietów różowych, granatowych i lila w jaskrawych kolorach, okrywają ubocze południowe. Na tych skałach spotkałem gnieźdźącego się płochacza alpejskiego (*accentor alpinus*) w znacznej ilości, ptaka prawie u nas nieznanego“.

Wodzicki do końca życia pozostał pod urokiem lasów górskich, urozmaiconych cudacznymi rozpadlinami, poprzerzynanych jarami i debrami. Oto, jak nam maluje, już jako nestor myśliwski w r. 1880, puszcę górską, we „Wspomnieniach z życia łowieckiego“ (Lwów 1880, str. 31), chcąc przekonać, na jakie niespodzianki natrafia myśliwy w pościgu grubego zwierza: „Odwieczne starodrzewa powaliły się w poprzek parowów, istne kładki dla przechodnia, na nie znowu wieki waliły drzewa z konarami i gałęziami, pień wiekom urągał, konary zaś zgniły i potworzyły mosty, na oko do przejazdu zdatne. To wszystko omszone ro-

ślinami i grzybami okryte, na górze zaś rosnące karłowate drzewka na odwiecznym humusie. Bywają też gołe maszty, leżące wśród debry, niby ławy zagadkowe, bo nikt nie może zapewnić, iż wytrzymają ciężar człowieka, częstokroć po obu końcach na ziemi wsparte, bywają bezpieczne, w środku zaś, wiszące w powietrzu, zgniłe i kruche, rozsypują się pod lada jakim naciskiem. Nieraz widziałem na takich kładkach tropy rysiów i niedźwiedzi, a pod nimi otchłań do 40 metrów głębokości, grożącą przechodniowi połamaniem kości lub nawet śmiercią“.

Wodzicki nie był jednostronnym w myślowstwie. Badania swe prowadził we wszystkich porach roku i zżył się nie tylko z górami, ale i z moczarami. Oto, jaki nam we „Wspomnieniach“ (str. 106) daje obraz łązów i czaharów: „Łazy i czahary są właściwością stryjskiego i stanisławowskiego obwodu. Nie każdy z czytelników ma o nich jasne wyobrażenie, więc je tu naszkicuję. Są to krzaki gminne dębowe, wyrastające z pni ściętych dębów, na mokrych miejscach, przerosnięte łąki olchowemi i wierzbowemi gęstwinami, pomotane pędami dzikiego chmielu, poprzerzynane strużkami bagnistemi, łączkami, częstokroć strumyczkami. Gdzieś tam rosną na kępinach osokowe

trawy, to znowu kupki trzciny i olbrzymich chwastów. Są to w części sianożęcia, w części pastwiska dla bydła. Na tych to przestrzeniach ginie wiele zwierza w ogniu, podkładanym na wiosnę przez chłopów, w celu wytepienia krzaków i ułatwienia wegetacyi traw, a w szczególności ginie wiele ciecioriek, siedzących wtedy na jajach. W lecie, na suchszych miejscach, buja wrzos, rosną borówki, poziomki i różne jagodowe krzewy — to istny raj dla myśliwego-przyrodnika. Krocie owadów, barwistych motylów, pieśń melodyjna śpiewaków, derkanie chruścieli, bicie przepiórek, beczenie rogaczów, wabienie kuropatw, ruch i życie absorbuje rogacza. Niby to las, niby łąka zarosnięta, gąszcze, opodal stogi siana, widok dzików, spotkanie z niedźwiedziem wśród smętnego śpiewu kosarzy. Często na te przestrzenie zlatują słonki w jesieni i na wiosnę w niezmiernej ilości. Jest to jedyna miejscowość, przystępna dla myśliwego z wyżłem, krzaki bowiem nie są wysokie, wszędzie łączki i śmużki, pozwalające łatwego strzału. Przestrzenie to kilkomilowej rozległości, istny zwierzyniec, z którego można brać ptaki i inną zwierzynę“.

Wodzickiego, jako myśliwca z krwi i kości, wzrusza do głębi a nawet rozrzewnia piękno natury. Oto obraz, jaki nam daje

we „Wspomnieniach“ (str. 78): „W r. 1858 już w marcu zawitała do nas wiosna, skowronki, wzbijając się pod sklepienia niebios, zwiastowały nam odrodzenie przyrody, krzewy pokryły się zielonością, iwy i osiki powypuszczały ozdobne kitki, leszczyna swe karminowe strzały. Sowy już się piskłętami cieszyły, dzięciołów samice dosiadywały jaj, kruki młodym pożywienie donosiły, ciężkie wrony po zaręczynach, ruchliwe sikorki w konkurach, a na bagnach i stawach gwar, pisk i rozpusta. W całej przyrodzie jedna myśl dziękczynna, jedno rozkoszne westchnienie, jedna radość, bo to koniec lodowatego grobu. Któż w takiej porze pod dachem usiedzi, kogo ten magnes przyrody nie pociągnie do woni balsamicznej i do tego, tak przez nas upragnionego odrodzenia. Wezwałem mego towarzysza, przywołaliśmy wyżły i ruszyliśmy szukać słońek“.

Nietylko wiosenne tchnienie rozpięra pierś Wodzickiego i upaja go swym czarem. „Często, jak to wyznaje¹⁸⁾, drzewo, grupa pni, jary i debry, kępy lub zarośla, smugi, trzciny, tajemnicze głosy borów, wzruszający szelest zbliżającego się zwierza, wabienie ptaka, pracowite kucie dzięcioła, hukanie sów, beczenie rogaczy, budzi w mej

¹⁸⁾ „Wspomnienia“, str. 129.

duszy wspomnienia dawnych zdarzeń myśliwskich, wysnuwa powabne obrazki, bawi, wzrusza, wywołuje tęsknotę za przeszłością wobec tak odmiennej terażniejszości. W takim marzeniu pogrążony, stałbym godziny i dnie całe na miejscu, byle się tylko nie rozwiały owe sny złote, przywodzące szeregiem zdarzenia i postaci z życia mego myśliwskiego. Dla mnie każde polowanie ma urok i powab, każde jest balsamem dla smutnej myśli, odtrąceniem nasuwających się chmur, zrzcuceniem trosk, wzmocnieniem ducha i ciała“.

Przytoczyłem rozmyślnie kilka charakterystycznych ustępów z badań Wodzickiego, aby uwydatnić owo wyraziste piętno, cechujące jego opisy. Dziwna też w nich panuje harmonia między prawdą a pięknem w przyrodzie i nigdzie prawie niema wysilenia, aby bogactwem i świetnością języka przyozdobić niekiedy nagość rzeczywistości. Wodzicki nie jest bynajmniej pozbawiony wysoko rozwiniętego poczucia piękna. Wsłuchując się w smętne i tajemnicze szumy puszczy, może śmiało za Mickiewiczem powtórzyć: „i mnie się zdawało, że tam morze, wiszące w górze nademną, szumiało“, tylko że Wodzicki nie gonił wyłącznie za samem wrażeniem piękna. Jemu przedewszystkiem, jak to sam pisze w przed-

mowie do pierwszego wydania „Bociana“ (str. 3), idzie o to, aby zgłębić życie ukochanych powietrznych mieszkańców, jeżeli tak można powiedzieć: wżyć się w ich życie, odkryć wiele dotąd nieznanego, oświecić co ciemnego i zajrzeć nieraz pod zasłonę przyrody. „Nie zamierzam ja być wcale naukowym pisarzem — powiada dalej Wodzicki — i dzielić wam przyrodę na rzędy, familie, pokrewieństwa, rodzaje i gatunki. Odrzucam precz opisy składu pierza, szkieletu, pory pierzenia, wędrówek ptaków. Brzydę się polemiką nad nowym gatunkiem, lub klimatyczną odmianą żyjątek, nie chcę mówić o anatomii, ani też nie chcę robić wyciągów z zagranicznych autorów. Zapytacie zapewne, co pozostanie do druku? Oto spostrzeżenia szlacheica, miłującego przyrodę, badającego ją od dzieciennych lat, siedzącego na wsi, a zatem po górach, lasach, stepach i bagnach uganiającego“.

Myliłby się jednak ten, ktoby sądził, że luźnych spostrzeżeń Wodzickiego nie jednoczył jeden głębszy cel. Oto, jak sam określa w cytowanej przedmowie (str. 3) zadania mozolnych badań: „Poznać, jeżeli to przyjąć zechcecie, moralną stronę życia ptaków, podsłuchać skrytości tych lubych żyjątek, rozróżnić instynkt od rozumu, podzielić je na rozumne, przebiegłe, pełne pa-

mięci stworzenia, jak również na te, które parte instynktem, żyją jednym trybem i nie zajmującego do odkrycia nie pozostawiają. Zedrzeć zasłonę z ich życia, poznać czucie, którego im odmówić nie można, zestawić ich życie z życiem człowieka i dać dowody trafnego podobieństwa—oto moje zadanie“. W drugim wydaniu „Bociana“ (str. 83) Wodzicki żywi nadzieję: że może mu Bóg pozwoli, że przekona nas wszystkich o tem, „iż ptaki czują, myślą i pamiętają“. Ten sam zaś cel rozległy przewodniczył mu w badaniu życia grubego zwierza. Chcąc się jednak wżyć w życie leśnych mieszkańców, trzeba się było przede wszystkim zżyć z naturą puszczy, kniei, stepów i moczar, zgłębić każdy ich ostęp, zaprzyjaźnić się z każdym mchem lub rośliną i posiłkować słabym promieniem księżyca, gdy blaski słoneczne wpędzały dziczyznę do niedostępnych kryjówek.

Tam też, gdzie Sienkiewicz, w przedzierających się snopach księżycowego światła przez konary białowieskich drzew dojrzy kąpiące się lub płasające dziwożony, Wodzicki będzie śledził wielkiego uszatego puhacza na tajemnych łowach, który cichym lotem osłania tygrysie usposobienie. Gdy lada bagienko wzbierające zniechęci artystę do bliższego zapoznania się z rzeczy-

wistością, Wodzicki, pokaleczony i potłuczony, a przypadkiem tylko ocalony od śmierci, doznaje niewysłowionej radości z następującego powodu. „Po moim przypadku—brzmia jego własne słowa—jak gdyby mnie los chciał w części wynagrodzić, znalazłem gniazdo z jajami podkamionki czarnogłowej, tej pięknej ptaszyny, która żyje wszędzie w górach niższych, kamienistych, a nigdzie nie jest pospolitą“¹⁹⁾. Ile też trudów przetrzymał ów zapalony Nemrod i po iluż stromych nie spinał się skałach, aby wysledzić gnieźdzenie się i zwyczaję drozda skalnego, owego rzadkiego ptaka, ożywiającego swym harmonijnym śpiewem skały Ojcowa, Kobylan i Bętkowic²⁰⁾. Pastuchów, wałęsających się po lasach i moczarach, umiał spożytkowywać wybornie do swych badań myśliwskich. Wiedzieli ci nieubłagani szkodnicy, że go nie wyprowadzą w pole, a tępieniem zwierza nie pozyszczą jego nagrody. Im też zawdzięcza Wodzicki odkrycie gniazd sowy uralskiej (*strix uralensis*) i gajówki strumieniowej (*silvia fluviatilis*), za co otrzymał kilka dyplomów na członka Towarzystw ornitologicznych²¹⁾.

¹⁹⁾ „Wycieczka ornitologiczna“, str. 5.

²⁰⁾ „Systematyczny spis ptaków, uważanych w dawnej ziemi Krakowskiej“. Biblioteka Warszawska z r. 1850.

²¹⁾ „Wspomnienia“, str. 65.

Ani też roztoki wiosenne, ani żar słoneczny i spiekota wśród skał, ani mróz, zadymka lub zaspą śnieżycy, nie zdołały powstrzymać Wodzickiego w pogoni łowieckiej lub w badaniu zwyczajów dzikiego zwierza. Przedzierał się przez faliste, rozstępujące się zdradzieckie moczary i przebijał przez spoistą gęstwinę kosodrzewiny, aby wytropić bąka lub cietrzewia, a z jakąż wytrwałością kopał się przez śniegi lub błota, aby zapoznać nas bliżej z rują sarn lub lochaniem się samur, t. j. dzików. Nie też dziwnego, że zżywszy się tak serdecznie z naturą martwą i jej żywymi mieszkańcami, dał tam Wodzicki opisy, zarówno piękne, jak i prawdziwe, któremi się zachwyca nietylko artysta, ale i myśliwy. Istotnie też, za wyjątkiem Mickiewiczowskich obrazów puszczy litewskich, niema chyba w literaturze polskiej utworu, w którymby panowała taka niezamącona niczem harmonia między pięknem a prawdą, takie odczucie i zgłębienie życia zwierząt i ptaków, wreszcie takie prawdziwe odtworzenie dziczyzny w każdej porze roku, w każdym ruchu i to odtworzenie mową, unikającą wszelkich efektów retorycznych. Nie ulega żadnej wątpliwości, że Nowicki i Witkiewicz obdarzyli literaturę naszą bardzo pięknymi utworami, w których, wspierając się na opowieściach słynnych kluso-

wników, zachowali spory zasób prawdziwości. Zawsze jednak w bardzo drobnych szczegółach znać, iż typowy charakter dzikiego zwierza, lub ptaka, jest przejęty z opowieści a nie wprost z życia zaczerpnięty i pomimo wielkiej wartości, prace tych pisarzy muszą ustąpić pierwszeństwa studjom Wodzickiego. Jeżeli zaś kto zechce sprawdzić różnicę, jaka panuje między opisami naszego Nemroda a wrażeniami uczonych przyrodników, niech tylko przeczyta „Polowania w Saharze algierskiej“ Taczanowskiego ²²⁾. Pomimo to, że Taczanowski był nie tylko uczonym przyrodnikiem, ale i myśliwym, dał nam wprawdzie ciekawe szczegóły o walce sokołów z kulonami i dropiami, ale opis jego jest suchy i zdradza podróżnika, który w życie pustynne wtajemniczyć się nie potrafił i tylko z skrawkiem Sahary powierzchownie się zaznajomił. Jeszcze mniej barwnymi i mniej wtajemniczającymi nas w charakter zwierząt i ptaków są opisy Wagi ²³⁾ i Tyzenhauza ²⁴⁾, choć w ornitologii tegoż uczonego spotykamy wiele ciekawych obserwacji.

²²⁾ „Bibl. Warsz.“, 1868.

²³⁾ „O turach i żubrach“. Bibl. Warsz. z r. 1843. Cytowany jest ciekawy list Ostroroga.

²⁴⁾ „Dostrzeżenia ornitologiczne pod względem przylotu i odlotu ptaków“. Bibl. Warsz., 1844.

Owego złudzenia rzeczywistości, jakiego doznajemy w opisach Wodzickiego, daremniebyśmy oczekiwali od innych polskich pisarzy, za wyjątkiem jednego Mickiewicza. Z malarzy, jeden Chełmoński jest mu pobratymczy duchem w poczuciu prawdy i piękna—ale tylko wśród natury martwej. Jego wody, w wiosennym wieńcu ptastwa i roślin, upajają widza radością odrodzonej natury i wszelakiego stworzenia. Trzciny łąbusia, oczerety i sitowia na stawiskach a wypłókane trawy nadbrzeżne, z przejętymi troską rodzinną, lub koziółkującymi w powietrzu czajkami, uderzają naszą wyobraźnię w taki sam sposób, jak opisy Wodzickiego. Tylko że Chełmoński niekiedy w drobnym szczególiku zdradza, że nie żył się jeszcze tak serdecznie i tak długo z naturą, jak Wodzicki. W jego głębi lasu, u stóp starej sosny, za wiele jest zielonego kobierca, a nie prawie wrzosu; gorzej zaś jeszcze dzieje się z bąkiem, który przy zachodzącym słońcu, wśród sitowia i trzciny, uzupełnia wieczorne chóry żab. Natura martwa jest w tym ślicznym obrazie oddana z niedoścignionem prawie podobieństwem, ale bąk szeroką pierśią zdradza większe powinowactwo z dropiem, niż z swymi najbliższymi kuzynami „czaplami“ i muzykę huczącą wyprawia, podniósłszy dziób do góry, gdy podług za-

pewniań myśliwych, zanurza on swój instrument brząca-muzyczny w wodę, chcąc przy jego pomocy wyśpiewać pieśń miłosną.

Jest jeszcze drugi malarz, przypominający czasem opisy Wodzickiego, w innym wszakże kierunku, niż Chełmoński. Nie natura martwa, ale charakter dzikiego zwierza, prawdziwość wyrazu jego łba, oryginalność ruchów w obronie, napaści, lub na czatach, zdobywają w jego obrazach uznanie myśliwego. Mam tu na uwadze szereg obrazów Fałata, stworzonych pod wrażeniem nieświeskich łowów na niedźwiedzia, przede wszystkim zaś ową niedźwiedzicę z niedźwiadkami w gawrze, gdy przypatruje się pilnie podchodzącym łowcom. Natężoną baczność zwierza uwydatnia wybornie oddane a charakterystyczne pochylenie łba, gdy tymczasem niedźwiadki z całą swobodą i nieświadomością niemowlęctwa zabawiają się pustemi figlami. Niekiedy jeszcze stary Kossak przypomni nam rzeczywiste łowy swą akwarelą, zresztą inni malarze, niezaprzeczonego nawet talentu, nie są w stanie zaspokoić wymagań myśliwego. Witkiewicz, odczuwający pędzlem i piórem piękno Tatr, najmniej zadawalnia w scenach z niedźwiedziem. Przypominam zaś sobie jego dawniejszy obraz, przedstawiający orła, uderzającego w dolinie na kierbel owiec, bronionych

przez górala. Orzeł Witkiewicza płynie po nad łbami ofiar tak spokojnie, jak gdyby w górze wypatrywał dopiero żer. Tymczasem, zarówno sokoły, jastrzębie, jak i orły, zdradzają zamiar napaści charakterystycznym podniesieniem w górę skrzydeł i zatrzymaniem się w powietrzu, co im nadaje podobieństwo do człowieka, chcącego podnieść znaczny ciężar z ziemi. Postać orła w powietrzu jest wówczas niezmiernie piękną i uwydatnia całą majestatyczną grozę króla ptaków. Tymczasem utalentowany artysta odtworzył go w chwili, gdy w zadumie i apatyi podróżuje po swoich dzierzawach, dalekim będąc od zamiaru porwania należytej dani.

Nietylko owa niedościgniona prawdziwość zdradza na każdym kroku w opisach Wodzickiego wytrawnego i wypróbowanego myśliwca. Jest jeszcze druga oznaka, po której w utworach jego literackich można odrazu podnać jednolitą naturę Nemroda. Wodzicki zachowuje zawsze równowagę między instynktem czysto łowieckim a pragnieniem zachowania i rozpowszechniania pożytecznych gatunków zwierza. Niektórzy polni lub leśni mieszkańcy doznają jego troskliwej opieki dlatego, że są piękni i ozywają martwą naturę; inni znowu dlatego, że gospodarz ciągnie z nich rozliczne po-

żytki. Rzadko zaś nad jakimś zasadniczym rozbójnikiem powietrznym lub leśnym złamie Wodzicki miecz i poleci wytepić jego ród niepoprawny. Zainteresowanie się też zwyczajami zwierząt i ptaków zrodziło w nim rzetelne i szczere przywiązanie się, zwłaszcza do ptaków, które to humanitarne uczucie radby wpoić we wszystkich naszych łowców.

Owem przywiązaniem do pięknej lub pożytecznej dziczyzny odznaczali się zawsze prawdziwi myśliwi. Jeżeli Cygańskiego „Myśliwstwo ptasze“ i Piotra Crescentyna dzieło ²⁵⁾ zna tylko fortele, które chytróść myśliwca wyszukała, to już w XVII wieku mamy łowców słynnych, zasługujących w pełni na nazwę prawdziwego myśliwego. Gdy też Gostomski, wojewoda rawski, w swem „Gospodarstwie z roku 1588“, myśli tylko o zyskach z łowów i pozwala wszystkim prześladować biednego szaraka, Ostroróg uważa już łowy za naśladowanie wojny, gardzi pożytkiem, który skłania łowców do tępienia zwierzyny i radzi sieci używać tylko w puszczy na grubego zwierza.

Do jakiego stopnia myśliwi naszego czasu ożywieni są życzliwością dla zwierzy-

²⁵⁾ „O pomnożeniu i rozkrzewianiu wszelakich pożytków“. Książ dwanaście. Kraków, 1549.

ny i walczą z dawnymi przesądami, mamy najlepszy dowód w Taczanowskiego pracy, ptakom drapieżnym poświęconej²⁶⁾. Uczony ów przyrodnik, posiadający żyłkę myśliwską, za ledwie może się zdobyć na wyrok, wytepiający rybołowa i sokoła wędrownego. Orlika jednak zwie ptakiem niewinnym i pożytecznym, pustułkę, pustuleczkę i rdzawonoga, istotami względem nas najniewinniejszemi. Radby też sową zastąpić kota domowego, a orła włochatego nakazuje ochraniać. Pomimo jednak, że orłów nie może przyozdobić nazwą istot najniewinniejszych pod słońcem, pozwala tylko tam, gdzie są pospolite i gdzie niema obawy aby zaginęły, przez czas jakiś je tepić.

Te same uczucia, na wskrós humanitarne, ożywiają Wodzickiego. „Niech sobie kto naturę wystawi bez kwiatów i bez ptaków, czy ona będzie mieć te powaby, czy ona będzie budzić wyobraźnię poetów, czy nam się będzie przedstawiać tak rozkosznie, jak teraz? O nie, bez kwiatów—byłaby puszcza, bez ptaków — panowałaby cisza grobowa. A kto poznał życie ptaków, ogółowi zasłonięte, kto poznał ich przywiązanie, rozum, uczucie, przebiegłość, niepojętą pamięć, te ogromne namiętności w tych drobnych stwo-

²⁶⁾ „Bibl. Warsz.“, 1860.

rzeniach, ten ich pewnie umiłuje, ten ich życie badać będzie, a ja, ich towarzyszy, co ich podsłuchuję i szpieguję, starać się będę zdarzeniami udowodnić rzeczywistość mych spostrzeżeń, które się tu wydać mogą jako płody chorowitej wyobraźni ornitologa. Dowodzić dalej nieomieszkać, że w całej przyrodzie tego podobieństwa nie znajdziemy z ludzkością, jak w ptakach“. Temi słowy poleca Wodzicki swe zapiski ornitologiczne w przedmowie do „Bociana“, a nie jest to bynajmniej jedyny ustęp, zdradzający jego szczerze przywiązanie do skrzydlatej rzeszy. Odtwarzając też wdzięcznie „Jaskółkę“, wypowiedział Wodzicki cel, przewodniczący wszystkim jego studjom, a przede wszystkim badaniom życia ptaków. „Broń mnie Boże, abym wam zadawał naukę łyżeczką, jak lekarstwo. Ja was chcę rozerwać, a spamiętacie co, pokochacie ptaszęta me lube, o! to ja będę sownie wynagrodzony“. Powyższe słowa sędziwego Nemroda powinny być zamieszczone jako dewiza wszystkich dzieł Wodzickiego, bo odsłaniają najlepiej duszę wybornego myśliciela.

Obecnie pozostaje mi jeszcze wykazać, jak się Wodzicki sam zapatrywał na swe produkcje literackie i jaki był jego pogląd na myśliwstwo w naszej epoce. Tytuł bo-

wiem „Zapisek ornitologicznych“, jaki dał monografiom ptaków, mógłby zrodzić przypuszczenie, że pozował na uczonego przyrodnika i że dyplomy na członków różnych Towarzystw ornitologicznych wytworzyły w nim ambicje doktrynerskie, których w rzeczywistości nigdy nie posiadał. Wodzicki czasem walczył z fachowymi przyrodnikami, gdy się dali wywieść w pole opowieściom pastuchów wiejskich, tej, jak się słusznie Taczanowski wyraził ²⁷⁾, największej pladze na ptactwo wszelakiego rodzaju. Zawadzkiemu np. wytyka, że dostrzegł jemiołuchę w Tatrach, której on, mimo baczego śledzenia, nigdy spotkać nie zdołał ²⁸⁾, lub że w faunie galicyjskiej zamieścił mylnie drozda czarnogarlistego (*T. atrogularis*). Czasem znowu, w poczuciu hartu i doświadczenia myśliwskiego, nie radzi ornitologom przedsiębrać karkołomnych wypraw, jakie sam ciągle podejmował. Niekiedy zaś sam doznaje radości ornitologa, gdy spostrzeżga bujną wegetację dolin tatrzańskich i ptaki dotąd mało znane w naszym kraju ²⁹⁾.

Z tem wszystkim, pomijając przelotne

²⁷⁾ „Ptaki drapieżne“, str. 87.

²⁸⁾ „Wycieczka“, str. 47

²⁹⁾ „Wycieczka“, str. 19.

wyrażenia, Wodzicki uważał się sam za myśliwego czystej krwi, a żywił niekłamanym szacunek dla nauki przyrodniczej i jej pracowników. Już w rozprawie o sokolnictwie wyznał: „że jest myśliwym, dla którego step i knieja ziemskim rajem, którego serce bije, a krew kipi, w pogoni za grubym zwierzem“ (str. 4). We wspomnieniach zaś z życia łowieckiego pisze Wodzicki w smętnej rozmyślaniu: „Lata biegną, ale namiętność myśliwska, najwyższa ze wszystkich, nie ostyga, zawsze pędzi w pole, na bagna, do lasu, zawsze ubarwia mi życie wspomnieniami, niemniej przyjemnymi, jak dawniej“. W zapale też czyni tajemne wyznanie: że „gdyby jakimś fatalnym zrzędzeniem zabrakło zwierzyny, polowałby w ostateczności na pośmieciuchy, lubo szczerze kocha te patryarchalne ptaki“ (str. 129).

Myśliwstwo, podług Wodzickiego, jest wdzięczną nauką dla umysłów badawczych i wielce korzystne, gdy bywa umiejętnie prowadzone. Krocie zdarzeń niepodobnych do prawdy, epizodów wyjątkowych, wzruszających; krocie niespodzianek i rozkoszy, wieńcem otaczają pamięć myśliwego, który myślą ożywia je w najsędziwszej nawet starości i jak za młodu duszą i ciałem polował, tak w późnym wieku, gdy krew

w żyłach stygnie i siły upadają, w żywych obrazach swych wspomnień myśliwskich żyje i działa, dokąd zasłona śmierci nie zakryje na wieki tych uczuć i wrażeń“³⁰⁾. „Dziś jeszcze — pisze Wodzicki dalej — po latach wielu, mógłbym żywo naszkicować obraz owych jarów, drzew, gąszczów, postaci zwierząt łownych, psów i ludzi, które w ważniejszych polowaniach utkwily mi na zawsze w pamięci. Ileż to miłych towarzyszków, ilu znakomitych myśliwych, ile w końcu dzielnych psów, zaległo stale w mej myśli. Niemała liczba sprytnych i zawziętych ogarów, rozumnych wyżłów, śmiesznych postaci, przepysznych krajobrazów, wspomnień głodu i trudu nad siły, rozkoszy wypoczynku i posilenia, błędzeń po lasach, powrotów nocnych — to zaiste nader zajmująca księga, pełna obrazów, które nieustannie rozpatruję, karty w niej przewracam i żałuję, że już drugiego tomu tego myśliwskiego dzieła mieć nie będę“.

Na pierwszej stronie swych „Wspomnień z życia łowieckiego“ Wodzicki wyznaje, że: „polowanie jest wielkiem dobrodziejstwem, obdarzającym człowieka skarbem swobody i wypoczynku umysłowego, jest to źródło, z którego czerpiemy ów prawdziwy klejnot

³⁰⁾ „Wspomnienia“, str. 128.

życia — swobodę; śród lasów, w polu, na bagnach, umysł swobodny jak z więzów otrząsa się z trosk, usuwa niepokoje, leczy dolegliwości i usiłuje ześrodkować myśli i uczucia w jednym kierunku. Jest to fascynacya, zmagnetyzowanie, idealizowanie człowieka, jest to absorbowanie umysłu, wysuwanie chwilowe z kolei życia. Znałem starych, zużytych rozkoszników, pijących pełną czarą rozkosze życia, bez wytchnienia i hamulca, którym wreszcie, jak to mówią, przejadło się życie, a nudy ogarnęły umysł, u których zniszczył się organizm, wyschło wszelkie w sercu uczucie i żaden im już promyk więcej nie świecił. To czarna noc przedwczesnej starości! Takich ludzi, zimnych już i martwych dla każdej życia rozkoszy, widziałem radośnie drżących na widok lisa, rogacza, a nawet nieponętnego szaraka. Polowałem z tymi młodymi starcami, noszonymi i prowadzonymi, i przekonałem się, że namiętność polowania pokonała w końcu wszystkie inne. Z przekonania, opartego na doświadczeniu, twierdzę, że namiętność myśliwska uspokaja, uszlachetnia człowieka, rozjaśnia umysł, tępi złe skłonności, podnosi uczucie, nadaje swobodę i stwarza trzeźwą i zdrową myśl“.

„Wyjąwszy kłusowników — pisze dalej Wodzicki — będących złodziejami rozbójni-

kami, nie znałem złych ludzi, w pełni tego znaczenia, między myśliwymi; zawsze wykrywałem w nich uczucie i swobodę umysłu. Niejeden zanadto bywał ciekawy widzieć dno butelki, lecz i wtedy sprawdzało się przysłowie: *in vino veritas*, widziałem serdeczność, dobre chęci i usposobienie, bez zawiści, trującej stosunki. Z prawdą nie byli w zgodzie, a im bardziej wyziewy trunków cisnęły na umysł, tem więcej się ona od nich oddalała, ale te przesady, kłamstwa i ubarwienia jaskrawe, nie przynosiły nigdy szkody bliźniemu, a miały urok poezyi, blask świeżości, wzbudzały ciekawość w tej gmatwaninie prawdy z łgarstwem. Dziś dla nich już pole ciaśniejsze, bo teraz polowania wspólne, przy świadkach, w przetrzebionych kniejach, to inna scena. Lecz dawniej z psami, ze zdrowemi nogami, łatwo było na cały dzień zniknąć, a wieczorem opowiadać cuda z tysiąca i jednej nocy, naśladować opowiadania „Księcia Panie Kochanku“, być rycerzem niezwalczonym, strzelcem najcelniejszym, pogromcą grubego zwierza. Minęły już czasy samodzielnych myśliwych, niepodległych strzelców, a z nimi usuwa się tradycyjne kłamstwo, przy wesołej wieczornej biesiadzie, z szyderczym uśmiechem, lub złowrogim szep-tem.“

Wreszcie polowanie na grubego zwierza z psami, zdaniem Wodzickiego, „to zaprawdę rozkosz iście rycerska, to walka, która upaja, rozbudza wzruszenie nie do porównania z innemi, a owa różnorodność, nieskończoność niespodzianek radosnych, smutnych i żałobnych, te zawody i powodzenia, zwątpienia, posądzania, niepewności, gorączkowe oczekiwania, tryumfy i upokorzenia, te guzy, sińce i rany, spotkanie z towarzyszem po długiem błędzeniu i powrót radosny do ludzi i rodziny, do pracy i odpoczynku, to wszystko jest prawdziwą wonią, rozkoszą i ozdobą życia. Więcej powiem, dla krewkości młodzieńczej myśliwość jest najodpowiedniejszą aperturą, ono od wyuzdanych porywów wstrzymuje, gorące zapędy koncentruje w jeden punkt, daje możność wyszumienia się szałowi młodzieńczemu, bez uszczerbku sił i fortuny, niejednego młodzieńca odwodzi od demoralizujących stosunków i towarzystw, rozbudza uczucia moralne, a nawet estetyczne zamiłowanie do badania przyrody, wyrabia odwagę, zimną krew, uczy ostrożności, hartuje ciało, wyplenia z duszy chorobliwe fantasmagorye i przygotowuje młodzieńca do przyszłych walk w życiu“. Kończy też Wodzicki swe „Wspomnienia z życia łowieckiego“ tem życzeniem, aby Hubert i Dyana

wzięli w opiekę dorastającą naszą młodzież, bo w takim tylko razie wychowa się ona na ludzi silnych i ochoczych do produkcyjnej pracy i do twardej walki, tak z własnymi ułomnościami, jakoteż z chorobami dzisiejszej dziejowej chwili.

Wodzicki więc, jako typ myśliwego, przypomina wybornie słynne postacie, jakie nam nasze dzieje dochowały. Uważając myśliwstwo za rycerską sztukę i namiętność łowiecką za największą i najtrwalszą ze wszystkich, przejmuje tylko poglądy Ostroroga i przywodzi na pamięć Stefana Batorego, który był „*feris domandis plus quam leo*“ i w najcięższych wyprawach pod Połock, lub Psków, znalazł chwilę wolną, aby „wyjechać na zajac“ i „odetchnąć powietrzem stepu lub puszczy“³¹⁾. Obserwując znowu zwyczaje zwierząt i ptaków, i pragnąc wżyć się w ich życie, Wodzicki przypomina żywo ów jedyny w swym rodzaju typ Jana Chryzostoma Paska i charakterystyczny ustęp jego pamiętnika: „Bywało też u mnie myśliwstwo z podziwieniem ludzkim: począwszy od ptaków, zawsze miałem bardzo dobre sokoły, jastrzęby, drzemliki, kobyły, kruki, co do berła chodziły

³¹⁾ Pawiński: Źródła dziejowe, T. XI. „Stefan Batory jako myśliwiec“.

i kuropatwy pod niemi ulegały, zające zalały jako narów. Wszystko to ptastwo praktykowało swoją powinność“ (str. 310). Nawet wówczas, gdy Wodzicki swe zapiski ornitologiczne nazywa zwyczajnemi ramotkami i dziwi się, że doznały od społeczeństwa tak łaskawego przyjęcia, mimowoli nasuwa nam na myśl Cygańskiego, zwącego się „szlachcicem z prostości“ i upewniającego czytelnika, że swe „Myśliwstwo ptasze“ nie napisał „z hardości“, ale „miłość k memu narodowi wytłoczyła to — y dość będę zdrowy, gdy chęć odniosę za tę małą pracę“³²⁾.

Przedewszystkiem więc Wodzicki był typem rodzimym myśliwego i zbierał obserwacje wśród ojczystych puszczy i stepów. Widownią jego zaciekłych łowów były lasy tatrzańskie i karpackie, knieje galicyjskie, skały Ojcowa i faliste lasy krakowskie. W inne okolice kraju zapuszczał się Wodzicki wyjątkowo, a żubr i łoś, mieszkańcy puszczy litewskich, pozostali mu nieznanymi. Jakkolwiek jednak rozpadliny i puszcze górskie są wybornem schroniskiem dla dzicyzny ptasiej i zwierzęcej, mimo to, pole obserwacji Wodzickiego nie było

³²⁾ „Myśliwstwo ptasze“. Dzieło z XVI wieku, przedruk Antoniego Wagi. Warszawa, 1842.

zbyt obszernem. Nauka przyrodnicza w dzisiejszych czasach posiłkuje się spostrzeżeniami myśliwych o szerokich widnokręgach, którzy nie tylko w Europie i nie tylko w rodzinie badali typ ptaka, lub zwierza, lecz śledzili go po drodze odlotu i przylotu, i badali formy uspołecznienia zwierzęcego, obejmującego niekiedy różne gatunki. Jeżeli też weźmiemy dzieło Espinas'a p. t. „Społeczeństwa zwierzęce“ (przekład Potockiego), to znajdziemy w niem dużo spostrzeżeń nader ciekawych, których Wodzicki uczynić nie mógł, nie widząc pewnych gatunków ptaków i zwierząt w wielkiej masie, w jakiej się przedstawiały oczom pozaeuropejskiego myśliwca. Taki podróżnik myśliwy mógł łatwo np. dostrzedz, że niektóre ptaki posiadają zmysł hegemonii i oddają sobie wzajemnie społeczne usługi. Ile bowiem razy, w jakiejś miejscowości, zbierze się wiele gatunków ptaków, posiadających obyczaję podobne, zaraz zawiązują się stosunki pomiędzy temi, które nie mają powodu obawiać się jedne drugich, a lękają się wspólnego nieprzyjaciela. Ptaki równin, zarośli, łączą się chętnie w stada: dzwońce ze skowronkami, ziębami i drozdami; kwiczoły z ziębami i dzwońcami; lapońskie śnieguły ze skowronkami; sroka z krukami i wronami; strzyżyki z kówalikami, si-

korami, ziębami; dzięcioły z pełzaczami, sikorami, strzyżykami. Ptaki błotne i nadbrzeżne: kuliki, siewki, bekasy, czaple, formują również stałe grupy po przejściu sezonu miłosnego.

Przyczyna związku powyższego jest następująca: każdy z ptaków pojmuje wyraźnie, że czujność towarzyszy wzmacnia jego własną. Przy pilnowaniu okolic, obserwacja wielu ptaków, skierowana w rozmaite strony, daje większą pewność bezpieczeństwa, niż straż jednego, a w walce z nieprzyjacielem, połączone środki obrony wszystkich posiadają niezaprzeczoną wyższość nad bronią jednego. Niektóre ptaki jednak posiadają zmysł hegemonii, t. j. przewodniczenia innym. Tak np. kuligi, które łączą się z najmniejszymi ptakami nadbrzeżnymi, posiadają pewną władzę nad swymi towarzyszami, naśladującymi wszystkie czynności kuliga, jego krzyk, ruchy, jednym słowem, rządzą całym stadem. W wiekach średnich zaś w Europie używano zórawia lub bociana do pilnowania ptastwa w gospodarstwie domowym; urząd ów wypełniał zóraw lub bocian z całym przejęciem się i poczuciem własnej wyższości nad plebejskimi rodami kaczek, kur, gęsi i t. p. stworzeń³³⁾.

³³⁾ Lamprecht: „Deutsches Wirthschaftsleben im Mittelalter“. 1 Darst. S. 10.

Wzajemne usługi i poczucie hegemonii zdarzały się nie tylko pomiędzy ptakami, lecz także między ptakami, zwierzętami i gadami. Espinas upewnia ³⁴⁾, że struś ostrzega stada gazelli, zebra i kwaga, afrykański zaś daniel ochrania bezwiednie, strzegąc się sam, jaszczurkę i gąsienniczkę, bacznych na każde jego ruszenie. W Afryce też żórawie prowadzą stada baranów, tak jak na całym świecie pies strzeże bydła małego i dużego ³⁵⁾. Wodzicki bada wprawdzie poczucie solidarności i stowarzyszania się ptaków, ale w naszym rodzimym zakresie. Sejmy przedodlotne bocianów i jaskółek, połączone z sądami doraźnymi wśród pierwszych, a z wspólną obroną wśród drugich, zawierają wiele ciekawych i cierpliwie zbieranych obserwacji. Jednakże wśród rodzimych obszarów Wodzicki nie zdołał dostrzedz stowarzyszeń ptasich między różnymi gatunkami, ani owych ambicji panowania jednych nad drugimi, jakie występowały wśród masy ptactwa innych części świata.

Tak samo rodzinne knieje, moczary i stepy, były zbyt zacieśnionym horyzontem do zbadania zwyczajów odlotnych ptaków, któ-

³⁴⁾ „Społeczeństwa zwierzęce“, str. 147.

³⁵⁾ „Społeczeństwa zwierzęce“, str. 148.

re z jesienią, parte nieubłaganą siłą, muszą dniem i nocą, lądem, wodą i powietrzem, odbywać niebezpieczne podróże, konwojowane przez tygrysów powietrznych, t. j. orłów, sokołów i jastrzębi. Jeżeli też porównamy owoc badań de Serres'a ³⁶⁾ z zapiskami ornitologicznymi Wodzickiego, to niewątpliwie porównanie wypadnie na niekorzyść naszego Nemroda. Ale też Wodzicki nie kusił się bynajmniej o zbadanie praw ogólnych, normujących przyłot lub odlot ptaków, tak samo, jak nie miał pretensyi opisywać zwyczajów wszystkich zwierząt i ptaków. Nawet, choć pokusa była dość silną, pozostawił na uboczu żubra i łosia, a o rysiu i dropiu także niewiele znajdujemy wzmianek i tylko opisał te ptaki i zwierzęta, które mógł przez kilkadziesiąt lat wytrwale i pilnie śledzić.

Jeżeli jednak obszar badań Wodzickiego nie był wielkim i jeżeli go nie można porównywać z Brehmem, to z drugiej strony przyznać trzeba, że ten kęś ziemi, na której polował, zbadał gruntownie, że wzył się należycie w ducha dzikiej natury oraz w charakter jej srogich lub trwożliwych

³⁶⁾ „Des causes des migrations des divers animaux et particulièrement des oiseaux et des poissons.“ Paris, 1845.

mieszkańców. Nie było też prawie ptaka, lub zwierza, w naszych lasach, stepach i moczarach, któremuby z życia zacisznego, osłoniętego gęstwiną kosodrzewiny lub szuwaru, nie podkradł kilku tajemnic. Nie zataiła przed nim dzierzba, gminnie zwana srokaczem, swych obłudnych, skrytobójczych nawyknień, ani jastrzęb gołębiarz swego aktorskiego powołania. Dzierzbę podpatrzył Wodzicki jak się uczyła naśladować śpiew tych ptasząt, które pokonać mogła, a następnie, zwabiwszy je śpiewem w zasadzkę, dusiła. Rycerskiego zaś drapieżnika, gołębiarza, podpatrywał często jak na gałęzi udawał śpiącą wronę lub odedtą, automatyczną sowę, aby tylko uspić czujność swych ofiar, a następnie dać im naukę za nieostrożność. Nietylko jednak strategiczne uzdolnienie dziczyzny w walce odpornej lub zaczepnej spotykamy w Wodzickiego opisach. Ogarnia on, jak to na samym wstępie zaznaczyłem, pełne życie martwej natury, oraz jej mieszkańców, we wszystkich fazach rozwoju, oraz we wszystkich porach roku. Najdrobniejsze zdarzenie, najbagatelniejszy objaw wśród puszczy lub moczarów, nie uszedł jego uwagi. Nawet gdy ujrzał pustą łupinkę laskowego orzecha, utkwioną wśród szczelinek kory starego dębu, niepokoiło go to podrzędne

zjawisko dopóty, dopóki się nie przekonał, że to wiewiórka, owa „lasów tanecznicą“, wydobyla oszczędności swe z zimowego spichlerza i spożywszy smaczne ziarno, utkwiała w szczelinie między korą niejadalną resztkę uczty.

Nic więc dziwnego, że przy takim zapale i wytrwałości w badaniu, Wodzicki pozostawił bogaty skarbiec spostrzeżeń, pomimo, że znaną mu była tylko część rodzinnych lasów i pól. Mógł on, jako myśliwy, powtórzyć za Reyem z Nagłowic: „tym też rósł, tym się chował, jako w lesie zając“; rzadko bowiem posuwał się dalej, przez Tatry, na węgierską stronę i tylko raz aż ku Koszycom pociągnął, zwabiony sławą starożytnego odyńca, który potężnymi szablami spłatał wielu psów i kłusowników. Spuścizna jego literacka jest też owocem spostrzeżeń myśliwego, a nie uczonego przyrodnika. Sam Wodzicki miał się za takiego, czując dobrze, że douczonych badaczy przyrody zaliczać się nie ma prawa i że zakres jego spostrzeżeń był bardzo ograniczony. Za to jako wykształcony myśliwy, pełen płomienego zapалу i przenikliwego zmysłu badawczego, zajmować będzie w literaturze naszej zaszczytne miejsce obok Cygańskiego i Ostroroga, a typem swym nie przestanie przypominać niestrudzonych łowców, gonią-

cych za zwierzem nawet w przeddzień śmierci, jak Stefan Batory, lub badających ciągle zwyczaje i nawyknięcia zwierza, jak Chryzostom Pasek.

Powyższą charakterystyką Wodzickiego, jako myśliwego, uważałem za stosowne poprzedzić sprawozdanie z jego prac. Chodziło mi bowiem o to, aby wykazać: w czem naukowym badaczom natury może być w dzisiejszych czasach pomocnym myśliwy i jakim wykształconym wyjątkowo i wyjątkowo uzdolnionym myśliwym był Wodzicki. Uwagi też, poprzednio wyrażone, uwolnią mnie prawdopodobnie od zarzutu, abym dla nemrodowej rzeszy chciał pozyskać uprzywilejowane stanowisko wobec naukowych badaczy. Dziś zwłaszcza, gdy często się zdarza, że uczeni przyrodnicy są zarazem wybornymi myśliwymi i podróżnikami, uroszczenie podobne byłoby wprost śmiesznem. Dzieła samego Wodzickiego będą też najlepszym dowodem, że myśliwy z wielkiem wykształceniem, zapałem i zmysłem badawczym, może być tylko słabą pomocą dla naukowego badacza i to wówczas jedynie, gdy idzie o zgłębienie obyczajów oraz charakteru dzikiego zwierza lub ptaka.

Porządkując literacką spuściznę Wodzickiego, dopuścić się jednak muszę pewnej samowoli. Oto przełamie porządek chrono-

logiczny jego prac, aby „Zapiskom ornitologicznym“ poświęcić w końcu uwagę. Ponieważ zaś traktat o sokolnictwie do tychże zapisków nie należy, przeto rozpatrywać go będę osobno i wprzód. Wreszcie nadmienić winienem, że tylko te prace Wodzickiego uwzględnię, które mają styczność z myśliwstwem i z opisem zwyczajów dzikiego zwierza lub ptaka. W logicznem więc następstwie opuszczonemi zostały te rozprawy Wodzickiego, które dotyczyły specjalnie rolnictwa. Ale nawet wszystkich jego myśliwskich obserwacyj nie byłem w możności zgromadzić. Nietylko bowiem wybornie redagowanego „Łowca“ zasiliał wieloma ciekawemi, choć drobnemi artykułami, ale i dużo innych czasopism, tak, że samo zebranie rozproszonego materiału przedstawia pewne trudności. Ograniczę się więc przeważnie na obserwacyjnych studiach Wodzickiego, które swego czasu ukazywały się w postaci książek lub książeczek, zdobywając sobie serca starych naszych Nemrodów.

W roku 1850 wyruszył Wodzicki z wiosną w Tatry i Karpaty, głównie dla zbadań ptactwa w porze gnieźdzenia się. Owocem jego mozolnej i utrudzającej wędrówki była praca, wydrukowana w Lesznie w 1851 r. p. t. „Wycieczka ornitolo-

giczna w Tatry i Karpaty galicyjskie na początku czerwca 1850 r.“ Spostrzeżenia, w tej książeczce zawarte, kosztowały Wodzickiego niemało trudu. Na wstępie bowiem o mało co nie wpadł z końmi w przepaść, a następnie lud górski, po wypadkach 1846 r., niechętnie mu tylko udzielał pomocy w wycieczkach i w tropieniu zwierza. O tem przeistoczeniu bolesnem wspomina Wodzicki z goryczą. „Jak piorun, kiedy w drzewo uderzy — są słowa naszego Nemroda — foremny kształt jego zmienia, tak grzmot i burza 1846 roku zmieniły charakter tego ludu, który ja sam pamiętam gościnnym, wesołym i radującym się z przybycia obcych. W tym roku góral ponury, bo na nim zbrodnia ciąży. Leniwy, jak włoski lazaron, bo do życia mało przywiązany, nie zna potrzeb i nie umie go zabarwić — żyje więc li dla brzucha. Podejrzliwy i bez zaufania, bo teraz między sobą praktykują, co dawniej innym robili. Obojętny na wszystko, a biedniejszy, jak kiedykolwiek. Wszystkie myśli komunizmu mieszczą się w tych biednych głowach“. Jeżeli też do tego niewesołego usposobienia ludu dodamy przesady, niedozwalające po zachodzie słońca dostać nigdzie nabiału, bo inaczej to krowy przysusza, w takim razie będziemy mieli wyobrażenie o niewygodach,

jakie Wodzickiego spotykały na każdym kroku.

Nie przeszkodziło to jednak młodzieńcemu naówczas Nemrodowi rozejrzeć się dokładnie w faunie tatrzańskiej. Najsamprzód uderza nas ciekawy opis zwyczajów świstaka, zwierzątko bardzo trudnego do obserwowania. Oto, co o nim pisze Wodzicki: „Gdy ucichnie, jeden z towarzystwa głowę pokazuje, rekognoskując; za jego przykładem, cała kolonia wychodzi. Jest wtedy świstak w ruchach swych ciekawy do obserwowania i częstokroć w kółko, na dwóch łapkach, zasiadają, jak ludzie do biesiady; gonią się, skacząc swawolnie. O samiczki bywają krwawe i zacięte walki. Łatwo się dają obłaskawić i w pokoju bywają pocieszne i zabawne. Pod zimę, zaniesiony do nieopalonego pokoju z słomą lub sianem, zaraz się zagrzebie i zaśnie do pierwszych promieni wiosennych. Przez zimę można tę próbę ze snem powtórzyć. Obudzi się w cieple, pożywienie przyjmie, zaniesiony nazad, niebawem zasypia. W niewoli karmi się jarzyną, najlepiej smakuje mu marchew“. Kozice zachwyciły Wodzickiego swym nieporównanym wdziękiem; oto, co o nich pisze: „Z wysokości kilkudziesięciu stóp zeskakują na śnieżną dolinę, jedna po drugiej, jak żaby do wody. Tam się zaczynają gonić

i rozpostarłszy racice, jadą po zamarzniętym śniegu na dół, nie uginając nóg. Gdy się oprą na dolnej skale, czwałkiem wracają na górę i znowu szlichtadę powtarzają; oka oderwać nie można od zajmującego widowiska. Różnią się od szwajcarskich tem, że śladu bródek nie mają. Koziorożec zupełnie wyginął. Wypytywałem się najznakomitszych strzelców i myśliwych, tak z naszej, jak i z węgierskiej strony, nawet już z tradycyi im nie znany“.

O sępach zebrał Wodzicki dosyć ciekawych wiadomości. „Sęp (*vultur*), jak opisuje, gnieździ się w Tatrach i na Ukrainie. Ogrom ptaka, rozszerzone skrzydła w krążeniu, przestraszają zwierzęta do tego stopnia, że jak przypadną do miejsca, ruszyć się nie mogą; to ułatwia zdobycz sępom, które częstokroć w towarzystwie kilku, jak wilki, polują na sarny, owce i dzikie kozy. Nie pogardzają zaś węzami i jaszczurkami. Sposób gnieźdzenia się sępa szarego (*cinereus*) długo badaczom był nieznanym. Dziś jeszcze jaja, znajdujące się po zbiorach, są sprowadzone z Grecyi. Ja miałem szczęście znalezienia dwóch gniazd tych ptaków. Jedno na samym szczycie wysokiej skały, drugie na trzech złamanych, lecz silnie trzymających się świerkach. Gniazdo tak szerokie jak orla, materiały użyte grubsze, gałązek

szpilkowych dużo, posłanie niedbałe z mchu i korzonków. W niewoli sęp okazuje się łaskawym i pojętym, zwłaszcza instynktową pamięcią wprawia każdego w podziwienie“. Jedno ciekawe spostrzeżenie, dotyczące orłów, podał nam Wodzicki, a mianowicie: że na dziesięć orlich gniazd, ledwie jedno można dostrzedz na skałach umieszczone, dziewięć zaś na drzewach i to jest jedna przyczyna, dla której w Tatrach rzadko orzeł widzieć się daje; druga zaś, że na tej wysokości pożywienie i wychowanie piskląt trudniejsze, a te są nienasyconemi.

Wodzicki nietylko możnowładcom powietrznym poświęcał uwagę; najdrobniejsza ptaszyna, jeżeli w swych zwyczajach przedstawiała coś oryginalnego, była pilnie przez niego obserwowaną. Strzyżyk (*troglodytes*) nie ukrył przed Wodzickim swego sztucznego gniazdka, które wygląda jak istny piecyk do pieczenia pieczywa, a z jakąż lubością opisuje rzadsze ptaki, które udało mu się spotkać. Oto np., co czytamy o pomurniku (*tichodroma*): „Ptak ten, przypominający krasnopióre nowego świata, dawniej tylko za mieszkańca Alp był uważany. Przecież znajduje się on w Tatrach, na turniach stromych składu wapiennego. Życie jego skryte, spokojne, milczenie chroniące przed zdradą, niedostępne mieszkanie, to wszyst-

ko pomurnika oczom ludzkim zakrywa, do tego nawet stopnia, że oprócz ornitologów, nikt uwierzyć nie chce, iżby to miał być ptak polski“. Wodzicki spotkał dwa gniazda pomurnika, ale, mimo wielkiej nagrody, nikt na sznurze do żadnego gniazda spuścić się nie chciał. „Widok tych ptaków, kształtnych i zręcznych, był tak zajmującym, że godziny całe przy tych gniazdach strawiłem. Gdy dotąd jedno tylko jajo w naukowym świecie się znajduje, które ornitolog Schinz posiada, i to nie z zupełnie pewnego źródła, mamy bodziec niepospolity do odzyskania zasłony tego niedostępnego gniazda. Pomurniki swobodnie żyją, od nikogo nie napastowane, nawet drapieżne ptaki szanują te delikatne żyjątka. Widziałem sokoła wieżowego, gnieźdzącego się o kilka sążni od ich gniazda“.

Prócz pomurnika, wprowadził jeszcze pluszcz, wodnokos (*cinclus aquaticus*), w zdumienie Wodzickiego. „Zręczność wodnokosa w nurkowaniu—powiada on—mimo że znaku pletw nie ma, i wytrzymałość jego w lodowatej wodzie, podziwienia godne. Rzuca się jak piłka w tak pieniającą wodę, że mniemać wypada, że porwanym być musi. Z łatwością jednak po chwili wylatuje z nurtów, aby na nowo igraszkę niebezpieczną powtórzyć“.

W lesie starodrzewnym, słowa Wodzieckiego, gdzie złamane kłody, prawdziwe barykady, przystępu bronią, ziemia okryta gęstemi borówkami, a pnie obrosłe krzakami malin i ostreżyn, tam siedlisko głuszców. Na uboczu jednej góry, można ich spotkać do 20 sztuk. Sam spotkałem w Tatrach, nad granicą węgierską, w szalasie, garnek z jajecznicą, co mnie mocno zadziwiło, w miejscu, w którem ludzie żyją li mlekiem. Zapytawszy się, dostałem dla ornitologa bolesną odpowiedź: „My tu często jaja jędorów dzikich jadamy“. Głusza, ze znośzeniem jaj, kryje się przed głuszcem więcej, niż przed człowiekiem, ten bowiem, napotkawszy jaja, tłucze je niemiłosiernie. Stare zaś samcy zacięcie seraju swego przeciw młodszym bronią i nie przypuszczają do wspólności. W Karpatach polowanie na grze wiele przeszkód napotyka. Najpierw, grają przed wschodem słońca, kiedy zupełnie ciemno, w lasach czarnych, szpilkowych. Siedząc na szczycie złamanego świerka, oko ludzkie go nie dojrzy. Zlatuje zaś zawsze na dół, w równie ciemne drzewa, tak, że strzał śmiertelny nie pewny. Powtóre, w ziemię, zakrytą przymarznionym śniegiem chrupiącym, myśliwy chcący ku końcu gry stanąć nieruchomy, zapada po chwili własnym ciężarem i płoszy te

ostrożne ptaki. Najlepszy zaś pies nie jest w stanie cokolwiekbaż wypędzić z gąszczu kosodrzewiny; wietrzy, staje, posuwa się mozolnie między wężykowatemi gałęziami i nareszcie, skomląc z bólu, wraca. Przystęp dalszy niepodobny, ptak zaś, pewny bezpieczeństwa swego, biegnie z krzaku pod krzak, nie myśląc o zerwaniu się.

Kuropatwa skalna przechowuje się w małej ilości, w najwyższych, skalistych Tatrach. Z przyczyny mrozów, śniegów, braku pożywienia, na tej wysokości stadka są małe i z tych niejeden członek wiosny się nie doczeka. Pod zimę resztki stad gromadzą się razem i na szczytach, gdzie wiatr zwieje śnieg, żyją do wiosny, chłodno i głodno. Widząc zaś pośpiech, z jakim usuwają się słonki w jesieni, niepojętym się staje ich wczesny ciąg na wiosnę. Gdy góry kilkusażniowym śniegiem pokryte, już posiadają poparzone słonki. Dzikie gęsi czasem się zbłąkają i gęganiem skarżą się, na trudność przedostania się przez łańcuch gór. Nad doliną zaś Kościeliską jest staw, trafnie zwany zgniłym i na takiej wysokości kaczka krzyżówka wychowała szczęśliwie kaczetą.

Lasy tatrzańskie i karpackie, w opowieści Wodzickiego, mają zawsze jakiś urok smętny i przeważnie głusza, rzadko prze-

rywana, je zalega. Drozd tylko, śpiewak, rozwesela swym śpiewem Tatry i Karpaty, a ogrzany miłością, znosi przykrą górską wiosnę. Kwiczoły omijają Karpaty, wilga zaś bawi krótko i nie gnieździ się prawie nigdy. O tych wilgach powiada Wodzicki, że są to pewnie wdowcy, nieszczęśliwi lub bezzenni kawalerowie, włóczęgi całego świata, nie mający zakątka miłego w gronie familijnem. To mniemanie potwierdza spostrzeżenie Kuntza, który utrzymuje, po długoletniem doświadczeniu, że wilgi samce, dopiero w drugim lub trzecim roku się parzą. Wreszcie ciszę lasu przerywa od czasu do czasu namiętnym wybuchem grzywacz.

Głos ten huczący, żaloszny, w przedłużeniu głuchy, roznosi się poważnie po lesie, a gdy się wabią, zdaje się słyszeć nadzwyczajne tony istot nie tego świata, dających sobie wzajemne hasło. Kończy zaś Wodzicki swą „Wycieczkę“, następującą uwagą: Opuszczam niektóre gatunki, przezemnie nie trafione, mimo, że się znajdować mogą, a to z powodu, że nie chcę niczem, niezupełnie pewnem, lub fałszywem, zaciemniać nauki, jak to autorowie, pracujący całe swe życie w gabinetach, robią, opierając się na podaniach leśniczych lub wieśniaków, lub też na poprzednikach, którzy nie z lep-

szych źródeł czerpali. Nie jest to pismo ornitologią; ktokolwiekby w tej książeczce szukał źródła dostatecznego do obznajmienia się z tą nauką, niech ją położy i nie czyta.

Dziś, po latach czterdziestu, „Wycieczka“ Wodzickiego jest ciekawym dokumentem, wyjaśniającym, jaką w owe czasy była fauna Tatr i Karpat. Po roku 1880, rozmawiając z Sabałą i innymi wybornymi kłusownikami tatrzańskimi, miałem sposobność przekonać się, że sęp, o którym Wodzicki napisał kilka spostrzeżeń ciekawych, przestał być znanym. Jeden Sabała zabił tylko przed laty dużego „orła z gołym łbem“, gdy siedział na „smerku“, bo miał w skrzydłach „bolączkę“. Zresztą o sępach było głucho i to ich zniknięcie datuje się prawdopodobnie od czasu, gdy rozmnożone w Tatrach wilki zaczęto tępić za pomocą zatrutej padliny. Jak mi opowiadali górale, zginęło wówczas dużo orłów i starych wielkich kruków; być bardzo może, że sępy, jako najbardziej na padlinę łakome, ucierpiały wówczas najwięcej. Jeżeli jednak sępy, z którymi Wodzicki się spotykał, zaginęły w Tatrach prawie zupełnie, to znowu rysie, kilkanaście lat temu, nawiedziły Tatry, przywędrowawszy od węgierskiej strony. Sabała był już wów-

czas za starym, aby mógł marzyć o podejściu tego drapieżnego gościa, inni zaś, słynni i doświadczeni kłusownicy, opowiadali istotne dziwy o zmyślności i czujności rysia w Tatrach. Nie słyszałem, aby który z nich przyszedł kiedykolwiek do strzału do rysia, a jednak mniemam, iż kłusownicy tatrzańscy wzrokiem, cierpliwością i chytrością, górują nad wszystkimi towarzyszami w zawodzie z innych dzielnic. Gdy próbowali napędzać rysia, jak to ze skutkiem czynili z kozicami, ryś zawsze dość wczesnie przewidział zasadzkę i ciskał się w przepaść, udaremniając zamiary czatującego na przemyku łowcy. Ryś okazywał się też w Tatrach niezmiernym szkodnikiem. W zimie, gdy kozice zstępowały do reglów, czyli lasów podgórskich, ryś odprawiał dopiero swe prawdziwe gody. Z drzewa ciskał się zwykle na stado kozic lub sarn i nie poprzestawał na jednej ofierze, lecz zraniwszy ją śmiertelnie, pędził natychmiast za drugą. Kozice zawdzięczały zwykle swej zwinności i sile ocalenie, pozostawiając na pożarcie drapieżnikowi jednego familianta; sarny jednak, mniej silne i zwinne, na falistych i głębokim śniegiem zasypanych obszarach, padały łupem i jak mi opowiadano, nieraz się zdarzało, iż ryś odrazu całe stadko sarn wytepił.

Kłusownicy tatrzańscy nie zaznali jednak spokoju, dopóki nie zrobili śmiertelnego obrachunku z rysiem. Wynaleźli też, po licznych próbach, sposób obrzydzenia mu tak częstych łowów wśród Tatrów. Żelaza, zastawiane nad strumieniami, gdzie zwykł chłodzić swe pragnienie, a obok śmiercionośnego narzędzia, odpowiednia przynęta z żeru, okazały się dla rysia złowrogami. Opowiadano mi, z nietajoną chlubą i z urąganiem zmyślnemu zwierzowi, że w roku 1880—1, zdarzył się nawet taki wypadek, iż dwóch rysiów złapało się naraz w jedne żelaza. Szamotanie było tak silne, iż żelaza zostały wyrwane z ziemi i wraz z nimi wpadły rysie do strumienia, gdzie śmierć znalazły. Obecnie, dzięki żelazom, ryś należy znowu do rzadko widzianych turystów wśród Tatr.

W roku 1858 wydał Wodzicki w Warszawie traktat „O sokolnictwie i ptakach myśliwskich“, który należy do studyów naukowych, poświęconych historii naszego dawnego myśliwstwa. Niewątpliwie, obserwacye własne Wodzickiego, jakie czynił nad sokołami i jastrzębiami, przyczyniły się do tego, iż przeszłość myśliwska wystąpiła pełniej i żywiej w jego traktacie. W każdym razie, rzecz o sokolnictwie nie należy bynajmniej do rzędu zapisek, lecz jest w peł-

nem tego słowa znaczeniu rozprawą, historyi naszego myśliwstwa poświęconą.

W przedmowie do „Sokolnictwa“, zaznacza Wodzicki, że namiętność do polowania nie opuszczała Polaka nawet w wojennych czasach: z zabaw górowała nad innymi, była nietylko rozrywką, lecz hartem dla młodzieży, wyczynkiem dla powracających rycerzy, jedyną zaś zabawą szlachty, mieszkającej na wsi. Myśliwstwo stało wyżej w naszym kraju, niż na kontynencie; nasze charty nie miały sobie równych, kundysy w małej liczbie stanowiły i osadzały niedźwiedzia, a cóż dopiero powiedzieć o tych psiarniach i sokolarniach królewskich, książęcych i możnych panów? Wodzicki z chlubą wspomina, że naprzód Jan Kazimierz, a po nim August II-gi, posłali w darze jedenaście sokołów Ludwikom XIV i XV-mu, które rozpoczęły od tego, że pobiły królewskie, francuskie ptaki. Sobieski znowu posłał cztery sokoły szachowi perskiemu, a tatarzy zwykli się byli z niewoli polskiej wykupywać sokołami.

Już Pliniusz zauważył: „że jest tam jakaś tajemna umowa między ptakami drapieżnymi a strzelcami“. We wszystkich też krajach posługiwano się sokołami i jastrzębiami do myśliwstwa. Fryderyk II-gi, cesarz niemiecki, w słynnym swem dziele:

„De arte venandi cum avibus“³⁷⁾, zaświadcza, że z Polski dostawał sokoły zupełnie ułożone, a o nim powiada Wodzicki, że łowczy litewski lub ukraiński mógłby pozazdrościć pióru cesarskiemu opisów układania sokołów. W Polsce, już w XIII wieku, nadawali panujący przywileje, znoszące uciemniającego obowiązek żywienia i utrzymywania sokołów. Przywileje podobne uważane były zawsze jako dar niepospolity. W każdym razie, gdy sokół zginął, wtedy gromady były obowiązane wychodzić z całej okolicy na odszukanie ptaka. Sokolnicy i ptasznicy stawali na czele wieśniaków i podzieliwszy się na drobne oddziały, kilka dni po lasach i polach obławą chodzili i często bardzo sokoła zgłodniałego, znającego gwizdanie, do domu przynieśli. Po takim zdarzeniu zwykle wielka radość następowała.

Najsłynniejsze polskie sokolarnie znajdowały się w Łowiczu, Niepołomicach, Miechowie i Płocku. Polowanie z sokołami aż do XV-go wieku było niemal wyłączną zabawą panujących i tych, którym tej zabawy przywileje dozwalały. Później, noszenie sokoła, oznaczało szlachcica, jak noszenie szabli. Oznaka ta była powszechna,

³⁷⁾ Augsburg, 1595.

jak dowodzi przysłowie francuskie: „le faucon est le compagnon inseparable du noble chevalier“. Sokoły, jak to nasz Crescetyń pouczał, pojawiły się naprzód na górze Gelber, która jest w stronach babilońskich, potem przyleciały do słowiańskiej ziemi ku jeziorom, a ztąd się rozmnożyły po innych górach. Sokół nosił różne nazwy, stosownie do swych łowieckich przymiotów. Najpochlebniejsza jednak była, gdy go zwano „nurkiem“; dostawała się ona tylko tym sokołom, które się nagle spuszczały pod ofiarę, przez co ptak ścigany, wzbijał się coraz to wyżej. Wyuczenie sokołów podzielił już Cygański na „unoszenie, uwabianie, ukarmianie i w pole noszenie“. Przedewszystkiem jednak musiał być sokół złowionym. Doświadczony sposób łowienia, najłatwiejszy i używany od najdawniejszych czasów, był następujący: rozsyłano ptaszników, łowców i myśliwych po lasach, dla szukania gniazd sokołów i jastrzębi; do nich przyłączali się chłopci z żyłką myśliwską, dozorczy i leśni. Ta gromadka ludzi, zachęcona nagrodą pieniężną, przeszukawszy lasy, naznaczała siekierą drzewa w około gniazda, a również znaki zostawiała od gniazda do drogi lub łąki, aby tamże z pewnością znowu trafić. Każdy leśniczy w swoim lesie miał ten sam obo-

wiązek i łatwo mu było go wypełnić, bo gdy wiosna nadchodziła, uważał bacznie krążące ptaki, które zawsze nad gniazdem bujają, pieszcząc się w powietrzu, bijąc napastników lub rywali.

Ptaki drapieżne, budując obszerne gniazda, mają wielką pracę z tą budowlą i jak tylko mogą, od niej się uwalniają. Dlatego, mimo częstego pustoszenia nawet, gnieźdzą się na tem samym miejscu lat kilka i kilkanaście, lub też słabszych kolegów od gniazda odbijając, na swój użytek je zabierają. Zrobiłem ciekawe spostrzeżenie, powiada Wodzicki, a od lat kilkunastu potwierdzone, że ptaki drapieżne czulsze są na utratę jaj, niż piskląt i tak np. w pierwszym przypadku nie powrócą na to samo gniazdo drugiego roku i innych lat, nawet często zupełnie las opuszczają; gdy zaś przeciwnie, po utracie piskląt, nawet przez lat kilka wiernie pozostaną przy gnieździe. W niewoli, mimo że pod sobą jaj nie mają, przez pewien czas siedzieć będą.

Odkrywszy gniazdo sokoła, trzeba się przekonać przedewszystkiem, czy samica siedzi. Jeżeli istotnie jest na gnieździe, wtedy nie potrzeba na drzewo posyłać, bo są jaja, lub w puchu piskląta. Od tego dnia, we dwa tygodnie, zwiedzić wypada gniazdo, aby się przekonać, w jakim stanie

są sokoły, bo jedne potrzebują 3—4 tygodni do zupełnego wykarmienia, inne i sześć; zależy to od bystrości ptaków i zręcznego łowienia, a bardziej jeszcze od miejscowości, mniej więcej w zwierzynę obfitej. Im prędzej pisklęta rosną, tem lepszymi będą ptakami, bo to oznaka zręczności i śmiałości w rodzicach, a siły trawienia w dzieciach. Jest to ważna wiadomość dla sokolników, którzy nie znając terminów znoszenia jaj, pory wysiedzenia i wykarmienia, wiele czasu tracić będą, a do tego nie mało ptaków im uleci.

Gdy już pierwsze pierze pokazywać się zacznie na pisklętach, potrzeba albo codziennie odwiedzać gniazdo, albo też mocnym sznurkiem, (bo młode i stare starać się będą oddziobać więzy), przywiązać na pęta u nogi pisklęta do otaczających gałęzi, a tak rodzice długi czas je jeszcze żywić będą i sokolnik prawie dorosłe, i już drapieżne, do domu zanieśie. Służyć one będą za gałęźniki, które za dawnych czasów tak poszukiwane bywały, jako najbystrzejsze i najłatwiejsze do ułożenia. Gałęźnikami bowiem nazywano sokoły, co tego dnia gniazdo opuściły i nie mając jeszcze wprawy i siły potrzebnej do lotu, po gałęziach, niedaleko swej kolebki, przez matkę prowadzone, uganiały. Potrzeba by-

ło ludzi do gonienia ich z drzewa na drzewo, dopóki zmęczenie nie sprowadziło ptaków coraz niżej, aż do ziemi. Ptaki, co pierze zaczynały dostawać, zwano gniazdownikami; te wymagały długiej wprawy do nabrania potrzebnej odwagi i drapieżności.

Wszystkie ptaki, zdaniem Wodzickiego, a szczególnie drapieżne, znoszą ostatnie jaja małe, w kilka dni po innych jajach. Z tego wykluwa się pisklę, nazwane dawniej „gniazdosze“, z tej przyczyny, że gniazdo opuszcza później niż rodzeństwo i te gniazdoszeta sokolnicy wysoko cenili. Trudno określić przyczynę, dla której te benjminy miały służyć człowiekowi lepiej, niż inne sokoły. Może tą przyczyną jest zapatrywanie się na starszych i uczenie od nich rozdzierania ptaszków i zwierzyny, przez rodziców dostarczanej?

Najprostszym i najlepszym narzędziem do łowienia sokołów jest potrzask (samotrzask), jak na sikory lub inne drobne ptaszeta, lecz zamiast wabika, na spodzie siedzieć winien gołąb. Wszelkie sposoby łapania na żelaza, są niedobre, gdyż nogi kaleczą, lub kości tłuką i sokół złapany, już nigdy tak silnym nie jest, ani też tak zdrowym. W XIX wieku, jak utrzymuje Wodzicki, łowienie tych ptaków wymaga rzeczywi-

stego przemysłu, zamięrowania i znajomości miejsca zamieszkania sokoła, również jak jego przelotów codziennych.

Ukrócenie, czyli unoszenie sokoła, jest wielorakie. Niemal każdy sokolnik miał swoje sposoby, czyli tajemnice tresowania ptaków do polowania. Wiele bardzo tych sekretów zaginęło, nietylko z przyczyny upadku sokolnictwa samego, lecz jeszcze dlatego, że myśliwiec strzegł swej tajemnicy, jak skarbu i najczęściej ją też do grobu zabierał. Inaczej przyswajano młodego ptaka (rabca), inaczej gniazdoszeta, lub gałęźniki, a znowu innych używano fortelów na złowione starsze ptaki. Nie stało w lasach sokołów, brano jastrzębie i krogulce; gdy i tych zabrakło, sztuka myśliwska używała błotniaków i kań, wprawdzie nie do łapania, lecz do straszenia i nakrywania siecią zwierzynnych ptaków, które to polowanie najwięcej rozpowszechnionem było i najdłużej się przechowało.

W ubiegłych wiekach dwa główne istniały w Europie źródła sokole, pierwsze w Kopenhadze, gdzie sprowadzano rocznie po kilkadziesiąt młodych sokołów z Islandyi i Grenlandyi, uczono je i sprzedawano. Drugie w Gdańsku, dokąd znowu ze Szwecyi i Norwegii przybywało bardzo wiele ptaków. Pierwsze, najdoskonalej unoszone,

posyłane były do Francyi, Hiszpanii i Niemiec, niewiele się z nich do Polski dostawało, dla trudności komunikacyi, a szczególnie dlatego, że cena za czystego sokoła dochodziła od 300—500 złotych holenderskich. W okolicy Gdańska, chciwi na zarobek sokolnicy, aby prędko ukrócić czyli oswoić ptaka, morzyli go nad siły; sokół się dał ułożyć wprawdzie, lecz był powolny, chudy, smutny, często „chromał“, jak mówili myśliwi i rzadko kiedy dwie jesienie służył swemu panu. August II miał białozory najdoskonalsze z Danii; za jego panowania i magnaci z wielkim kosztem sprowadzali sokoły, czego następstwem było, że i król duński, miłujący to polowanie, wydał rozporządzenie, że nikomu nie wolno sprzedawać sokołów do obcych krajów, dopóki jego sokolarnie nie będą zaopatrzone.

Układanie ptaków dzielili myśliwi: 1) na ukrócenie, czyli oswojenie z ludźmi, psami i końmi, 2) uwabienie, t. j. poznawanie gwizdania swego pana, 3) unoszenie na berle i rękawicy i jazda w pole, czyli pierwsze próby dokończenia edukacyi sokoła. Naturalnie, że inne było wychowanie gniazdosząt, gałęźników, inne rabców, czyli pstrokaczów, inne jeszcze złapanych starszych ptaków. Wyuczenie sokoła, aby między uszami siedział, wyjeżdżanie rumaka,

aby tę niewygodę spokojnie znosił i przy pewnym znaku, danym przez jeźdźca, głowę spuścił i ułatwił ptakowi polot—to już było mistrzowską tresurą. Z polowania sokół nigdy głodny wracać nie powinien. W czasie skwaru wielkiego, wiatru, deszczu, lub mocnej mgły, nie należało wyjeżdżać w pole, bo sokół mógł zachorować, a z pewnościąby się zniechęcił lub stępniał. W zimowej porze sokół musiał mieć izbę suchą, bez przeciągów i z temperaturą wyżej zera. Szczególniej w czasie pierzenia musiał być dobrze karmiony i ciepło trzymany. Dziwoki (sokół w epoce, gdy się wszystkiemu dziwi) i rabce, zwykle trudniejsze były do ułożenia, lecz wcześniej niż inne, bystrością lotu, siłą i odwagą, przyjemność sprawiały. Białozory i rarogi były najtrudniejszymi do ułożenia, sokoły zaś wędrownie, czyli szlachcice, prędzej się unosić dawały, podobnie jak jastrzębie gołębiarze, a najłatwiej krogulce i sokoliki.

Sokoły, krogulce i sokoliki wprawiano po kilka razem na większe ptaki, jak: żórawie, dropie i gęsi; pojedynczo używano ich jedynie na drobną zwierzynę. Musiały razem mieszkać, jadać, razem też zaprawiano je do łowów. Pocieszny to był widok, gdy kilku drobnych sokolików i krogulczyków atakowało dropia lub żórawia

i zmuszało go do ziemi się spuszczać, trzepocząc nad nim ustawicznie, dopóki psy lub myśliwi nie nadbiegli, aby się powtórnie w powietrze nie wzniósł. I szlachetne sokoły wprawiano, aby wspólnie bić na dropie, żórawie, gęsi, a szczególnie pod zimę na łabędzie. Ptaki te, zgodne między sobą, polowały jak ogary lub kundysy, jeden drugiemu pomagając i wspólnie odbierały nagrodę.

Jeżeli sokół złożył dowody swej waleczności, zdawał egzamin najtrudniejszy, a ten wymagał zwalczenia w powietrzu drugiego sokoła. Okrutny ten pojedynek doskonalił ptaki i przedstawiał widok zachwycający. Sokoły w jednej chwili z bereł spuszczone, wzbijały się, kołując w powietrzu, coraz wyżej, aż pod chmury i obłoki. Każdy z nich starał się górować nad drugim, aby mu z wierzchu zadać razy; podobna walka trwała 30—40 minut. Niekiedy, na polecenie właścicieli, obydwie sokoły, spięte między sobą szponami, spadały i na ziemi dokończyły powietrznej walki. Pokaleczonych, zmęczonych bojowników, opatrywano, rany balsamem zapuszczano i bandażowano wobec wszystkich widzów, a nieraz z placu boju nieżywy odniesiony został, lub też pokaleczony później zdychał. Największy tryumf sokoła był, gdy wygórowawszy nad prze-

ciwnika, uderzył z wierzchu na niego i jednym cięciem zrzucił go na ziemię.

Sokoły, uposażone znacznym stopniem poznania i pamięcią, dziwnie się przez rozumne używanie wykształcały i doskonaliły, czego dawały jawne dowody tysiącami podstępami, nieprzewidzianymi zwrotami w powietrzu i wyrachowaniem, opartem na doświadczeniu, jak najłatwiej pokonać mocniejszego nieprzyjaciela. W chwili, kiedy czapła w powietrzu się przewraca i nadstawia napastnikowi spiczasty dziób, na którym nie jeden zapamiętały ptak się przebijał, on, doświadczony i zwrotny, lotem strzały spuścił się pod nią, (nazywano to nurkowaniem) i z pod spodu czapłę, szponami ujętą, na ziemię ściągał. Szybkość, siła i wytrwałość lotu sokoła, jest podziwienia godna. Próby, robione i zapisywane, dowiodły, że na godzinę ośm mil przelecieć może i że 24 godzin bez natężenia sił podróżuje. W roku 1844 cesarz Ferdynand sprowadził z Malty kilka sokołów do Prateru w Wiedniu. Na pierwszym polowaniu nad bagnami Dunaju, ptaki powróciły do Malty i przebyły drogę w ciągu trzydziestu godzin. Również Kazimierz Wielki, otrzymawszy sokoły z Marienburskiego zamku, stracił je na pierwszym polowaniu i pokazało się, że jednym lotem do dawnego pana wróciły.

Sposób przechowywania sokołów w ziemi był następujący: Izba winna być suchą bez znacznego światła, berła dwa lub trzy stać mają na środku, aby ptak mógł przelatywać i skrzydła wprawiać. Jeść ma mięso łatwe do strawienia, aby zbytecznie nie tył; żadnego przeciągu powietrza być nie powinno, a dla bezpieczeństwa, berło obwinięte słomą lub sianem, aby nóg nie odmroził, gdy w nocy mocny mróz przycisnie. Spokojność zalecają wszyscy. Pana swego codzien kilka razy widzieć musi, słyszeć jego głos i pożywać pokarm z jego ręki. W przeciwnym razie niebawem zdziczeje. Pierzenie się ptaków w niewoli, jest to zawsze stan chorobliwy, wymagający troskliwej opieki i znajomości. Im staranniej hodowany, tem prędszej i lepiej się wypierzy; im niedbalej, tem dłużej stan ten trwa; ptak opada na siłach, pierze nierówno wyrasta, a częstokroć sokół zdycha po drugim lub trzecim pierzeniu. Ciągłe stać musi woda w płaskim naczyniu, aby sokół mógł się kąpać, gdy zechce, a podłoga winna być posypywana piaskiem, ciągle odmienianym, bo ptaki połykają często drobne kamyczki, dla ułatwienia sobie trawienia. Jeżeli zaś kto kilka w tej samej izbie chowa sokołów, niech je ma na pętach, do berła pęcą przymocowanych, przy najmniej-

szym bowiem głodzie, rzuca się jeden na drugiego i pożera go, lub też w napadzie złości zdarzają się krwawe i wielce szkodliwe walki.

Polowanie zaczynało się na Ś-ty Bartłomiej, jak i w dzisiejszych czasach, z początku na przepiórki, kuropatwy, cietrzewie i kaczki z sokołami, jastrzębiami, krogulcami i sokolikami. Koło Ś-go Michała, na zające, zórawie i dropie karzelki; w październiku na dropie i gęsi; później na łabędzie, zające i pozostające jeszcze dropie. W zimie, na śniegu, upatrywano zające i szczuto sokołem i jastrzębiem, jak dziś chartami. Nazywano to: polować pod pierzem. Sokoły najlepiej używać się dały od wschodu słońca do godziny dziesiątej, jastrzębie bywały ochotniejsze ku wieczorowi.

Polowanie z ptakiem dzieliło się na sokolnictwo: leśne, polne i wodne, na drobne i większe ptactwo, polowanie z siecią, ze psami na zwierza, a nareszcie łowy w powietrzu i na ziemi. Królewskie wystawne łowy były na czaple. Czapla siwa lub biała upstrzona, przy wodzie, jeźdźcami otoczona dokoła, psem lub hałasem płoszoną bywała. Nie pierwej wypuszczano na nią pierwszego sokoła, aż kiedy wodę minęła, aby przypadkiem zacięty ptak nie

utopił się wraz z czapłą. Kilku też sokolników stało po czterech bokach wody, aby ją najbliżej poszczuć ptakiem. Na Podolu i Ukrainie, gdzie się gnieździ wielka ilość czapel purpurowych (*Ardea purpurea*), a które lot mają jeszcze bujniejszy i jaśnieją pięknem swem pierzem, ptaki te widowisko więcej urozmaicały i ubarwiały, niż siwe czaple.

Drugie polowanie, już więcej myśliwskie, chociaż równie wystawne, było na łabędzie w miesiącach późnej jesieni, kiedy te ptaki swą północną siedzibę opuszczają przed łodami i po naszych bystrych rzekach lub głębokich jeziorach kilka tygodni bawią. To polowanie miało zupełnie inny, sobie właściwy urok. Ptak śnieżnej białości, kołyszący się jak żaglowa łódka w powietrzu, zaginając ozdobnie długą swą szyję, siłą budowy i siłą powolnego lotu, bronił się niejako biernie, trzymając się o ile możliwości nad powierzchnią wody i to było pierwszym niebezpieczeństwem dla sokołów, bo mogły być potopione, przy zaciętej ich natarczywości. Drugie było jeszcze większe, gdy łabędź, zrzucony na brzeg, olbrzymiem skrzydłem śmiertelne ciosy zadawał. I na tem polowaniu sokoły dziwnie wykształcały swój rozum. Doskonale wprawiony, w głowę tylko bił łabędzia, nie zbliżając się do niego na ziemi.

Na dropie, żórawie i gęsi dzikie, jechali myśliwi w kilka koni, z sokołami na ręku, w pole. Na płaszczynach wołyńskich i ukraińskich zdaleka widać było żerujące ptaki; jeźdźcy się rozjeżdżali, otaczając do koła zwierzynę wolno i w oddaleniu i dopiero spłoszone, podrywające się ptaki, goniono najpierwszym sokołem, który był przy jeźdźcu, stojącym najbliżej nadlatującej zwierzyny. Wypuszczony, jak strzała, przesywał powietrze, zagradzając drogę ulatującym; dopiero sokolnicy, dojeżdżając coraz bliżej, puszczali ile było sokołów, z których każdy, wybierając sobie ofiarę, gromił ją sam, lub przy pomocy towarzysza, a jak tylko która sztuka do ziemi się już spuszczała, szczuto chartami, które doduszały ofiarę. Zdarzało się, że całe stadko, w kupie trzymane przez natarczywych sokołów, straciwszy wszelką przytomność, opuszczało się do ziemi i wtedy wielką ilość psami duszono, koniem tratowano, a resztę harapnikami i pałaszami dobijano. Cała sztuka myśliwca zależała na tem, aby zręcznie i na czas puszczać sokoły, szczuć przytomnie psami, odbierać zaduszone, wskazywać żywe, w oddaleniu siedzące i jak mówiono, ubić i wziąć w niewolę, ile tylko można było.

Na kaczki trzeba było zaprawiać nad

wodą sokoła, czy to na swojskiej, czy też na gołębiu, wypuszczanym w podobnych miejscach. Łódka powinna być z tak urządzeniem berłem, aby górowało nad zarośla i szuwary, a ptaka należy w tej tylko odległości puszczać, z której na berło powrócić może, niosąc kaczkę złowioną i używać samych silnych gatunków. Polowanie na cietrzewie odbywało się z wystawnym orszakiem. Rzędem jechali zwolna jeźdźcy po mokrawych łąkach, przerosłych olszyną, na Rusi czacharami zwanych, przed nimi kilku wyżłów wietrzyło i szukało cietrzewi. Na zerwane puszczano sokoły, które w mgnięniu oka, uchwyciwszy ptaka, wracały do panów. Przy podobnych łowach i inną drobniejszą zwierzynę, jak kuropatwy, chróściele, bekasy i t. p. łowiono. Na kuropatwy i przepiórki po polach jeżdżono z legawcami, jak na cietrzewie. Łatwo je było łowić, bo niebawem zapadały i znowu je psy płoszyły, za trzecim zaś i czwartym razem przestraszone, tak przywarowały, że je czapkami nakrywano, przy sokole trzepocącym się nad niemi w powietrzu i żywe do domu noszono.

Polowanie z ptakami na zające—to były prawdziwe harce dla dziarskiej młodzieży. Do tego polowania najczęściej używano jastrzębia-gołębiarza i wielkich samic szla-

chetnych sokołów. Polowanie leśne było mniej rozpowszechnione, a od czasu wynalezienia palnej broni, zupełnie zaniechanem zostało. Zwykle w lasach, poprzerzynanych łąkami obszernymi, w gajach otoczonych łąkami, w bagnach zarosłych trzcinami i oczeretami, puszczane były psy gończe, (nazywane w owym czasie walhy), które zwierza goniąc po gęstwinach, nareszcie na wolne miejsca wypłaszały. Puszczano sokoły na drobniejszego zwierza, orły zwane birkutami na sarny, a jeźdźcy, zaskakujący od gąszczów, ułatwiali łowy ptakom. W każdym razie, między krzaki i zarośla, lub w bliskości trzciny, niebezpiecznie było puszczać ptaki na zające. Gdy bowiem sokół, wbiwszy szpony w zwierza, nie raził go śmiertelnie, wtedy w ucieczce uderzany był o pnie i drzewa, a nie mogąc się uwolnić, nieochybnie potarganym został.

Do połowy XVIII wieku, ledwie że się znalazł rzeźwy szlachciec w kraju bez sokoła, podjezdka, legawca i smyczy chartów. Polował magnat, polowali duchowni wojakom towarzyszył sokół w pole, polowała też i szlachta i to zapamiętała, zresztą robiła namiętnie wszystko, do czego się tylko zabrała; polowały nawet kobiety. Można zatem śmiało powiedzieć, że oprócz kmiotków, cały kraj polował. Wszędzie by-

ły sokoły dla zabawy, a przy nich chowano jastrzębie, krogulce i sokoliki, używane do sieci, dla zwierzyny. Gdy już nie dało się za pieniądze dostawać ułożonych sokołów, wtedy powstawała wielka ilość myśliwców, trudniących się unoszeniem ptaków drapieżnych różnego gatunku, dawniej wcale nie używanych, szczególnie ułożonych do nakrywania zwierzynnego ptactwa rozjazdem. Sokolnik był wtedy poszukiwany, jak dziś zagraniczna guwernantka; jego chleb był intratny i wygodny.

Do pierwszych lat naszego stulecia przechowały się jeszcze po niektórych domach sokoły, stare pamiątki dawnego myśliwstwa polskiego; lecz już nie na berłach i rękawicach, ale po śmieciach kuchennych, szukały szlachetne starce pożywienia, wążając się, jak bociany. Inne czasy, inne obyczaje. Sokoły też zastąpiono strzelbą, sokolnika byksenszpanerem, a łowy polowaniem. Wodzicki pamięta sokoliki i jastrzębie w Galicyi, dosyć dobrze unoszone, między innymi kobuza (*F. subbuteo*), który na dzień łapał bez najmniejszego wysilenia ośm do dziesięciu przepiórek, lecz że to ze wszystkich łowczych ptaków jest najchimeryczniejszy sokół, istny humorysta, tak i ten sanoczanin nie zawsze miał ochotę do łowów, lub też spożywszy kilkanaście głó-

wek, odlatywał sobie na drzewo i wytrzymał czasem kilka godzin swego pana, nim wrócił na rękę. Wodzicki także polował z sokołami, przywiezionymi przez Czerkiesów i Kurdów do Królestwa Polskiego i przyznaje, iż były doskonale obnoszone i niezmordowane do łowów. Ptaki te zrzecznie kuropatwy i dzikie gołębie w lot chwytaly i puszczane były przez jeźdźca, siedzącego na koniu. W roku 1842 widział Wodzicki polowanie Czerkiesów z kobuzem i krogulcem na przepiórki, kuropatwy i błotne ptaki z rozjazdem, rzeczywiście wydatniejsze, niż ze strzelbą najlepszych myśliwych. Sam zaś z błotniakami i jastrzębiami, na pęczach puszczanemi, w najpóźniejszej jesieni strzelał kuropatwy, które tak przywarowywały, że je wygodnie siecią nakryć można było.

Kończy Wodzicki swój traktat o sokolnictwie opisem szczegółowym wszystkich gatunków sokołów, dołączając przytem do opisu ich podobizny. Jakkolwiek i w tej części pracy znajdujemy dużo ciekawych szczegółów, odnoszących się do łowów i do charakterystyki ptaków, ze względu jednak, że przeważa w niej, bądź co bądź, treść ornitologiczna, ważna dla specjalnych badaczy przyrody, pomnę ją, zwłaszcza, że mówiąc o jastrzębiu-gołębiarzu,

jeszcze do zwyczajów ptaków drapieżnych powrócić będę zmuszony. Co się zaś tycze całej monografii, to powtórzyć winienem, iż ze wszystkich prac Wodzickiego, rzecz o sokolnictwie nosi najwybitniejsze piętno naukowego traktatu. Studium historycznym pomagało wprawdzie na każdym kroku doświadczenie Wodzickiego, nabyte w obserwowaniu sokołów i w polowaniu z temi ptakami, praktyka jednak, nietylko nie przeszkadzała mu zbadać literaturę naszą i obcą, odnoszącą się do powyższego przedmiotu, lecz przeciwnie, wpłynęła na należyte zrozumienie dawnych łowów z drapieżnymi ptakami i odtworzenie ich tak barwne i żywe, że mamy złudzenie, jakbyśmy się tym łowom przypatrywali. W określeniu wszakże epoki, gdy u nas zapanowało myśliwstwo z ptakami drapieżnymi, nie jest Wodzicki dość ścisłym. Już prof. Pawiński rachunkami podskarbińskimi przekonał, że sokolnictwo za Stefana Batorego nie było u nas w tak świetnym stanie, jak przypuszczał Wodzicki. Tymczasem powstaje jeszcze jedna wątpliwość, którą trudno rozprawa Wodzickiego rozstrzygnąć, a mianowicie: kiedy w całym kraju szlachta poczęła polować z ptakami?

Nie ulega żadnej wątpliwości, iż sokoly były uosobieniem zawodu rycerskiego,

tak jak myśliwstwo dostarczało godeł herbom szlacheckim ³⁸). W muzeum wojennym w Berlinie przechowywane są zbroje, w których na hełmie widnieje sokół na gnieździe, jako godło rycerza. Z sokołem też nie rozstawało się możnowładztwo gruntowe, nawet w kościele, i tak np. margrabia de Chastellux dochował aż do wielkiej rewolucyi prawo zasiadania w kościele Auxerre, z sokołem na ręku, w otoczeniu psów ³⁹). Lud francuski, jak to świadczy jeden z największych statystów, Tocqueville, nie nazywał inaczej szlachty, jak mianem sokolików (*hobereau*), a to z powodu, iż podobny pędzili żywot, jak te ptaki.

Z tem wszystkiem, rozpowszechnienie łowów z ptakami drapieżnymi nie było tak wczesnem, jak to przypuszcza Wodzicki i aż do końca XVI wieku były one prawdopodobnie udziałem monarchów i niewielkiej liczby dygnitarzów duchownych i świeckich. Nasamprzód zaznaczyć winniem, że łowy z ptakami drapieżnymi należy w historyi łowiectwa uważać za postęp, w przeciwstawieniu do poprzedniej epoki, w której używano głównie sieci, sideł i sa-

³⁸) Małecki: „Studia heraldyczne”. Tom 2-gi, str. 149.

³⁹) Boiteau: „Etat de la France en 1789”, str. 26.

motrzasków, wyniszczających zwierza i ptactwo. Drogość ptaków drapieżnych sprawiała, że łowców nie było wielu, a rycerska zabawka z sokołami stawiała się czyściej szlachecką, gdy tymczasem do zastawiania siideł i sieci dopuszczano kmieci, byle tylko dostarczali panu łupów obfitych. Tym sposobem z ptakami drapieżnymi rozwinął się w historii łowiectwa pewien porządek i łowy przybrały charakter rycerski, pozbywając się dawnego rabunkowego charakteru, który jedynie zysk materialny miał na celu.

Że w dawnej Polsce monarchowie już w XIV wieku posiadali sokoły i lubili ten rodzaj szlachealnych łowów, na to znajdujemy u Wodzickiego dowody. Kronikarz Bielski wspomina również, że biskup, Paweł z Grzembowa, chodził do kościoła z psami i sokołami i w przytomności tychże psów i ptaków mszę świętą odprawiał, a nikt się z tego nie gorszył, bo i książęta, panowie, prałaci i damy, słuchali nabożeństwa z sokołem lub jastrzębiem na ręku ⁴⁰). Z tem wszystkiem, są ku temu poważne dane, aby twierdzić, iż do końca XVI-go wieku sokoły i wogóle drapieżne ptaki

⁴⁰) Kurowski: „Myśliwstwo w Polsce i Litwie“. Poznań. S. 4.

były u nas mało rozpowszechnione w użyciu do łowów.

Stawiski w swych „Poszukiwaniach nad historią rolnictwa krajowego“ doszedł do przekonania, że wielkie gospodarstwa rozwinęły się u nas dopiero z początkiem XVII wieku. Przekonanie powyższe udowodnił znakomicie prof. Pawiński, w swem cennem dziele, p. t.: „Polska XVI wieku, pod względem geograficzno-statystycznym“. Tymczasem majątki ziemskie, jakie w XVI wieku spotykamy, nie były w stanie utrzymywać sokołów i sokolników, jako myśliwstwo zbyt drogie. Gostomski, wojewoda rawski, który w r. 1588 skreślił nam wyborowy obraz gospodarstwa szlacheckiego ⁴¹⁾, zna tylko sieci sarnie i insze wszelakie polne, które mają być naprzód w dobrem zawarciu, pod jednego kluczem na dnie chowane (str. 15). „Kędy zaś puszcza, a zwierz jest — o sieciach—aby ich pan przyczyniał, ma się starać. Tak też, na każdym miejscu zajęcia najdzie, siatki ma sposobić. Aby u kmiotków, abo w dworze były, jako by zimie na śniegu, albo próżnych czasów, mógł nie tylko siebie, ale i pana, zwierzynką opatrzyć; a kędy pan niemyśliw, przecie zajęcia rad

⁴¹⁾ Wydanie Jana Radwańskiego w Krakowie. 1856.

jada. Sieci zajęcze, jeśli nie wszyscy, tedy pięć kmiotków mieć mają. A jeśli, kiedy czas, może być zajęc u urzędnika, dla pana być ma“... (str. 53).

W zwykłym majątku szlacheckim uważa zatem Gostomski polowanie z sieciami, do którego kmieci dopuszcza, za wystarczające i jedynie kreśląc obraz wymarzonej przez siebie wioski, powiada: „Chciałbym jeszcze ptasznika“ (str. 107), jako rzeczy zbyt kosztownej i niemożliwej w zwykłych warunkach. Tymczasem Ostroróg w r. 1618 uważa myśliwstwo z sieciami za odpowiednie tylko w kniejach na grubego zwierza, a zwykłe łowy winny się odbywać jedynie z psami i ptakami. Zyski ekonomiczne Gostomskiego uważa Ostroróg za hańbiące rycerską zabawę, jaką jest i powinno pozostać myśliwstwo. Od XVII wieku też, t. j. od epoki wielkich fortun magnackich, rozpowszechniło się w dawnej Polsce myśliwstwo z drapieżnymi ptaki i ogarnęło nawet drobniejszą szlachtę. Jan Chryzostom Pasek był przecie szlachcicem miernej fortuny, a jednak powiada o sobie: „Bywało też umnie myśliwstwo z podziwieniem ludzkim, począwszy od ptaków i t. d., zawsze miewałem bardzo dobre sokoły, drzemliki, kobuzy, kruki. Jastrzębia raz miałem takiego, który był zbyt rosły, a tak rączy, że każdego ptaka

uganiał i do najmniejszej ptaszyny nie lenił się, okraczywszy ją swemi srogiemi szponami i zawszem żywiusieńkiego odebrał. Rzuciłeś go i do największego ptaka—i tego się nie wstydził; gęsi, kurki, czaple, kanie, kurki uganiał, tak jako przepiórki, bo ich i kilka na dzień ugonił. Tak był mocny, że z zającem starym, związawszy się i udusiwszy, to czasem poprawił się i na drugi zagon podlatując sobie z nim, podnosząc go od ziemię, jak kuropatwę. Miałem go ośm lat, póki mi nie zdechł“... (str. 310). Trudno chyba o barwniejszy obraz myśliwstwa szlacheckiego, wśród którego widnieje rozrzewniający nagrobek dla nieodżałowanej pamięci i nieporównanych przymiotów jastrzębia-nieboszczyka. Wolno zaś przypuścić, że podobne, choć więcej szare obrazy, znaleźć można było w XVII wieku pod niejedną strzechą szlachecką.

Jakiegokolwiek jednak usterki wynajdzie krytyka w traktacie Wodzickiego „O sokolnictwie“, nie odejmie mu w żadnym razie wysokiej wartości dla historyi myśliwstwa wogóle, a dla naszego w szczególności. Łowy z drapieżnymi ptakami, które dopiero proch i strzelba usunęły w naszym stuleciu, skreślił nam Wodzicki tak pięknie, barwnie, a przede wszystkim tak prawdziwie, że daremnie o podobnie wytworny i wy-

kończony obraz kuśliby się uczony; trzeba bowiem było przedewszystkiem, pisząc podobne studyum, być samemu myśliwym i żyć się z życiem sokolem, a te warunki posiadał Wodzicki w wysokim stopniu.

W roku 1880-m, staraniem redakcyi wybornego czasopisma „Łowiec“, wyszły we Lwowie „Wspomnienia z życia łowieckiego“ Kazimierza Wodzickiego. W ciekawej książce, pod powyższym tytułem, z którą już poprzednio zaznajamiałem czytelników, zawarł autor wspomnienia z polowań na niedźwiedzie w Karpatach, z łowów na dziki, a do tego dołączył krótsze wzmianki o wilkach.

Ponieważ Wodzicki, w zajmującej opowieści, wybornie charakteryzuje grubego zwierza, przeto oddam najlepszą usługę jego pracy, przytaczając ciekawsze spostrzeżenia, które niejednokrotnie z niebezpieczeństwem życia poczynił. Z opowiadań, twierdzi Wodzicki, i skrzętnie zbieranych danych o niedźwiedziach na Litwie, przekonałem się, że tam istotnie inne jest usposobienie niedźwiedzi, inne zwyczaje, wynikające ze systematów polowania, z położenia dziewiczych lasów, zabezpieczających spokój grubej zwierzynie. Moje doświadczenie wykazuje odrębny zupełnie sposób atakowania niedźwiedzia (niż na Litwie). Nie twierdzę,

uganiał i do najmniejszej ptaszyny nie lenił się, okraczywszy ją swemi srogimi szponami i zawszem żywiusieńkiego odebrał. Rzuciłeś go i do największego ptaka—i tego się nie wstydził; gęsi, kurki, czaple, kanie, kurki uganiał, tak jako przepiórki, bo ich i kilka na dzień ugonił. Tak był mocny, że z zającem starym, związawszy się i udusiwszy, to czasem poprawił się i na drugi zagon podlatując sobie z nim, podnosząc go od ziemię, jak kuropatwę. Miałem go ośm lat, póki mi nie zdechł“... (str. 310). Trudno chyba o barwniejszy obraz myśliwstwa szlacheckiego, wśród którego widnieje rozrzewniający nagrobek dla nieodżałowanej pamięci i nieporównanych przymiotów jastrzębia-nieboszczyka. Wolno zaś przypuścić, że podobne, choć więcej szare obrazy, znaleźć można było w XVII wieku pod niejedną strzechą szlachecką.

Jakiegokolwiek jednak usterki wynajdzie krytyka w traktacie Wodzickiego „O sokolnictwie“, nie odejmie mu w żadnym razie wysokiej wartości dla historii myśliwstwa wogóle, a dla naszego w szczególności. Łowy z drapieżnymi ptakami, które dopiero proch i strzelba usunęły w naszym stuleciu, skreślił nam Wodzicki tak pięknie, barwnie, a przedewszystkiem tak prawdziwie, że daremnie o podobnie wytworny i wy-

kończony obraz kusiłby się uczony; trzeba bowiem było przedewszystkiem, pisząc podobne studyum, być samemu myśliwym i zżyć się z życiem sokolem, a te warunki posiadał Wodzicki w wysokim stopniu.

W roku 1880-m, staraniem redakcyi wyborowego czasopisma „Łowiec“, wyszły we Lwowie „Wspomnienia z życia łowieckiego“ Kazimierza Wodzickiego. W ciekawej książce, pod powyższym tytułem, z którą już poprzednio zaznajamiałem czytelników, zawarł autor wspomnienia z polowań na niedźwiedzie w Karpatach, z łowów na dziki, a do tego dołączył krótsze wzmianki o wilkach.

Ponieważ Wodzicki, w zajmującej opowieści, wybornie charakteryzuje grubego zwierza, przeto oddam najlepszą usługę jego pracy, przytaczając ciekawsze spostrzeżenia, które niejednokrotnie z niebezpieczeństwem życia poczynił. Z opowiadań, twierdzi Wodzicki, i skrzętnie zbieranych danych o niedźwiedziach na Litwie, przekonałem się, że tam istotnie inne jest usposobienie niedźwiedzi, inne zwyczaje, wynikające ze systematów polowania, z położenia dziewiczych lasów, zabezpieczających spokój grubej zwierzynie. Moje doświadczenie wykazuje odrębny zupełnie sposób atakowania niedźwiedzia (niż na Litwie). Nie twierdzę,

że tenże na tylnych łapach kroczy za człowiekiem, lub go goni, a, zbliżywszy się na krok lub dwa, siada, sięga łapą, targa, kaleczy i obala na ziemię. Miałem groźne wypadki z dwoma niedźwiedziami; obydwie przyskoczyły do mnie, stanęły na tylnych łapach i sięgały po głowę moją.

Niedźwiedź, według doświadczenia Wodzickiego, więcej używa łap i pazurów, niż zębów; nawet do psów siada i łapą chwytając, ciągnie pod siebie, lub cisnąc do pierśsi, gniecie i gruchocze kości. Niedźwiedź nawet lubi się dźwigać na tylnych łapach i uczy młodych tego ruchu, spina się do malin, orzechów, dzikich gruszek i jabłek; chodzi wyprostowany od krzaka do krzaka, nawet, o ile doświadczenie Wodzickiego sięga, jest on do trzeciego roku znakomitym gimnastykiem i wchodzi na drzewa za owocami, obtrząsa gałęzie, a widząc rezultat swej pracy, złazi, zbiera, a siedząc na zadzie, pożera, niosąc przednimi łapami pożywienie do paszczy.

Na polowaniu w górach z naganką, w kilku strzelców, ratunek w niebezpieczeństwie jest bardzo trudny, z powodu wielkiej odległości stanowisk, oznaczonych zwykle przy wekslach. Zanim sąsiad zdążyć może po strzale do myśliwego, może on być dawno już w szmaty rozszarpany. Przeciwnie się

dzieje na polowaniu z psami, wtedy każdy myśliwy podchodzi do głośu i grono myśliwych jest zawsze w pobliżu zwierza. Niedźwiedź wyjątkowo tylko na drzewie szuka schronienia w pogoni przed psami. Wodzicki zaledwie raz widział go w tej pozycji i przekonał się, że szuka raczej ochrony w fortcach, utworzonych przez łomy i tam jest dla psów najgroźniejszym. Z tem wszystkim niedźwiedź jest pierwszorzędnym tchórzem, równającym się zajączkowi i dopiero psami szczuty i rozdrażniony, lub też postrzelony, staje się groźnym, szybkim i niebezpiecznym zwierzem, wyzywającym do walki człowieka. Również krwiożerczy niedźwiedź jest wyjątkiem; staje się nim w późniejszych latach życia swego, lub srogim trapiiony głodem, a raz zakosztowawszy krwi, już poluje na zwierzęta, jak wilk. Twierdzą nawet, czego Wodzicki nie widział, że ugania się za dzikami, że się odważnie z odyńcem potyka i pokonywa go. Znałem niedźwiedzie — słowa Wodzickiego — te same, przez dwa i trzy lata polujące na bydło, inne na owce; wszystkie były duże i stare, a podkradały się zdradziecko pod pasące się zwierzęta domowe. W czasie dojrzewania jagód, malin, borówek, ostreżyn, posuwają się, tak stare, jak i młode niedźwiedzie, za tym ulubionym

żerem, wybierają je do ostatka, schodzą nawet na płaszczyzny, do tak zwanych czaturów. Chłopi podgórscy opowiadają, że niedźwiedzie upajają się bukwą i że wtedy łatwo je bić, Wodzicki jednakże, nie mając nic do czynienia z pijanemi niedźwiedziami, nałogu tego u nich własnem doświadczeniem stwierdzić nie mógł.

Mieszkający w pobliżu wysokich gór najłatwiej polowania odbywać mogą w jesieni na ponowiu, gdy się niedźwiedź w góry posuwa, lub na ciepłych wiosennych śniegach, gdy za żerem schodzi w niższe góry i pagórki. Niedźwiedź, pomimo że wytrwale chodzi i w dalekie rusza wycieczki, jest łatwy do otropienia, on bowiem kluczek nie robi, nie myli tropu, w trop nie idzie, a wielkość śladu ułatwia tropienie. Jeżeli głodny, światami chodzi. Jeżeli zaś znajdzie pożywienie, oblega w pierwszych parowach, gęstwinami zarosłych, zwłaszcza na wiosnę, gdy osłabiony z gawry wychodzi. W górach niedźwiedź od połowy września trzyma się owsów na pół dojrzałych, posiadających jeszcze mleczko i tam go nader łatwo wytropić, bo zostawia takie ślady na łankach, że z góry na górę dostrzedz je można. Siada na zadzie, przedniemi łapami zbiera źdźbła, ssie ziarno, wypuszcza wyssane i znowu zbiera snopki, a tyłem

nielitościwie wygniata zboże i tak się przez pole posuwa. Gdy już nic do zbierania nie pozostaje, powraca na górę i powtarza swą operacyę, do tego stopnia szkodliwą, że bywały polanki, z których gospodarz wcale już owsa zbierać nie chciał.

Na takich to owsach niedźwiedź się obżera nad miarę i z pewnością spoczywa w pobliżu, w pierwszym zagęszczonym jarze. Jeżeli przeto wiatr przyjazny i można jarem do góry gonić, wtedy, przy dostatecznej do obstawienia przesmyków ilości strzelców, niedźwiedzia łatwo ubić można. Polowanie jednak z naganką zawsze niepewne, posuwa się ono bowiem powoli, zostawia zwierzowi dosyć czasu do wysłuchania i wietrzenia, zresztą wszystkie stanowiska obsadzić trudno, więc zawodów bez końca. Górale mówią, że z naganką niedźwiedź przoszony, z psami zmuszony — i to wielka prawda. Z dobrymi psami ubicie niedźwiedzia, to tylko kwestya czasu i sił myśliwego. Jeżeli słońce nie zajdzie, a zmęczenie pogoni nie wstrzyma, to zwierz z pewnością zginąć musi.

Niedźwiedzia zawsze szukać należy w pobliżu wody, w suchej okolicy nie spocznie. Potrzebuje bowiem często gasić pragnienie i używać kąpieli po kilka razy na dobę. Po tłustych pokarmach, bukwi i orzechach

laskowych, często pije; przerywając żerowanie, idzie do potoczku i znowu do uczy powraca. Ostatecznie Wodzicki doszedł do tego przekonania, że daleko jest łatwiejsze polowanie z psami na niedźwiedzia, niż na dziki. Pierwsze często przysiadają, droczą psy, a nie kaleczą, bronią się i chronią do barykad leśnych. Drugie zaś częstokroć sznurem się wysforują i nie staną wcale przez kilka godzin, lub też popłatawszy i poturbowawszy psy, resztę do pogoni zniechęcają.

Wspomnienia z łowów na dziki zebrał Wodzicki i zanotował jeszcze prawie z większą skrupulatnością, niż o niedźwiedziach. Czterdzieści dwa lat doświadczenia, zbranego w karkołomnych wyprawach, złożyło się na te skromne zapiski. A wśród odwiecznych lasów Karpat od pradawna utrzymywały się dziki, mając obfity żer w bukwie, w truflach i korzeniach, znajdujących się po górskich cieplicach i w orzechach laskowych. Dopiero, gdy z wyżyn schodzić poczęły i rozmnażać się, gdy nastąpiło krzyżowanie z domowymi świniami, stały się dziki straszliwą klęską w łanach. Przed rokiem 1848-m wyjątkowo tylko pojawiały się na równinach.

W Galicyi z mezaliansów wytworzyło się dużo dzików nieczystego pochodzenia,

zwłaszcza na płaszczyznach i nad rzekami z brzegiem dębostanem zarosłym. Mieszaniec, chociażby zupełnie był do dzika podobny, zachowa jednak w części znamiona charakterystyczne świni i tak: nie dorosnie nigdy rozmiarów czystego dzika; będzie mieć głowę mniejszą, uszy grube, czasem nieco wiszące, a nigdy nie będą one lekkie, śpiczaste, jak u prawdziwego dzika, któremi strzyże na wzór konia. Ogon u niego będzie gruby i ciężki, nie łatwy do podniesienia i zwinięcia w obwarzanek, w końcu nie nabędzie nigdy zuchwałości i odwagi dzika.

Wesele dzików, powiada Wodzicki, to straszny widok zaiste, groźniejszy, niż wybory na Węgrzech, a jeżeli obrazu, jaki nam daje, nie przytaczam obecnie, to jedynie dlatego, że nań już poprzednio zwracałem uwagę. Przedewszystkiem jednak nasz Nemrod pełen jest uznania dla macierzyńskiego poświęcenia samury. Zdaniem jego, pojąć trudno, jak samura w głębokim śniegu i mrozach srogich, o chłodzie i głodzie, hukać się, a później warchlaki wyżywić i ogrzać zdoła. Jedna też niedźwiedzica stoi z nią na równi co do macierzyńskości, a inne łowcze zwierzęta w uczuciu tem nawet się nie zbliżają do niej. Z jakąż niezmordowaną pracą ryje samura za żerem i wska-

zuje go warchlakom, jak im ściele ciepły, miękki i wygodny barłog, to z choiny, to z traw suchych i mchów leśnych, a w braku tych materyałów, znosi liście do barłoga. Czy instynktem wiedziona, czy uczuciem, zawsze miejsce dniowania zasłania od wiatru i wyszukuje zacisze, gdy zaś w bliskości je znaleźć nie może, zasłania ścianą od wiatru. Chodząc do barłogów z psami (słowa Wodzickiego) przez lat kilkanaście, napatrzyłem się tej architekturze i podziwiałem budowniczych.

Nie jeden barłog troskliwiej i z większym wysileniem zbudowany, niż gawra niedźwiedzia. Niedźwiedź bowiem częstokroć włazi do dziupła i tam zimuje, lub też wciska się pod grube łomy; przeciwnie samura, z wielką pracą przygotowuje łożę dla rodziny. Przypominam sobie dwa barłogi, których wierne wizerunki przechowała pamięć moja. Jeden, oparty o łomy i kłody, był okolony ściętymi przez samurę gałązkami jedliny, piętrzącemi się na kilka metrów wysokości, a tak spojonymi, że się ten budynek trzymał w całości, pomimo zawiei i ciężaru śniegu. Drugi zaś nad ścianą debry, w gąszczu szpilkowym, przedstawiał dokładnie zbudowaną altankę.

Wodzicki wyraża swe głębokie przekonanie, oparte na doświadczeniu: że ssaki

gromadnie żyjące i ptaki rozmawiają ze sobą, ostrzegają się wzajemnie, dają sobie rady i wskazówki, w końcu wspierają się wzajemną pomocą. Kto przez długie lata polował na dziki, jelenie i sarny, ten podzieli wyrażone tu zdanie. W tej mowie, często bez głosu, są nieomyślne ruchy, zabezpieczające życie, to znowu piski, mrużenie, świsty ostrzegające. Samura też rehtaniem daje rozkazy, ryjem szereguje młodzież, której albo mężnie broni wobec człowieka, psa i wilka, lub też nakazuje jej chronić się w gąszczu i pozostawać w nim w zupełnej nieruchomości; czasem też nakazuje ucieczkę w przeciwną stronę. Dziki w stadzie wskazują sobie przed rozproszeniem miejsce późniejszego zboru, a samura, zabezpieczywszy warchlaki, oznacza im *rendez-vous*. To już nie instynkt, to rozum, pamięć i doświadczenie pożyteczne, bo przecież nie zawsze idą dziki w jednym kierunku, nie zawsze odbywają marsze w jednej odległości, a często trafiają się zbłąkane sztuki, które nie zrozumiały, nie dosłyszały, lub nie otrzymały rozkazu. Często można widzieć posuwające się z tyłu dziki ku przodownikom, potracające ich i widocznie wskazujące myśliwych, a gdy stado ma przechodzić przez przymarzniete wody, wówczas samury, zapędziwszy w tył warchlaki,

łamią lód naprzód przedniemi, potem tylnemi racicami, powracają na brzeg i znowu dla dziatwy robią koryto, dopiero gdy przeprawa ubezpieczona, wołają warchlaki i rzucają się wplaw.

Pozwolę sobie przytoczyć jeszcze jeden ciekawy szczegół o wycinkach, czyli dzikich wieprzach wykastrowanych. Widziałem, powiada Wodzicki, poranione dziki i popłatanne, jak połcie słoniny, przez drugie dziki, cięciami zabite, z wnętrznościami wypuszczonemi, a przez całe moje życie spotkałem jedynie trzy odyńce wykastrowane, a niemało ich przedemną leżało. Jak się działo dawniej: że praojcowie nasi widywali wycinki i ubijali je, że nawet za mego życia opowiadali mi o wycinkach sędziwi myśliwi, wytłómaczyć sobie nie mogę. Ja tylko nader skąpe zebrałem wiadomości o tem kalectwie, byłoby więc pożądanem, żeby nasi myśliwi podawali do „Łowca“ swe spostrzeżenia w tym względzie. Mniemam, że Wodzicki oparł swe zrozumienie terminu „wycinek“ jedynie na podaniu jednej okolicy, nigdzie bowiem nie udało mi się usłyszeć tego określenia w podanem przez Wodzickiego zrozumieniu. Wszędzie zaś dzika w pełnej dojrzałości, aż do 4-go lub 5-go roku życia, zwano wycinkiem, co potwierdza również Spausta w swej

wybornej monografii o dziku ⁴²⁾. Jeżeli jednak monografista dzika nie zgodził się na terminologię Wodzickiego, to w zamian za to potwierdził jego spostrzeżenia, dotyczące mowy dziczej. Już starzy myśliwi zwrócili na to uwagę, twierdzi Spausta, iż dzik w rozmaitych okolicznościach różne głosy wydaje. Jest to w gruncie rzeczy zawsze jakiś „volapük“ świński, ale u dzika posiada zarazem i swe charakterystyczne cechy. Różnorodność słyszanych głosów dała też powód do tak bogatego słownictwa łowieckiego w tym kierunku. Sysak lub warchlak „kwiczy“; maciora czyli samura „grucha“, „gruchota“ lub „rechta“; odyniec „dmucha“, „szumi“, „gwiżdże“ lub „krzyka“. Niepodobna opisać różnorodności dźwięków tej inartykułowanej mowy, w której, mimo pozornej monotonności, brzmią faktycznie całkiem odmienne brzmienia, jakie z pewnością każdy odróżnić potrafi. Gdy te wystarczają dzikom zupełnie do wzajemnego porozumienia się i są mową, zastosowaną do potrzeby, zaprzeczać mowy zwierzętom niepodobna; czynimy to chyba dlatego, że jej nie rozumiemy ⁴³⁾.

Najmniej wspomnień doszukać się można

⁴²⁾ „Łowiec“ 1889, Nr. 5, str. 67.

⁴³⁾ „Łowiec“ 1889, Nr. 6, str. 82.

u Wodzickiego z łowów na wilki. W każdym razie znajduje się opis nocnego polowania z prosiakiem w r. 1843-m, w okolicy Miechowskiego, które zakończyło się paniczną ucieczką myśliwych. Do tego podszycia tchórzem, który i Wodzickiego nagle obleciał, były dość poważne powody. Narażono bowiem na wielorakie gody, w których brało udział około czterdziestu rozszalałych godowników. Jeżeli zaś zwrócimy uwagę na te okoliczności: że konie, na taki niezwykle widok, odmówiły zupełnie posłuszeństwa i że w owym czasie broni szybkostrzelnej odtylcowej jeszcze nie znano, to dziwić się nie będziemy Wodzickiemu, że podczas szybkiej rejterady, żarty uwięzły mu w gardle i towarzystwo prosięcia wydało mu się niemilem.

Wspomnienia łowieckie Wodzickiego zawierają nie tylko wiele ciekawych spostrzeżeń, lecz w dodatku przedstawiają czytelnikowi całą galerię oryginalnych typów grubego zwierza. Spotykamy się też z portretami niedźwiedzi biurokratów, lub z dzikami karasiowatemi, albo też z plebejskimi mięszącami, które posiadają odrębne zupełnie indywidualne rysy charakteru. Każdy zaś portret grubego zwierza występuje na tle wspaniałej podkarpackiej natury. „W okolicy dzikiej, poprzeryzanej głębokimi de-

brami, w lasach dziewiczych, niedostępnych, nieznanających odgłosu topora, urocze niebo, góry, stykające się z chmurami, istny Olimp bez bogów; w dolinach snujące się srebrzyste strumienie, w ramach kwiecistej mura-
wy. Nie było tam drobnego zwierza, nie było grubej zwierzyny, lecz co się ucho-
wało, rozrastało się w olbrzymie rozmiary, istne przedpotopowe potwory. Odyńce tam żyły z groźnemi szablami, z czubami na łbie, z grzywą rzeczywistą na krzyżach, podniesioną do góry. Żyły tam niedźwiedzie czarne i bure, a rogacze tak duże i szerokie w krzyżach, jak daniela“. Tak opisuje Wodzicki swe podkarpackie łowy w r. 1880, a równie ciekawe i piękne obrazy znajdują się na każdej karcie jego łowieckich wspomnień.

Jakkolwiek praca Wodzickiego p. t. „Ru-
ja sarn“ nie ukazała się w osobnej odbitce, tylko w łamach „Łowca“ (począwszy od 1 kwietnia 1888 r.), to jednakże bogactwem obserwacyi i badaniem krytycznem sprze-
cznych zdań naukowych przechodzi o wiele zakres zwykłego artykułu. Pozwolę sobie zatem przytoczyć najważniejsze wyniki badań Wodzickiego, w tem przekonaniu, że złożył on w „Ru-ja sarn“ dowód wielkiej przenikliwości w śledzeniu tych zwyczajów zwierząt, z którymi się kryją starannie w gąszczach przed okiem człowieka.

Sam Wodzicki uprzedza czytelnika, że porusza sprawę nader zawikłaną, zagadkową, o której już w naszym stuleciu tyle pisano, że wydrukowane książki stanowiłyby zapewne poważny zbiór. Mimo to, o rui sarn panują zupełnie sprzeczne zdania, a to dlatego, że sarna, w tym okresie swego życia, tak potrafi się taić, że nawet w zwierzyńcach, gdzie przybiera charakter domowego stworzenia, śledzenie jej bywa bardzo trudnem. Ztąd też niektórzy autorowie utrzymują, że ruja odbywa się w czerwcu, lipcu lub sierpniu, inni zaś oznaczają termin na listopad lub grudzień i tym sposobem przez dziewiętnaście wieków potrafiła zręczna i przebiegła sarna ukryć przed nami zaręczyny, ślub i całe swe pożycie małżeńskie.

Po wielu latach sumiennych badań, Wodzicki przyszedł do przekonania, że rzeczywista ruja sarn odbywa się w listopadzie i grudniu. Wprawdzie swawola, ów tłusty karnawał, odbywa się w letnich miesiącach, ale wówczas sarny zapłodnione nie bywają. Niewątpliwie w czerwcu i lipcu rogacz goni i prześladowuje kozę. Im więcej jest on roznamiętniony, tembardziej ona spłoszona i zdarza się, że rogacz, rozkiełznany w swych chuciach, dogania kozę, przewraca, ze złością rogami tłucze, a nawet zabija. Nie ma-

ło sarn, a zwłaszcza młodych siut, zostało w ten sposób zakłutych; zawadzają wtedy rogaczowi sarniątka, które roznamiętniony rozpustnik depce i bodzie niemilosiernie. Tymczasem w październiku i listopadzie poczynają się sarny gromadzić w stadka, w których bywa po kilku rogaczów. Walka między nimi odbywa się zażarta, ale gdy jeden wywalczy zwycięstwo, to wynosi się ze swą oblubienicą i już żaden rogacz nie napastuje go podczas rui. Wtedy to widzimy w lesie parki chodzące, on spokojny, bo zaspokojony i znużony, ona rozkoszna, bo zadowolona z posiadania swego rogacza.

Przedewszystkiem w lecie koza boi się rogów sarnika. Nawet w czasie rui zimowej stroni od rogaczów z rogami i tuli się do tych, które już rogi zrzuciły. W parkach, włączających się po lesie, najczęściej widzimy rogaczów bez rogów, z rogami wyjątkowo. Gdyby rogacze w porze roznamiętnienia posiadały rogi, wówczas setki ich chodziłyby z ranami w brzuchu i słabiznach, a i część kóz byłaby ranami okryta. Mylne są zupełnie twierdzenia, jakoby u rogaczów porost rogów zaraz po ich zrzuceniu się rozpoczynał i że rogacz podczas tego wysilenia się nie miałby nawet dosyć mocy do zapłodnienia. Przeciwnie, ran-

ki, wytworzone wskutek odpadnięcia rogu i wyłaniania drugiego, goją się i pokrywają po kilku dniach skórką, więc w czasie rui ustaje proces tworzenia się materii rogowej, rogacz jest silny, swobodny, lecz nie posiada zabójczej broni.

Możnaby przypuścić, że niekiedy zostaje jałowa sarna zapłodnioną w lipcu lub sierpniu, ale w takim razie, jeżeli słusznem jest twierdzenie, że sarna nosi płód pięć miesięcy, to musielibyśmy widzieć sarniątką urodzone w zimowych miesiącach, co wszakże się nie sprawdza. Wprawdzie Wodzicki spotykał kilka razy w życiu swoim tak małe sarniątko na śniegu, iż nie mogły mieć więcej jak dwa miesiące, lecz to jedynie dowodzi, że stare matki odbyły ruję wyjątkowo i zapłodnione zostały w sierpniu i wrześniu, lub też, że brak pokarmu nie dozwolił się rozwijać owym sarniątkom. Istnieją jeszcze inne okoliczności, przekonujące, że sarny nie mogą w letnich miesiącach odbywać rui. Przedewszystkiem zmiana sierści wiosenna o wiele więcej wysila, niż jesienna i często jeszcze widzimy sarny niewylenione w czerwcu, zwłaszcza po złem przezimowaniu. Matki zatem przebywają wysilenia połogów, karmienia i lenienia. Czyż więc prawdopodobne, aby tak wysilone oddawały się rui? Rogacz jednak

w tymże samym czasie, nie będąc przykuty do miejscowości, jak siuta, buja po znacznych przestrzeniach, wyszukując najpożywniejszej karmy. Łatwiej też i szybciej się leni i dlatego jest w letnich miesiącach w pełnych kształtach i silny.

Prócz tego zwrócić należy uwagę na fakt, że w lecie sarny pokryte są kleszczami. Taka męczarnia trwa bez przerwy do późnej jesieni, a prócz tego, sarna znosi przez cały dzień głód i pragnienie, byle chłodu i cienia nie porzucić, bo jedynie w gąszczu wolna jest od dokuczliwych komarów, much i bąków. Powyżej opisany stan sarn i zachowanie się przemawiają stanowczo za rują jesienią; wieczorem bowiem, po zachodzie słońca, opuszczają gąszcze, spieszą czempredziej szukać pokarmu i wody, a na umizgi i zaloty nie mają jednej chwili wolnej. Popędy płciowe zależą od zdrowia i sił; im okazalsza sarna, tem wcześniej przystępuje do rui, po przebytych zaś nader wilgotnych jesieniach, ruja się opóźnia i wtedy wiele kóz staje się jałowemi. Ruja sarn trwa od 8 do 10-ciu tygodni, a jeden rogacz, jak doświadczenie stwierdza, wystarcza na 8—10 siut.

Poprzestaję na podaniu kilku szczegółów z tego, prawdziwie interesującego studyum Wodzickiego. Dla myśliwego zawiera ono

wiele ciekawych spostrzeżeń, odnoszących się do życia starych kóz, mylników (małkus — podług Kozłowskiego), t. j. rogaczy, nie zrzucających rogów na zimę i tak zwanych „trojek sarnich“. Nadto zaznaczyć winniem, że Wodzicki zebrał skrzętnie dzieła obce, traktujące o rui sarn i w polemice, oraz w udowadnianiu swych poglądów, rozwinął duży zasób siły logicznej, przy zawsze wzorowej plastyce przedstawiania.

Każdy z starszych myśliwych naszych, rozpoczynający w młodym wieku swój zawód, spotykać musiał całe szeregi typów łowieckich, z mniejszą lub większą domieszką kłusowniczych nawyknień. Zwykle młodociani nowozaciężni nemrodowego legionu ubiegali się o zażyłość z tego rodzaju typami, skarbiąc sobie rozmaicie ich łaskawą protekcję, bo tym sposobem nabywali doświadczenia w łowach i najłatwiej mogli przyjść do pięknego strzału. Istniały też w różnych ustroniach naszego kraju dwa rodzaje, że się tak wyrażę, uprawnionych kłusowników⁴⁴⁾. Pierwszy z nich składał się z leśniczych, gajowych, lokajów dworskich, kucha-

⁴⁴⁾ Reumann: „Gospodarstwo łowieckie z historią starożytną łowiectwa polskiego“. Warszawa 1845, str. 633. Wywodzi nazwę kłusownika od tego, że zmuszony jest biegnąć, czyli kłusować, za zwierzyzną, póki onej nie złowi.

rzy, a często i ogrodników. Gdy właściciel wsi nie był myśliwym, zwykle, dawnemi czasy, polecał dostarczanie zwierzyny swej służbie, która z funta prochu i około 10 do 12-tu funtów śrutu, obowiązana była kuchni dworskiej dostarczyć pewną ilość sztuk zwierzyny.

Powyższa kategoria łowców napiętnowaną była w wysokim stopniu znamieniem kłusownictwa. Przedewszystkiem bowiem ludziom tym chodziło o zysk materyalny, który wprawdzie wielkim nie bywał, ale zawsze dla nich stanowił ponętę i aby ją osiągnąć, nie wachali się zgładzać dziczyzny w niewłaściwej porze, lub tępić jej zbyt wiele z danego zwierzostanu. Przebiegów i znajomości zwyczajów zwierz nie brakło tym łowcom, lecz horyzont ich działania był w każdym razie zacieśnionym i dlatego okolice lesiste, bagniste, step, lub suche i gładkie pola, nie mówiąc już o górach, wywierały na ten rodzaj kłusowników wpływ poważny i formowały z nich jakby odrębną łowiecką postać.

W górzystem położeniu, gdzie pościg grubego zwierz trafiał nieustannie na nieprzewidziane przeszkody, zwykle kłusownicy odznaczeni się zręcznością ruchów, zmyślnością w wytropieniu i osaczeniu zwierz. Gdzie zaś istniała obfitość błotnego ptac-

twa, tam znowu kłusownicy celowali wybornem strzelaniem, choć w zachowaniu się ich zauważyć było można więcej ociężałego spokoju.

Kłusownicy równin i suchego pola oraz lasów pomniejszych, jak przeważnie się trafia w Wielkopolsce, lub na Mazowszu, zastępowali często spokój flegmatycznością, a w strzale rzadko kiedy okazywali biegłość. Zdarzało mi się polować z kłusownikami, którzy w życiu swem nie zabili ani jednego kszyka i wcale do tego ptactwa w lot strzelać nie chcieli, lecz za to do każdego zajęcia w kotlinie doprowadzali mnie z łatwością i na stanowiskach wieczornych lub porannych byli strasznymi tępicielami sarn i wszelakiego zwierza, do którego strzał był łatwym.

Zdaje mi się też, że na uformowanie się typu kłusownika, z namiętnością oddającego się pogoni za zwierzem, wpływała przeważnie natura okolicy. Jeżeli była dziką i piękną, wtedy rysy kłusownicze były charakterystyczniejsze i oryginalniejsze, jeżeli równą i monotonną, ułatwiającą zdobycz myśliwską, wówczas twarz, ruchy i zmysłność traciły urok niepospolitości.

Owe też charakterystyczne postacie, które Fałat odnalazł i odtworzył w puszczech Nieświeżskich, nie dałyby się prawdopodo-

bnie odnaleźć w Wielkopolsce. W Tatrach zaś, gdzie kozicę trzeba podchodzić na wysokościach bezleśnych, twarze kłusownicze są także niezmiernie oryginalne, lecz nabierają odmiennego wyrazu przez to, iż nie potrzebują upatrywać zwierza w kniei lub gąszczach, gdzie jest zwykle skąpo światła.

Drugi rodzaj uprawnionych zwyczajowo kłusowników, jeżeli nie zawsze z treści, to przynajmniej z pozoru, miał daleko więcej rysów szlacheńskich. Na powyższą kategorię składali się posiadacze małych folwarków, często tylko większych kolonij, ale którzy powinowactwem i stosunkami społecznymi należeli do wyższej, wykształcenijszej klasy. Często drobny taki mająteczek był okruchem dawnej znacznej fortuny, czasem znów znaczniejsza kolonijka oznaczała zamożność, twardą pracą ojca zdobytą. W każdym razie wielkie lasy i łąny pograniczne bywały zręcznie i często nawiedzane przez tych „panów sąsiadów“, a choć wielcy właściciele gniewali się na owe nieproszone wizyty, to w końcu, znużeni uporczywym natręctwem, woleli zawrzeć jakiś tajemny pakt międzynarodowy i pozyskać tym sposobem przynajmniej znośną stopę pokojową.

Powyższy typ kłusowników odznaczał się nadewszystko wyższem ogólnem wykształceniem, a przytem miał rozleglejsze i wszech-

stronniejsze doświadczenie w łowiectwie. Prócz tego „kochany sąsiad“ nie trudnił się biciem zwierzyny jako rzemiosłem zyskowym, lecz ścigał ją z zamiłowaniem niepowściągliwym i z tym celem, aby ubitą ofiarować okolicznym dziedzicom, zaznaczając tym sposobem, że mu nie o „mięso“, lecz o namiętność łowiecką chodzi. Gdy też kłusownik dworski spekulował na to, aby, strzelając do leżącego zwierza półnabojami, mieć z funta prochu jaknajwięcej strzałów, gdy, w razie powodzenia, nie omieszkał w cichości z swą rodziną „goić sobie żołądka“ zwierzyną dworską; sąsiad, lub pan kolonista, często stopił w namiętności myśliwskiej swą chudobę, ale nie mógł sobie odmówić chowania licznej zgrai psów i oswojonych dzikich zwierząt lub ptaków. Jeżeli chudoba jako tako starczyła, lub bywała spadkiem zasilona, wówczas z sąsiada formował się typ bardzo sympatyczny, a dla myśliwego nieoceniony. Sąsiad bowiem na kwestye graniczne zapatrywał się często z punktu widzenia XVIII-go wieku, lecz wzamian za to, czuł wdzięczność za doznaną pobłażliwość i na uroczystości rodzinne zwykł czynić niespodzianki łaskawym dziedzicom, przysyłając im zwierzynę dla gości, wśród których nie pojawiał się często wcale.

Winienem jednak uprzedzić, że oba rodzaje kłusowniczych typów dziś zatarły się znacznie. Odmienne warunki gospodarstwa, po uwłaszczeniu włościan, wytworzyły wszakże nowy gatunek kłusowników, najgorszy ze wszystkich, którybym nazwał „skrytobójcami“. Są to przeważnie włościanie, ciągnący, jak hyeny, w nocy na stanowisko, aby z tak zwanej „świńskiej nogi“ zastrzelić, a częściej skaleczyć spokojnie żerującego zwierza. Kłusownicy dworscy zostali jednak teraz przeważnie więźci w większe kluby i pozbawieni dawniejszej swobody, a „kochani sąsiedzi“, wobec nowych a trudnych warunków gospodarstwa, stali się zjawiskiem rzadszem, choć czasem jeszcze i w Królestwie zdarzającym się. W każdym razie oba te typy stają mi żywo w pamięci, gdy przeszło trzydzieści lat temu ubiegałem się o ich łaskawe względy, słuchałem uwag i zrzędzeń, a w skrytości ducha uważałem za potęgi, godniejsze podziwu, niż Aleksander Macedoński, lub Napoleon I.

Właśnie jeden z owych typów szlachetniejszej kategorii odtworzył Wodzicki w studyum, drukowanem w „Łowcu“, a później wydanem w osobnej odbitce p. t. „Pan Michał. Wspomnienie myśliwskie (r. 1889)“. Każdy ze starszych myśliwych doszuka się w młodocianych wspomnieniach różnych po-

staci, które mu przypomną epizodycznie pana Michała; takiego jednak, w najdrobniejszym szczególe wykończonego typu, jakim jest całkowity pan Michał, ze swemi nawyknięciami, przesądami, w otoczeniu swej służby, psów, ptaków chowanych i konia, daremnieby szukać w pamięci. Pan Michał bowiem był wprawdzie owym kłusownikiem dawniejszej epoki, ale był kłusownikiem, wyzywającym do otwartego boju grubego zwierza i posiadającym oryginalną filozofię łowiecką. W układaniu zaś psów i w ocenianiu przymiotów rodu psiego, posiadał tyle doświadczenia i przenikliwości, że pozyskał na zawsze szczere i gorące uwielbienie Wodzickiego.

Pan Michał był w samej rzeczy, podług wyznania samego Wodzickiego, kłusownikiem, w całym znaczeniu tego słowa i na swoim mająteczku przez całe życie nie byłby wystrzelał funta prochu. Nie znał granic, ni własności polowania, lecz z drugiej strony zanotować należy, że gdy po polowaniu postrzegał niezadowolenie właściciela, lub mu takowego wzbroniono, wtedy już żadna pokusa byłaby go nie namówiła do zagonów na wzbronione grunta. Polując niemal wyłącznie na dziki i niedźwiedzie, posuwał się pan Michał pod połoniny, a przybrawszy sobie miejscowego gajowego, no-

cował po kilka dni po kolebach i szałasach, a niekiedy pod gołym niebem i przez kilka nocy, wytrzymując doskonale to twarde życie nomadskie w tak posuniętej porze roku. Ulubionem wszakże polowaniem pana Michała było polowanie na kaczorki. Gdy śniegi stopniały, woda spłynęła na nizinki i potworzyła jeziorka czasowe, wtedy jeździł po kilka mil po Podolu, znając doskonale każde zbiorowisko wody i do domu wieczorem przywoził kilkanaście kaczorów. Później, w miesiącu lipcu, polował na kłapacze, tak zwane przez gmin „wypióry“, później na podloty. W czasie żniw, z przykładną wytrwałością i rozumną pomocą Bekasa, szukał pan Michał po okolicy dropi karzełków, gminnie zwanych „pardwami“, tych prawdziwych stepowców, już rzadko kiedy pojawiających się u nas. Specjalnością zaś pana Michała było polowanie na obydwie gatunki naszych siewek. Jeździł za nimi po kilka godzin i niemal codziennie.

Polowanie na dropie było obrazem nieporównanej cierpliwości i wytrwałości, którą pan Michał wzbudził podziwienie Wodzickiego. Jeździł bowiem po łąkach i stepie, dopóki nie upatrzył dropi, ze swym *alter ego* Grzesiem. Mieli dwie krowy na niskich nogach z tektury, jedną siwą, drugą sroką, naturalnej wielkości, doskonale

wymalowane i sami te lekkie ciężary dźwigali. Zoczywszy w oddaleniu dropie, pan Michał z Grzesiem wysiadali, brali krowy na ręce, wózek zaś krążył bez przerwy w oddaleniu, aby uwagi ptaków na siebie nie zwracać. Z jednej i drugiej strony podchodzili stadko żółwim krokiem, niby to skubiąc trawę, gdy zaś dropie przestały zerować, lub się na nogach podnosić, okazując zaniepokojenie, wtedy obydwaj myśliwi siadali lub klękali, niekiedy w wodzie lub błocie, jak wypadło, nie ruszając się, dopóki dropie się nie uspokoiły, co trwało czasem i godzinę. Do przepiórki pan Michał nie strzelił, mawiając z uśmiechem: „Ja ją mam zabijać, kiedy ona woła: chodź tu żać!“—a na Wodzickiego rzucał pogardliwy wzrok, gdy je ujrzał przy jego torbie przytroczone. Na dubelty polował pan Michał. Znał wszystkie sznurki na stepie, wiedział, gdzie i kiedy przylecą, z pewnością jasnowidzącego. Inne termina dawał Wodzickiemu w słotne, inne w suche lata; również stosował swe wycieczki do wczesnych i późnych wiosen. Do kszyków niechętnie strzelał, a niekiedy i pudłował; dubelty zaś, przy pomocy wystawiającego je Bekasa, zrzucał jednego po drugim, wszakże ich nie jadał, twierdząc, że to niezdrowe ptaki.

Pan Michał miał swoją odrębną filozofię łowiecką, wyrobioną widocznie w słotach i mrozach. Oto, w jaki sposób przerwał raz milczenie, na widok bociana, siedząc na wózku obok Wodzickiego: „Oto, panie, asekurowany i protegowany zbrodniarz w naszym kraju. Popatrz, co ich chodzi po stepie, po bagnach i łąkach, a to najrozumniejszy z naszych ptaków i dla myśliwych szkodliwszy od wielu drapieżców, pracowity, baczny i przemyślny. Żyje naszym kosztem, pożerając przez cały dzień młode zające, pisklęta; nie gardzi i jajecznicą, nie bowiem nie ujdzie tego argusowego oka, spuszczonego bez przerwy ku ziemi. Lecz do niego nie strzelę i ojciec mój byłby nie strzelił, bo to nasz Ibis i ludek nasz go szanuje. Nie dosyć nauka śledziła dotąd pożytek zdziałany przez ssaki i ptaki. I tak: koty są w jesieni dobrodziejami na łąkach, na wiosnę i w lecie zbrodniarzami. Złodziejska sroczka, sprytna i zapobiegliwa, jest szkodnicą, łowi co może, w pojedynkę i spólnemi siłami, ona artystka w wyrządzaniu szkody. Sójka, ten nasz figlarz leśny i brzechomówca, niemało piskląt niszczy. Wiewiórka, kształtna, bawiąca nas na polowaniu gimnastycznemi skokami, zjada niemało piskląt i jaj pożytecznych ptaków. Piszą i mówią, że bocian łowieniem szczu-

rów i myszy, pożeraniem gadów, robaków i larw chrabąszczy (pędraków), żab i glist, jest pożyteczny. Niewiele on szczurów złapie przez życie, za myszami nie poluje wyłącznie, a węże, glisty, są nam pożyteczne, na pędraki zaś wystarczają nasze wrony, więc obrachowawszy jego zasługi i szkody, musimy go potępić. Na śmiech mi się zbiera, gdy bociana chwala za pożeranie kroci żab; chciałbym wiedzieć, co żaby szkodzą? Wyznać muszę, że mi się dusza raduje, gdy na wiosnę kumkać poczną, a potem zaskrzeczają weselną pieśń. Krety i ropuchy kupują francuzi, a nam się cieszyć każą, że je bocian wytepia“.

Wszystko, co pan Michał potrafił zrobić z wyźłów, gończych i jamników, wprowadzało słusznie w zachwyt Wodzickiego, któremu byle co imponować nie zwykło. Spostrzeżenia te jednak pominać muszę, a tylko pozwolę sobie przytoczyć opis izby pana Michała, jako dopełniający charakterystyki tej wyrazistej postaci z minionych czasów. Otóż, gdy Wodzicki odwiedził po raz pierwszy pana Michała, uderzyła go na pierwszy rzut oka: izba wybielona, obszerna, z olbrzymim, żółtym, kaflowym piecem, w środku podłużny stół dębowy i sześć krzeseł drewnianych, przy ścianie kanapa kilimkiem pokryta; nad stołem, na suficie,

rozpięty orzeł przedni; w oknach dwóch dwa zadąsane gile, faworytalne ptaki pana Michała i w obszernej klatce rodzina hałaśliwych kanarków; przy piecu krzesło rzeźbione, z dębowego drzewa, z olbrzymiem oparciem, pochodzące może z czasów Jagiellońskich, wybite sarniami skórkami, u nóg futro z czarnego niedźwiedzia, czerwonym suknem obszyte—widocznie wybrane miejsce dla odpoczynku i drzemki. Działo się to w ostatnich dniach października, przy dosyć chłodnej temperaturze, to też ogień, okłotami zasilany, wesoło przyświecał, dwa małe jamniczki do pieca nosy przytuliły, dygocąc, a wyżeł, pomrukując, ogrzewał sobie mordę. W izbie wisiały pułki, na nich leżały stosy kalendarzy zapisanych, bo to była zarazem registratura myśliwska pana Michała.

Pozostały mi jeszcze do przedstawienia zapiski ornitologiczne Wodzickiego, które, jak to na początku powyższego studyum zaznaczyłem, należą do najbardziej znanych, rozpowszechnionych i ulubionych przez naszą nemrodową rzeszę. Zapiski ornitologiczne wychodziły najsamprzód w czasopismach, a następnie doczekały się prawie wszystkie podwójnego wydania w odbitkach. Zdaje mi się, że tylko jedna słonka wydrukowaną została w Łowcu, a odbitka z tego bar-

dzo ciekawego studyum nie ukazała się wcale.

Zapiski ornitologiczne Wodzickiego obejmują monografie następujących ptaków: Bocian, Jaskółka, Jastrząb, Kuropatwa, Wróbel, Kukułka, Kruk, Orły, Skowronek, Słonka. Widzimy więc, że cyfra odtworzonych ptaków nie jest wielką, lecz za to bogactwo spostrzeżeń jest niezaprzeczone, a przytem Wodzicki, mając coś do powiedzenia o innych ptakach, nieznacznie wplótł swe odkrycie do którejkolwiek monografii i tym sposobem przykuł jeszcze więcej uwagę myśliwych do swych zapisek. W dziesięciu monografiach ptasich Wodzickiego spotykamy wybitne typy ptaków stałych, które czasami, z powodu wycieczek, zwane są błądzącami (*erratiques*) i postacie ptaków przelotnych, czyli podróźnych, które swemi tajemniczemi a odległemi wędrówkami, budziły już ciekawość starożytnych. Dawszy nam portrety ptaków wytrzymujących z nami mroźną zimę i nieopuszczających nas wśród ogólnej martwoty, a następnie, odtworzywszy nam zawsze serdecznie witanych wiosennych przybyszów i opowiedziawszy w ich imieniu wszystkie niebezpieczeństwa podróży oraz troskę założenia nowego ogniska rodzinnego, Wodzicki kreśli nam z nieporównanym wdziękiem prawie pełny

obraz naszej natury i budzi mimowoli w pier-
si każdego myśliwego odległe czasy i za-
mierchłe wspomnienia.

Czytając „Zapiski ornitologiczne“, mimo-
woli przesuwają się w pamięci owe różno-
barwne obrazy, na które myśliwy patrzył
niejednokrotnie we wszystkich porach roku.
Najsamprzód przypomina się każdemu uczu-
cie wdzięczności dla tych skrzydlatych mie-
szkańców, którzy stale uważają się za to-
warzyszów naszej zimowej niedoli. Kuropa-
twa, wśród śniegów i mrozów, używa też szcze-
gólnych przywilejów ażyłowych, na mocy
prawa międzynarodowego myśliwskiego. Ten-
że sam myśliwy, który we wrześniu i pa-
ździerniku okrywał żałobą jej rodzinę, w gru-
dniu i styczniu troszczy się o pożywienie
dla niej i wspiera nieraz zbrojną ręką ko-
guta, gdy w natłoku wrogów wroniego rodu,
stacza zacięte boje w obronie swej rodzi-
ny. Cóż dopiero mówić o ptakach krasno-
piórych, które wśród szaci leśnej i zwie-
szających się bisiorów śniegu rozerwą oko
czerwonym lub niebieskim piórem, migocą-
cem wśród ogromu białości. Z jakąż ży-
czliwością patrzy wówczas myśliwy na czer-
wono-czubiastego dziecioła, kującego nie-
ustannie w drzewo i od czasu do czasu zwrá-
cającego charakterystyczny łeppek w stronę
patrzącego, jakby mu chciał powiedzieć:

„patrz, ja ciągle pracuję dla ciebie i nie opuszczam cię w zimie“. Nawet sójka, znakomity figlarz-brzuchomówca, a na wiosnę niepospolity psotnik, ma w zimie przystęp do myśliwskiego serca. Jeżeli który z nemirodów zupełnie jest przekonany o jej karygodnej wiosennej kleptomanii, której się oddaje na widok cudzych jaj lub piskląt, to w zimie udaje, że zapomniał lub nie wie o fatalnych nawyknieniach sójki i pozostawia ją w spokoju.

Z jesienią znowu uczuwamy mimowolny żal do tych skrzydlatych pddróżników, co wywiódłszy szczęśliwie młode pokolenie, pozostawiają nas samotnymi wśród martwej natury. Gdy liść traci zieloną barwę, powietrze staje się ostrzejszem i sejmy przedodlotne ptasie poczynają nad daleką wędrówką obradować w powietrzu, smętna zaduma ogarnia każdego i gotów jest pomówić o niewdzięczność te biedne ptaki, które twarzą konieczność pędzi w dalekie kraje. Ileż to gorzkich, rymowanych skarg i wymówek wydrukowano na temat niewdzięczności ptaków. Zakrzewski w pięknym wierszu wyrzucał bocianowi:

„Pędź niewdzięczny lotem strzały,
Tam, gdzie wieczne są upały,
Tam, gdzie wiecznie kwitnie maj.
Mnie niech skrzydła mróz tu zetnie,
Nie polecę w strony letnie,
Bo mnie miłszy ojców kraj!”

a podobnych oskarżeń, nie ozywionych nawet natchnieniem poetycznym, naliczyćby można bardzo wiele w każdej literaturze.

Zgryźliwość i złoćliwość ustępują jednak w duszy ludzkiej miejsca poczuciu sprawiedliwości, razem z pierwszym tchnieniem wiosny. Gdy się zjawiają strudzeni i zgłodniałi przybysze skrzydlaci, po przejściu wielu niebezpieczeństw, doznajemy na ich widok radości i czujemy, że zarzuty niewdzięczności uczynione były pod wpływem smętnych godzin, niesprawiedliwie. Tenże sam bocian, pomimo tylu poetycznych jęków, przybywa na stare gniazdo, pomieszczone na drzewie wśród wioski, pewien zupełnie wiernopoddańczego przyjęcia. Klekotaniem przeciągłem powiadamia mieszkańców wioski o zaszczycie, jaki ich spotkał i wnet na to wezwanie wylega cała rodzina kmieca przed chałupę, aby powitać dostojnego podróżnika. Gospodarz, na widok tej pewnej siebie postaci, stojącej w uroczystych chwilach na jednej nodze, zwykł wyrażać podziwienie i zadowolenie w krótkiej formule: „Jest jucha!“ — za to reszta kmiecej rodziny wyraża się o „boćku“ z większym uszanowaniem, a ten, widząc wrażenie, sprawione swem przybyciem na wioskowej rzeszy, objawia nowem klekotaniem, z wysokości swego laskonogiego majestatu,

wszem wobec i każdemu z osobna, zadowolenie i łaskawość.

Wodzickiego „Zapiski ornitologiczne“ przypominają nam wybornie wszystkie owe fazy uczuć, jakie kiedykolwiek żywiliśmy dla ptaków. Prócz tego zaś sprawdzają one wybornie głębokie spostrzeżenie Tyzenhauza, dowodzące, że: „z pomiędzy wszystkich na kuli ziemskiej ożywionych stworów, ptaki, zaiste, najpierwej i najsilniej uwagę człowieka zająć musiały, już to rozmaitością kształtów i barwy, już zadziwiającą własnością latania w powietrzu, pływania po wodzie, nurzania się w głębinach, już rozległością i melodią głosu. Gdyż człowiek, przypatrujący się z zachwyceniem wdziękom przyrodzenia, we wszystkich innych klasach zwierząt nie spostrzegł tyle urozmaicenia i nie mógł zauważyć tyle, co w ptakach, zjednoczonych przymiotów“⁴⁵⁾.

Porównawszy też „Zapiski ornitologiczne“ z innymi pracami Wodzickiego, przekonać się łatwo, że najwięcej trudu i mozołu poświęcił na obserwowanie życia i zwyczajów ptasich. W skromnych zaś dziesięciu monografiach zawarł bogaty skarb spostrzeżeń i mam nadzieję, że nie będzie mi to poczytanem za złe, że po kolei i po-

⁴⁵⁾ „Ornithologia powszechna“, T. I, str. VII.

krótce przejrzę owe monografie ptasich starożytnych rodów.

Bocian, ów ptak żałobny, którego wszyscy znają, jest, zdaniem Wodzickiego, zawsze smętny i zawsze dumający. Kocha namiętnie, lecz tylko samiczkę swoją; dzieci wychowuje troskliwie, lecz bez czułości; postępuje z niemi jak ojczym, lub jak opiekun. Nie zna słabości, surowy nad miarę w nauczaniu ich czystości na gniaździe, a w szczególności w wypędzaniu na zarobek i we wprawianiu ich do górnego lotu. Zwykle bociany przybywają do nas w końcu marca lub z początkiem kwietnia. Najsamprzód przylatuje awangarda, złożona ze starych samców, między którymi mięsza się czasem doskonała samiczka, lub też druga, nader czuła, niechęca opuścić ukochanego małżonka. Awangarda powyższa przylatuje tydzień pierwej do nas na wiosnę, rekognoskuje miejscowość, stan wegetacyi, ilość żeru i stopień ciepła. Jeżeli znajdą tego dnia wszystko podług ich potrzeb, rozlatują się po gniazdach i czekają na główne stada, złożone z samiczek i przeszłorocznych ptaków. Aryergarda znowu, opóźniona o dni kilka, składa się z najslabszych bocianów. Pierwsze stada bywają nieliczne, po 15, 20 do 30 bocianów, drugie po kilkaset i kilka tysięcy. Lecą

podług wiatru, który zawsze muszą mieć za sobą i nieco pod sobą, wiejący w pierze, w wysokości czasem okiem niedościgłej, częściej zaś widziane. Gdy nad ojczystem miejscem przelatują, opuszczają główne stado te, które poznały gniazdową okolicę; czasem dwa, pięć, siedm, dziesięć bocianów. Korpus główny leci dalej, coraz szczuplejszym się stając.

Często zimna zmuszają bocianów do opuszczenia gniazda, wtedy biedne ptaki bląkają się po całej okolicy, szukają w pośród zabudowań schronienia i wiele ich ginie. Potrafią sobie jednak wyszukać w głębokiej trzcinie, nad cieplicą, zielonym szuwarem obrosłą, schronisko i tam żywią się roślinami i skorupiakami, dopóki bieda nie minie. Powróciwszy na gniazdo, zastają już jaja zaziębione, trzeba je więc wyrzucać i gniazdo naprawiać, świeże jaja znosić, z czego się samce, mimo biedy, cieszą, wesoło klekocąc, a samiczki także znoszą to familijne nieszczęście filozoficznie, dowodem tego, że w tydzień później każda znowu na świeżych jajach siedzi. Bocian, tak samiec, jak i samica, ustawicznie naprawiają gniazdo i powiększają je. Gdy głód zaspokojony, on znosi materyały i budują przez cały czas lęgu. Lecz co dziwniejszem jeszcze jest spostrzeżeniem, że kiedy inne

ptaki, raz opuściwszy gniazdo, już się nie troszczą i do niego w tym roku nie powracają, bociany do ostatniej chwili utrzymują porządek i w zupełnie dobrym stanie opuszczają w jesieni gniazdo, jak gdyby miały istotnie myśl powrotu na rok przyszły i pamiętały, że to mało czasu zostaje na wiosnę do reperacyi. Przy budowie i ciągłych poprawianiach zachodzą jak najzabawniejsze sprzeczki. Często, gdy samiec gałązkę lub inny kawałek wbudował, a ona wyjęła i gdzieindziej włożyła, lub też, gdy on obstawiał przy swoim planie, a ona przy swoim, trzymali oboje ten materiał i wydzielali sobie wzajemnie, aż nareszcie jedno przemogło.

Gdy w połowie sierpnia zaczynają się u nas gromadzić bociany, wtedy są najciekawsze do obserwowania. Na wielu gniazdach, dorosłe już bocianki, przez tydzień cały próbują już skrzydełek. Śmieszne są zaiste te ewolucye. Czwooro „boćków“ rozpościera skrzydła, a nie mając dosyć miejsca na gnieździe, trącają się i spychają wzajemnie. Gdy skrzydła już dobrze wypróbowane, a rodzice przez dni kilka nad gniazdem, dla przykładu i zachęcenia, toczą koła powietrzne i próżniakom młodym już pożywienia nie przynoszą, aby ich do lotu zmusić, wtedy podrywają się bocianki

na kilka stóp w górę i spadają na gniazdo jeden po drugim. Później podnoszą się na kilka łokci, aż nareszcie najodważniejszy puści się lotem na sąsiedni budynek, za nim puszcza się drugi i całe rodzeństwo, a spróbowawszy jeszcze raz skrzydeł, czy się na nie spuścić można, podlatują nareszcie ku samiczce, kołującej nad niemi i wszyscy razem koła toczą. Zdarza się często, że najmłodsze pisklą, wyklute o pięć do ośmiu dni później, istna sierotka, na gnieździe zostaje, niespokojne, smutne, z opuszczonemi skrzydłami, przez rodziców zaniedbane i głodzone, stoi czasem i ośm dni na gnieździe. Są to późniejsze męczenniki, które gromady bocianów egzekwują na śmierć, uznając ich za niezdolnych do wytrzymania podróży.

Gdy już bociany wywiodły się z gniazda, wtedy zwykle rano zawierają się znajomości, młodzież osobno, starsi w drugiej stronie; jedni drugim przyglądają się, jak my na widowiskach publicznych, a gdy już to pobratanie nastąpiło, wtedy te liczne rodziny odważnym krokiem przemierzają pola, szukając pożywienia. Ku wieczorowi wznosi się całe towarzystwo do lotu, krąży coraz wyżej, aż nareszcie pod obłokami wydają nam się jak ptaki wielkości wrony i znikają z widnokregu. Niechże nikt nie

myśli, że to już odlot, bo tak nie jest. Każde grono familijne, po tych przygotowawczych manewrach, powraca, jak na ostatnie pożegnanie, do gniazda, tam wszyscy rano i wieczór chórem zaklekocą ⁴⁶⁾, bo młode bociany dotąd nie klekotały z niewykształconym dziobem. U młodych klekotanie oznacza termin ich usamowolnienia; wtedy, gdy silnie, wraz z rodzicami, zaklekocą, dopiero są uznani za pełnoletnich. Na tych ogólnych miejscach zgromadzenia, najczęściej na bagnistych łąkach, mokrych stepach, lub nadrzecznych płaszczyznach, bawią dni kilka, radzą, sejmikują, dzielą się na partye, każdego z osobna egzaminują, jednych zabijają, drugich odgonią, aż nareszcie w nocy, lub do dnia, bez hałasu, znikają, a to tak cicho, że Wodzicki nigdy tej chwili zajmującej upatrzeć nie mógł, mimo, że późno wieczór temu zgromadzeniu był przytomny.

„Długie lata — pisze Wodzicki — nie wierzyłem w opisy i opowiadania o krwawych

⁴⁶⁾ Wodzicki używa terminu „zakłapia“, który uważam za niewłaściwy. „Kłapać, kłapnąć“ znaczyło to wśród gwary prowincjonalnej łowieckiej: że dzik szabłami kłapie, lub że dawna broń skałkówka lub kapiszonówka nie puściła, spelzła lub kłapła; bocian zaś zawsze klekotał, przynajmniej nigdzie z odmiennem określeniem nie spotkałem się.

egzekucyach bocianów, tak mi się bajecz-
nemi wydawały. Mimo mej niewiary, wy-
znać muszę, że im więcej poznawałem ży-
cie tych ciekawych ptaków, tem silniej mo-
ja ciekawość zaostrzoną była, szczególnie
od lat dwunastu, w których to latach, na
miejscach zborowych, napotkałem kilkana-
ście zabitych bocianów. Między temi były
nietylko małe i niedorodne, lecz i duże,
doskonałe ptaki; jedne miały okrągłe rany,
jak od kuli karabinowej, inne żadnego ze-
wnętrznego znaku; czasem znowu oko wy-
bite, pierze wyrwane i zmierzwione. Rzecz
szczególna, że z tej wielkiej ilości egze-
kwowanych bocianów, które widziałem, za-
den nie był od ptaków i zwierząt drapie-
żnych zjedzonym“.

Pojęcie własności ma bocian i gdy ją
broni, troi się jego siła i odwaga. Często
z walki o gniazdo, przeciw licznym napa-
stnikom, wychodzi zwycięsko. Zdarza się,
że samiec, straciwszy samiczkę, w pier-
wszych chwilach sam gniazda używa. Par-
ki inne, szukające umieszczenia, usiłują wy-
przeć go z gniazda, ten zaś broni się za-
cięcie, w nadziei, że jeszcze towarzyszkę
sobie wynajdzie i doświadczenie uczy, że
prawie zawsze utrzyma się przy własności,
lub też w walce zginie. Wodzicki opisuje
obserwowany przez siebie wypadek, w któ-

rym spór o posiadanie gniazda, wytoczony przed sąd polubowny bocianów i ich wyrokiem rozstrzygnięty został.

Surowość obyczajów u bocianów, zemsta i kary, bywają straszliwe. Sąsiad Wodzickiego spędził raz bocianicę, wyjął jajo, a na to miejsce położył jajo gęsie. Gąsię wykluło się niemal wcześniej, niż bociany. Po kilku dniach, gdy samiec wrócił z żerowiska w południe, a spostrzegł podrzutka, pozabijał wszystkie pisklęta, zdziobał samice do tego stopnia, że dwa dni na gnieździe leżała i opuścił dom; pewnie samica zdechła, bo jej później nie było. Dowody rozumu, czucia, wdzięczności i pamięci bocianów są rozliczne. Gdy gniazdo zostanie zniszczone, a pisklęta pozabijane skutkiem trąby powietrznej, lub pożaru, wówczas bociany gnieźdzą się dalej w tem samym miejscu; złośliwość człowieka jednak wypędza je na długo, lub na zawsze i złamania praw gościnności i opieki nigdy mu przebaczyć nie są w stanie.

Drugim ptakiem podróznym, powszechnie znanym, a zawsze badanym, któremu Wodzicki poświęcił monografię, jest jaskółka. Gdzie tylko człowiek osiadł, czy na umiarkowanej północy lub południu, czy na wschodzie i zachodzie, wszędzie mu latem śpiewa jaskółka, wszędzie go bawi swą po-

wietrzną gimnastyką, a gdy w jesieni znacznie się w stada gromadzić, każdemu zimno, a w duszy smutno, bo świat bez igrających jaskółek, zaiste, martwy obraz przedstawia.

Jaskółka, to nasza lokatorka, pod strzechą, jak pod gontem, w kominie i przysionku, w stajni, w owczarni, wszędzie jej pełno; wdzięczni jej być powinniśmy, bo bez tej dobroczynnej ptaszyny niktby przed miryadami owadów nie wytrzymał. Ściele gniazdo, że je ręką dostać można, powierza pisklęta, do nas się garnie, nuci nam miłosne śpiewki, bawi nas swym lotem, a nikomu się nie naprzykrzy, dlatego wszyscy ludzie z czuciem pokochali ją serdecznie i na zawsze; ona zdobyła nasze serca i wszystkich poetów, od Wirgiliusza do najnowszych.

Jaskółka jedna, z całej przyrody, nie zna nieprzyjaciół. Jej śpiew, to wprawdzie tylko miłe, harmonijne szczebiotanie, lecz pełne wyrazu i uczucia. Zawsze wesoło zanuci, nigdy smętnym i melancholicznym akordem nie zachmurzy naszej duszy. Jaskółka prawie nie siada, żywi się w powietrzu, kąpie się latając, w locie żywi pisklęta, skrzydłami odbywa podróże niepojętej odległości w głąb Afryki, powietrze jest jej żywiołem, jak woda żywiołem ryb. Kto zaś

patrzy na nią przy gnieździe i pisklętach, w niebezpieczeństwie, lub przed podróżą, ten powie: to przeistoczenie miłej, słodkiej, czulej a rozumnej dziewczycy.

Istnieje przysłowie: „jedna jaskółka lata nie stanowi“. Rzeczywiście też w początkach kwietnia zjawia się jedna, dwie — to rekonesansy i znowu znikają; później czasem awangarda z czterech do pięciu i znowu pauza, a mimo tych ostrożności, narażają się na wielkie niebezpieczeństwa, bo na głodową śmierć i zmarznięcie. Często lodowaty deszcz kaleczył twarz Wodzickiego, śnieg sypiący ubranie przypruszył, wiatr północny krew w żyłach mroził, gdy spotykał jaskółkę szyjącą powietrze, czasem dwie, cztery, rzadko kiedy więcej. W razie niespodzianej biedy, rozumniejsze, przebieglejsze i doświadczonejsze jaskółki, chrońnią się do mieszkań ludzkich, do stajen i owczarni, tulą się pod strzechę dymnych chałup i wlatują do kominów. Jednego roku naliczył Wodzicki w swej owczarni około 300 jaskółek. Było tam na ścianach i powale niemało jaj owadów, poczwerek i pajaków, lecz to armii jaskółek na pożywienie nie wystarczyło i piątego dnia już z głodu konające na gnoju podnoszono, ratowano, noszono do mieszkań i pewną część uratowano od głodowej śmierci. Niewątpli-

wie też ruch ich gwałtowny, przyspieszający trawienie i głód, a nie zimno, dziesiątkował schronione pod strzechami ptaki.

Rzecz szczególna — powiada Wodzicki — u żadnego ptaka nie spostrzegłem tak częstych rozmów, czy to między małżeństwem, czy z dziećmi, czy też w towarzystwie, jak u jaskółki. Mowa ich jest też bogata. I tak: mają głos na oznaczenie strachu i popłochu, wabienie zwołujące lub ostrzegające, szczebiotanie zadowolenia i rozkoszy. Innym głosem towarzysze do siebie mówią, innym przemawia matka do dzieci, inny znowu dźwięk w rozkosznych, pieszczotliwych wyrazach małżonków. Jaskółczęta rosną, jak baby na drożdżach i po czternastu dniach, już w lepiance pomieścić się nie mogą. Pomału więc otwór rozprzestrzeniają i siedzą sobie dzień cały, przyglądając się wszystkiemu z ciekawością a bez trwogi. Słuchają też uważnie świegotania starych i pomału zaczynają nucić cicho, często chrapliwie. Nauka powietrznej jazdy nie odbywa się tak łatwo. Zwykle stary, uchwyciwszy muchę, leci przed gniazdo, lecz trzepocząc, staje w powietrzu w pewnej odległości i woła dzieci; te, zawsze zgłodniałe, dostać nie mogą pokazywanego owadu, nachylają się, próbują skrzydeł, aż nareszcie któreś spadnie z wyteżenia; prze-

straszone, leci do ojca, dostaje muszkę i powraca na gniazdo, wesóło szczebiocząc.

W rodzie jaskółczym jest wyraźny nakaz, że pierwsze noce po wyleceniu dzieci z rodzicami, razem wszyscy w gnieździe spać muszą. Co tam jednak jest pisku i narzekania, jak się to wszystko gniecie, a potem skarży, aż nareszcie, ulokowani, cicho siedzą i wszystko zasypia, bo to niemałe było zmęczenie w tych dniach próby. Gdy się nareszcie młode jaskółczęta przyswoiły spać w lepiance z rodzicami w tej niewygodzie i już kilka dni bujały, nie zważając, że gniazdo wyporządzone, aż tu jednego wieczora zastają ojca na warcie, a matkę na swem pierwszym jajku w gnieździe. Niepospolite zadziwienie i wielkie nieukontentowanie. Gdzież tu tak późno i po zmęczeniu szukać miejsca bezpiecznego na odpoczynek? W drugim zniesieniu, najczęściej jaskółki trzy tylko jaja znoszą i wychowanie tej drugiej familii niepospolite kłopoty dla rodziców sprowadza, gdyż wyklute później pisklęta, często jeszcze w gnieździe siedzą, kiedy już w sierpniu jaskółki do podróży się gromadzą.

Zwykle jaskółka tylko drobne owady łapie z chciwością, te, które bez poszarpania połknąć może, bo nie targa, lecz wszystko w całości pożera. Pszczoła dla niej jest

niewygodnem pożywieniem, a po drugie, ona przezorna i rozumna, wie dobrze o żądle i rozumie, że szeroką paszczę to żądło ukłuje, a ona nie ma czasu i siły zabić pierwej pszczoły, jak robią inne ptaki, bo to istny latający pośpiech. Marszruta prowadzi zwykle jaskółki nad wyspami, gdzie wypoczywają i tam równie wiatru pożądanego czekają. Często zmęczone, tysiącami obsiadają maszty okrętów i świegocząc, dają oznaki radości, że znowu w towarzystwie ludzi się znajdują. Gdzie mogą, tam nocują. Są to ptaki, które w ogólności w późnej, ciemnej nocy podróżować nie lubią i to tylko w nagłej potrzebie robią, a jeżeli zdarza się sposobność, którą zresztą dziwnym instynktem przygotować umieją, wtedy nocują na drzewach lub na skałach, a wylatują przed wschodem słońca i lecą późno w wieczór.

Z wszystkich, dokładnie znanych ptaków Wodzickiemu, jaskółki i sikory szczególnie łączą solidarność miłosierdzia w niesieniu pomocy do wychowania obcych piskląt, i tak: młode jaskółki z pierwszego gniazda, niemające w tem lecie innych obowiązków, jak pożywienia szukać, jak gdyby się wprawiać chciały do przyszłych obowiązków ojców, noszą pożywienie innym piskletom. Tak samo robią, widząc z dru-

giego zniesienia spóźnione ptaszyny, którym rodzice, z przyczyny chłodnego już powietrza, dostatecznego pożywienia dostarczyć nie mogą. Przytem w rodzie jaskółczym jest tak silny węzeł zgody i wzajemnej pomocy, taka solidarność między wszystkimi ptakami tego gatunku, że nie tylko jaskółki jednego dworu, osiedla, wsi, powołują się do wzajemnej obrony, lub na obfity żer, ostrzegają rodaczki o niebezpieczeństwie, lecz na zawołanie jednej nawet nieznanym z oddalonych miejsc przylatują jaskółki i jak żołnierz jednej armii, stawają posłuszne pod rozkazami tej, która potrzebuje pomocy i woła o nią. Gdy wróbel, z pomocą wróblicy, wypędzi oknówkę, wyrzuci jajka i pisklęta, wtedy wyzute z własności ptaszki lecą głosić ogrom swego nieszczęścia. Towarzyszki niebawem zbierają się, każda ma bryłkę w dzióbku i gotowa zamurować gniazdo z przestępcami. Najczęściej jaskółki nie żądają tej zemsty i wróblom odstępują gniazda, lecz jak wróblica zbrodnię posunie do wyrzucenia jaj lub piskląt, wtedy sprawiedliwie rozjątrzeni rodzice srogą śmiercią karzą napastników.

Jaskółka, to pół ptaka, pół owadu; nie tylko jako migające lotne stworzenie, lecz jako objętość. Obskubawszy bowiem tę pta-

szynę, cały jej korpus wydaje się ledwie wielkości dużego włoskiego orzecha, dla tej to przyczyny nie jest ona ponętną dla drapieżnych ptaków i drobnych zwierząt. Zdarza się przecie, że jastrząb krogulec, lub inny sokolik, w wielkim głodzie i tą odrobiną apetyt zaspokoić pragnie, a w takim razie wybiera sobie pojedynczą ofiarę i tę nieochybnie złowi, gdyż w churmy wirujących jaskółek nie może nigdy uderzyć. Często się też zdarza, że jaskółka w podobnych napadach rzuconą jest do ziemi samą trwogą i przestach jej jest tak wielki, że mimo uderzenia bolesnego o ziemię, leży martwa chwil kilka, jak po odebranej kontuzji.

O śnie zimowym jaskółek, czyli chwilowem drętwieniu, ani jeden autor nowoczesny słyszeć nie chce, zaś dalszych badań nie robiono, mówiąc: to być nie może, aby ptak z kompletnym systemem arteryj i z płucami potrzebującemi powietrza, mógł drętwieć na kilka miesięcy, a przecieź najdawniejsi i średniowieczni autorowie niemal wszyscy o tem wspominają, opierając się na podaniach ludowych. Również poważni badacze widywali nad brzegami Irlandyi, przez rybaków wyciągnięte, a zupełnie zmarznięte, nieokazujące znaku życia ptaki, z tym samym organizmem, jak

jaskółki: np. nury rdzawogarliste, maskonura mnicha, a sieci były spuszczone do 180 stóp głębokości w morze. To samo powtarza inny naturalista (Pastré) o gapie białym (*Sula alba*), że bardzo często zamrożony z morza wyciąganym bywa, a tak jedne, jak drugie, do życia powracały w stopniowo powiększającym się cieple. Czyby to dla nas nie było wskazówką, że późno wyklute jaskółki, z drugiego zniesienia, pomału się do głodu i zimna przyzwyczajają, a nie mogąc już dla zimnej pory i braku owadów lecieć w dalekie kraje, w głębokie nory się chowają, tam drętwieją i zimę przepędzają. Pewnie wielka ilość jaskółek wytrzymać nie może tego letargu i już z kryjówek nie wylatuje, zaskoczona śmiercią spokojną, lecz przypuścić można, że inne ten czas letargu wytrzymują i nam się wczas na wiosnę pokazują.

Wodzicki przytacza ciekawe zdarzenie, jakie mu się raz dnia 12 grudnia przytrafiło. Oto w buku ściętym leżało sześć jaskółek dymówek zmarzniętych zupełnie. Przyniesione do pokoju, cztery pomału do życia powróciły, dwie zaś sen do śmierci zaprowadził. Niestety i tamte cztery, po kilkunastu godzinach, z głodu zginąć musiały, owadów bowiem nie było, a innego pokarmu przyjąć nie chciały. „Dziś — pisze Wo-

dzicki — surowo sobie wyrzucam błąd nie do przebaczenia, że nie zamroziłem kilka tych ptaków na nowo. Byłbym miał wskazówkę, jeżeli nie dowód, na to, czego tak uporczywie szukano“. Istotnie, szkoda, że Wodzicki nie wyzyskał tak rzadkiego zdarzenia z większym dla nauki pożytkiem. Nie słyszałem bowiem od żadnego z łowców, ani kłusowników, aby im się coś podobnego kiedykolwiek zdarzyło. Znana im była tylko legenda, że jaskółki w wodzie zimują i pytali się mnie wielokrotnie, czy to może być prawdą. Legenda zaś powyższa była i jest rozpowszechnioną po Europie, jak twierdzi Serres, a nawet wielu pisarzy nowożytnych przyjęło ją za pewnik. Tymczasem Serres uważa odlot jaskółek do krain cieplejszych za przypuszczenie daleko prawdopodobniejsze, zwłaszcza, że ukazują się w Afryce po zniknięciu z Europy i sama ich budowa oraz ruchliwość wskazują, że przeznaczono im dalekie podróże ⁴⁷⁾.

Jeszcze więcej podań i legend zabobonnych krążyło w Europie o kukułce, której Wodzicki poświęcił bardzo staranną monografię. Kukułka jest wysmukłą, zawsze czystą, ruchliwą, z chimerycznym lotem, zmieniają-

⁴⁷⁾ „Des causes des migrations des divers animaux“. S. 98.

cym się wedle potrzeby, zgrabna na gałęzi i w powietrzu, lekkości milej oku, w swem szaro-popielatem pierzu, postawiona być może za typ rozkosznic w rodzie ptaków. Z upierzenia, a częstokroć z lotu, podobna do jastrzębia krogulca, co dawało powód do różnych niewłaściwych opisów — istne źródło bajek, które w tradycyi ludów niemal wszystkich krajów się przechowało, ze szkodą nauki i krzywdą dla kukułki, która nie miała nigdy na sumieniu zbrodni, popełnianych przez drapieżne ptaki. W zagadkowym tym ptaku, w najdrobniejszych szczegółach tajemniczość spostrzegamy, z każdym rokiem odmiany małe w upierzeniu, którym podpada większa część małych ptaków — i tak: bywają upierzenia jaśniejsze i ciemniejsze, posiadające więcej rdzawego lub popielatego koloru; oczywiście, że wpływ powietrza i pożywienia działa na barwy, wszakże dotąd badacze odgadnąć nie mogli, jaki wpływ na upierzenie wywiera mokry, a jaki suchy rok.

Specyalne właściwości w budowie kukułki dowodzą, że żarłoczka, gdyby nie była w ustawicznym ruchu, musiałaby zginąć z niestrawności i z zapalenia wnętrzości. Żołądek kukułki, w czasie pobytu w naszych krajach, zawsze napchany jest włosami, wbitemi końcami w brodawki, tworzą-

cemi włochaty wianek. To ciekawe zjawisko powodowało wielu badaczy do mniemania, że kukułka posiada żołądek wewnątrz włosami zarosnięty; rzecz się wszakże inaczej przedstawia. Kukułka, żyjąc przeważnie gąsiennicami, pożera włochate, czyli włosiste gąsiennice ciem (nocnych motyli), z łatwością je trawi; wszakże włosy tychże zakluwają się i pozostają w żołądku dłuższy czas, zanim je wyrzucić zdoła. Śmiało też twierdzić możemy, że kukułka jest stróżem lasów naszych, a szczególnie szpilkowych (iglastych), podpadających zupełnemu zniszczeniu przez gąsiennice nocnych gatunków ciem i gdyby tych ptaków nie było, nie wiele szpilkowych drzewby się u nas utrzymało.

Kukułka jednak przedstawia nam obraz wiarołomnej żony, wyrodnej matki, obraz używania i niewidzianej żarłoczności. Jest ona odzwierciedleniem zalotnicy, typem lekkiej istoty, a przytem gnębiącą miłych śpiewaków pasorzytką. Poważni autorowie twierdzą ogólnikowo, że kukułki są jedynymi wyjątkami wielomęstwa (polyandryi) w świecie owadożernych ptaków. Nie podpada wątpliwości, że rozkosznica miewa czasem kilku mężów, a gdy inne ptaki, podczas miłosnej doby, miewają walki, zemsty, pojedynki, kukułki, jako wyrafinowane, rozu-

mne sybaryty ptasie, ani piórka w swych umizgach nie tracą, nie wystawiają się na rozlew krwi, nie psują sobie humoru i co najwięcej przypuszczać można, że nareszcie niepospolicie rozgrzane, cierpią na kongestye.

Jednakowe upierzenie samca i samicy utrudnia wielce badania, prowadzi do mylnych przypuszczeń; jedynie głos odmienny samiczki kieruje i naprowadza badacza. Samce, jak u wielu innych gatunków ptaków, są kwatermistrzami. Powróciwszy do miejsca urodzenia, obierają siedzibę i ustawicznym kukaniem, zastępującem śpiew u kukulek, samiczkom przybywającym zwiastują miejsce przeznaczenia na weselne gody. W kukaniu kukułki nie dosłyszemy nigdy nuty smutku, w życiu jej niema zimy, rozkoszuje się przez rok cały, rozpustnica i żarłocznicą. Kukułka, o ile może, znosi jajo w gniazdo tego samego gatunku ptaka. Nie zawsze się jej to udać może, przy nad miarę ruchliwym życiu i odbywaniu połogów w podróży i na wycieczkach swawolnych; często więc cisnące ją jajko zmuszona jest rzucić w pierwsze lepsze gniazdo i lecieć dalej w świat. Trzy razy w życiu widział Wodzicki dwie parki pliszek szarych, wysiadujących w tych samych miejscowościach jajo kukulcze, a raz jeden

parkę raszek i pewien jest, że te cztery fakta potwierdzają jego przypuszczenie.

Nie podpada wątpliwości, że ptaki stronią od kukułki, nienawidzą jej, często nawet prześladują, lecz tego nie trzeba przypisywać wyłącznie obawie, jaką mają ptaki przed drapieżcami, tu, zdaje się, instynkt wskazuje, że kosztem ich kukułczęta wychowuje i dla tej przyczyny śpiewaki w ogólności jej się boją i od niej stronią. W porze lęgu, obdarzona maurytańskim temperamentem, nigdy nie nasycona, nigdy nie zmęczona, gdy pora godowa minęła, oddaje się żarłocztwu do chwili odlotu. Wprawdzie po powrocie czas jakiś kukułka skazana jest na dyetę, gdyż w tej porze nie ma jeszcze ulubionych gąsiennic. Musi się więc zadowolnić skostniałym motylem lub ćmą, łążącym owadem lub jajkami przylepionymi na gałęziach, konarach i pniach drzew, złowić pracowitego zawsze pająka lub odszukać w korze i po za nią umieszczone poczwarki owadów. Jejmość kukulka bynajmniej się też w podróży nie spieszy; przeczuwając zimno, pozostaje długo na wygodnych stacyach, nie chcąc się narażać na chłód i głód. Tydzień i dłużej kukulka wzdychający samiec, a doczekać się jej nie może, aż nareszcie nad rankiem pojawia się oczekiwana; pierze zwilżone, nie-

bardzo czyste, złego humoru, cicha i spokojna, niktby nie przeczuł, co z niej będzie, gdy zazielenieją lasy.

Podziwiać należy pamięć kukułki, która, wyszukawszy kilkanaście i kilkadziesiąt może gniazd, wie, gdzie które umieszczone, kiedy rozpoczęte i ile jaj zniesionych. Nie dosyć na tem, ona codzien musi lustrację powtórzyć, aby mieć zapewnioną kołyskę i to za każdym jajkiem, od pierwszych dni maja do połowy lipca. Dziwimy się często: dlaczego kukułka w gniazda niektóre, w jej rejonie umieszczone, dogodnie na pozór, w bliskości będące, z rodzicami właściwymi do wykarmienia kukulęcia, nie znosi jaj? Oto rozumny i przezorny ten ptak uznał budowę gniazda za słabą dla swego rodu, lub też gałązki i podpory nieodpowiednie dla ciężaru — nie jajka, lecz pisklęcia. Kukułce wiele na tem zależy, aby ptaszków nie spłoszyć i nie zdradzić się; zdarzało się bowiem nieraz, że ptaki, dostrzegłszy podrzucone jajo, pomimo swych zniesionych, przystąpiły do słania świeżego gniazda. Otóż tego uniknąć pragnie mądra kukułka i dla tych przyczyn połów w tych samych godzinach odbywa, w których ptaszyny zażywaniem uganiają się, lub się pieszczotom oddają.

Nie podpada również wątpliwości, że się

stara upatrzeć chwilę osamotnionego gniazda i tłuc jajka, lub je wyrzucać, aby zabezpieczyć swemu potrzebny ciepłik przybraanej matki. Gdzie kukulka zniesie swe jajko do jaj nie uzupełnionych w liczbie, tam z pewnością codzien leci i świeżo zniesione tłucze i wyrzuca. Jajka ptaków są tak podobne do jaj kukulki, że z trudnością różnicę dostrzedz można, nietylko w kolorycie, lecz w kształcie i rozmiarach, a przecie kukulina swoje rozpoznaje i z pewnością nie wyrzuci. Większa część parok przyjmuje do wysiedzenia obce jajo, nie spostrzega różnicy i wysiaduje kukulkę, gdy wyjątkowe parki bronią czystości gniazda i podrzutków żadnych adoptować nie chcą. Wodzicki z wielkim mozołem zdołał podpatrzeć, że kukulka znosi jaja do gniazda drozda skalnego i do gniazda skowronka rolnego; jedno bywa zawsze na skale, drugie na ziemi umieszczone. Ta sama kukulka znosi niemal każde jajo w innego gatunku gniazdo, jakie znaleźć może w miejscowości przez nią zamieszkałej, bo trudności są niemałe. Inaczej rozumując, jakżebyśmy pojąć i wytłómaczyć mogli jaja, zniesione do gniazd, umieszczonych między kamieniami, w jamkach brzegów, jak np. w gniazdach opoczników (*Saxicolae*), lub po płotach, stosach drzew i kamieni, w rozpadlinach skał,

pod mostami, a nawet w dachu budynków; pliszki szarej, żółtej i górskiej, które tak często są na mamki dla kukulek skazane. Opatrzność, w swej nieskończonej mądrości, obdarzyła kukulkę różnokolorowemi jajami, przeznaczając ją do znoszenia w gniazda ptaków różnych gatunków. Zwykle też kukulka jajka, różne w kolorze od jaj ptakamamki, składa do gniazda zupełnie zabudowanego, gdzie brak światła nie pozwala ptaszynie odkryć podstępu. Dodać jeszcze należy, że jaja kukulek są nieproporcjonalnie małe, jakby dla tem łatwiejszego oszukania innych ptaszyn.

Zachodzi jednak wyjątek, przez rozum ludzki niepojęty, nietylko co do różnicy jaj, lecz jeszcze i co do sztucznej budowy gniazda strzyżyka, zwanego gminnie — mysim królikiem. Jest to istny koliber europejski, rozumny, zabiegliwy, a przytem sławny budowniczy. Otóż to ździebełko ptasze nie wyrzuca jaj kukulki i wysilenia czyni nie do opisania, aby wyżywić ogromną kukulkę, on, który jest uosobioną odrobiną. Przy karmieniu kukulcząt, dziwnie smutni rodzice przybrani, zatrwożeni są i jak gdyby rozkoszy karmienia nie używali, donoszą żywność z konieczności, z obowiązku, poddają się fatalności losu; nie widać jednak nigdy okazanej miłości, niepokoju, chęci

i odwagi w obronie kukułczęcia. Czasami się nawet zdarza, że drobna parka sama, lub z pomocą innych ptaków, wychowa dwie kukułki, z których jedna wyrzucana zawsze przez silniejszą towarzyszkę i na ziemi wychowaną bywa. Niekiedy można widzieć już dorosłą kukułkę, siedzącą na gałęzi, żywioną przez drobne ptastwo, oczywiście nie przez opiekunów, gdyż różne ptaki przynosiły żywność. Czyniły to z takim pośpiechem, iż się wydawało, że się chcą pozbyć natręta jaknajprędzej. Niektóre parki śpiewaków, zobaczywszy wyklutą brzydotę, porzucają gniazdo wraz ze swemi pisklętami. Widzieć to można u pliszek i pokrzywek; zawsze to za wyjątkowe zdarzenie uważać należy. Jednak rzadko kiedy parka opiekunów własne pisklęta wyżywić zdoła, nawet jedno wychowane za wyjątek uważać można. Wcześniej, czy później, kukułka zdusi i wyrzuci swe przybrane rodzeństwo.

Nie jest to wcale przesadzony przykład, że jedna kukułka, w długim dniu, pożera 168 gąsiennic. Sto kukułek zatem pożerałoby dziennie 16,800, przypuściwszy w tej ilości połowę gąsiennic wydających émy, samice, z których, co najmniej, każda po 500 jaj znosi, więc sto tych ptaków wstrzymałoby wyklucie 2,440,000 gąsiennic. Cyfra to przestraszająca a dostateczna do

zniszczenia znacznych lasów. U nas jeszcze ostrożna kukułka nie często się na rozeń dostaje, lecz w innych krajach bywa mocno tępioną. Francuzi i Włosi bezmyślnie niszczą kukułki, a wraz z nimi powabnego stróża swych lasów.

Jeżeli kukułka, swym dziwnym zwyczajem podrzucania jaj, zaciekawiała ornitologów, to dla myśliwych istniał ptak inny, z wielce arystokratycznego bekasiego rodu, który tajemniczym życiem i równie tajemniczym ciągiem o zmierzchu, wzbudzał badawcze instynkta. Tym ptakiem była słomka, czyli, używając pisowni Wodzickiego, słonka, zajmująca w hierarchii sztuk zwierzyny wysokie stanowisko i w jesieni późnej witana na stole przez znawców i smakoszków z niekłamanem zadowoleniem. Wodzicki poświęcił słonce dość obszerną monografię, która nie ukazała się, o ile mi wiadomo, w odbitce, lecz wydrukowaną została w „Łowcu“ w r. 1886.

Słonka jest wielkości kuropatwy, wydaje się jednak o wiele większą z powodu długości lotek, które ogona nie przykrywają. Do nas przylatują wyjątkowo małe słonki, ledwie nieco większe od dubelta, częściej na wiosnę, niż w jesieni. Są one znane i w Niemczech, z ubarwieniem, podobnem do naszych i ciemniejszego upierzenia. Nikt

nie może oznaczyć stanowczo i nieomylnie płci u słonki. Autorowie i myśliwi twierdzą, że u samicy krawędź skrzydła, jakoteż spód ciała o wiele jaśniejsze, są to jednak oznaki niepewne i niedostatecznie określone. Samice są niewątpliwie o wiele większe i nieco rdzawsze; niekiedy, lecąc pod promieniami słońca, przedstawiają koloryt pierza złoto-rdzawawy; rozmiary słonki mogą nas wszakże, po dokonaniem porównaniu i zestawieniu, pouczyć.

Słonka, nibyto ciężki, niezgrabny i ospały ptak, nadęty, z napuszczonem pierzem, ze zgiętymi w kolanach nogami, nakształt kaczki, brzuchem niemal ziemię ociera, z pierśią zawsze wypiętą, przytem długi, karykaturalny dziób, pionowo ku ziemi spuszczoney, przedstawia pocieszny widok. Jednak, przy najmniejszym alarmie, staje się słonka wysmukłą, stwarza sobie wysokie nogi, głowę podnosi, chyżo się rusza, błyszczącemi, czarnemi oczkami, jak koralami, zerka na wszystkie strony, dziwnie się przeistacza. Mało jest ptaków, poświęcających drzemce tyle godzin, co słonka, czasem z przymkniętymi oczami, lub z głową ukrytą pod skrzydłem. Nieraz przed wyżłem dziwiło Wodzickiego dosiadywanie słonki, tymczasem, podszedłszy z boku, przekonywał się o jej drzemaniu.

Słonki latają nietylko za żerem, lot wieczorny i poranny jest dla nich potrzebą, więc lecą w pole, powracają do krzaków, okrążają lasy, wznoszą się po nad drzewa, to znowu szyją po liniach i drogach, lub, chrapnawszy kilka razy, kołyszą się w powietrzu, w końcu, wachlując skrzydłami, wolno się posuwają naprzód. Noc ciemna i wschodzące słońce, to dla słonek capstrzyk, po którym już nie wolno bujać w powietrzu. Jasnych miejsc, pól i światła słonecznego lękają się i trzeba kilkakrotnie płoszyć słonkę, aby ją zmusić do wylotu na czyste pole, a przytem straszliwie się boi pierzastych drapieżników, na widok ich, jak piłka, pada na ziemię i pozostaje na niej nieruchoma. Nie dzieńje nigdy w trawach lub na mchach zielonych, lecz trzyma się wyłącznie pokładu zgniłych liści. Gdy dla żeru wbiegnie w miejsce, na którym staje się widoczną, to przy najmniejszym alarmie ucieka.

Słonka wcale nie jest towarzyską, widocznie rozmiłowana w samotności; rzadko zdarzy się znaleźć kilka w stadku, najczęściej lata i żeruje pojedynczo, nie troszcząc się o towarzyski. Trudno zgadnąć, w jaki sposób gromadzą się do wędrówki, czy na upatrzonych stacyach się zbierają, czy chrapaniem się zwołują, badanie jednak udowo-

dnio, że na wschodzie i południu znaczne-
mi stadami zapadają. Z powrotem ciąg ma-
ją odmienny; najpierwej zjawiają się poje-
dyncze, są to awangardy, wysyłane na re-
konesans, później nadlatują sparowane już,
a tylko wyjątkowo stadkami. Nawet w wo-
dzie i na brzegu tokują słonki, rozkładając
ogony w wachlarze, biegając w koło, dziob-
biąc się, podskakując, a niekiedy walcząc
zawzięcie, do czego wszakże nie mają od-
powiedniej broni, dziób bowiem elastyczny
dokuczyć nie zdoła. W powietrzu zaś tyl-
ko świszczą i chrapią, przy kąpielach i za-
lotach nie wydają żadnego głosu.

Ptasi filantropi, broniący nam strzelania
do słonek na wiosnę, nie znają miryadowej
ilości wywodzących się tych ptaków w Eu-
ropie, dopiero na ciągu jesiennym zastana-
wiają rezultaty, wykazywane z różnych
krajów. W wędrówce też słonek tkwi nie-
odgadniona tajemnica, jakżeż bowiem uspra-
wiedliwić pojawienie się kilkuset ptaków,
nie podróżujących gromadnie w czasie je-
dnej, krótkiej nocy? Przeważnie część sło-
nek wędruje do Azji i Afryki, podczas łag-
odnych jednak zim, przebywa w wielkich
ilościach w prowincjach naddunajskich, na
Pontyńskich bagnach, na wyspach Śródzie-
mnego morza, często w Dalmacyi i Illyryi.
Widywano także w Niemczech, we Francyi

i Anglii zimujące słonki. Słonki na wyspach straszliwą płacą dziesięcinę ludziom, którzy wystudyowali przyloty i odloty, a przede wszystkim zwyczaje ptaków.

Lęg słonki łatwy do badania, miejsce zdradza ciągnący samiec, a ptaki gnieźdzące się pozostają na miejscu, mimo kilkakrotnego ich płoszenia. Ulubione ich zaciszą są w parowach, na ich ścianach i przy źródłiskach; często w jednej takiej dobrze znaleźć można kilka gnieźdzących się par. Niewybredną jest wcale słonka w wyborze miejsca lęgowego i uścielenia gniazda, widocznie pośpiech zmusza ją do znoszenia jaj w ladajakim dołeczku, przykrytym kilkoma suchemi korzonkami lub źdźbłami trawek. Samica wysiaduje nader pilnie jają, można też przypuszczać, że samiec ją żywi; nie słyszał bowiem Wodzicki, iżby kto znalazł gniazdo z jajami bez matki. Nie opuszcza go ona przez 15—18 dni, gdy więc za żerem nie wybiega, musi być karmiona. Po tym czasie wykluwają się istne potworki i ledwie osuszone już z gniazda wyłażą i włóczą się po krzakach. Pocięzne to figurki, owe malutkie słonki, a już w tym wieku są rozzumnemi ptaszynami. Gdy rodzice chrypliwie nakażą ostrożność, piskłeta warują na liściach nieruchomie i żadne oko ludzkie ich nie wykryje. Czy

młode słonki szukają także kąpieli, dociec trudno; płoszyć je można najczęściej na suchych miejscach, lecz, co trudne do uwierzenia, a co Wodzicki widział na własne oczy, kąpią się chętnie, jak wróble, w startej ziemi, czyli kurzu. Ufając podobieństwu koloru pierza do otoczenia, siedzą samice twardo na jajach i stają się nader często ofiarami lisów, kur, tchórzów i większych sów. Zmysłne wiewiórki, łasice, sójki, sroki polują przeważnie na jaja, niejedno przeto zniesienie bywa spożytem w jajecznicy.

Niemcy swą niezrównaną cierpliwością i wytrwałością oswajali słonki i wychowywali młode poczwarkami mrówek, zwanemi mrówczemi jajami, glistami żywemi, później siekanemi z przymieszką bułki maczanej w mleku; po kilku miesiącach jadły samą bułkę lub zmieszaną z drobno siekanem mięsem. Samce ku wiosnie tokowały, rozkładając w wachlarz ogony, wzdymały pierze i spuszczone lotkami pruły ziemię. Na miękkiej ziemi w ogrodzie grzebały dziobem, co dowodzi, że tym sposobem żywią się na wolności. Poznają swego pana i, jak twierdzą niemcy, przywiązanie swe okazują, a pociesznemi i karykaturalnemi ruchami bawią i rozweselają. Słonka nie lubi i nie znosi ciepła; pocieszną przedstawia postać przy wyższej temperaturze. Le-

ży na brzuchu, z obwisłymi skrzydłami, koniec dzioba nieco otworzony i do góry zagięty, widocznie z trudnością oddycha. Taka słonka siedzi twardo i nogą ją niemal ruszyć można w południowych godzinach. Ten wstręt do ciepła wyjaśnia nam pobyt słonek w górach i w północnych krajach, a myśliwych uczy, aby ich szukali na wiosnę na stokach południowych i wschodnich, gdyż tam znajdują najwcześniejszy żer w jesieni, zaś na północnych i zachodnich z cieniem i chłodem. Mają słonki swe ulubione miejscowości z powodów nieodgadnionych, bo tam ani więcej żeru, ani wody nie ma, niż w innych, a jednak corocznie tam zapadają. Zwykle jednak lasy mieszane, lub liściaste ze spadkami lub źródłiskami, są ulubionem miejscem ich pobytu, szczególnie, gdy przez lato było po nich chodziło; w odpadkach bowiem zwierzęcych znajdują się drobne żuki i tychże larwy.

Gdy inne ptaki, przed połknięciem, patrzą na jakość pożywienia, słonka, ufając swemu czułemu i giętkiemu dzióbowi, połyka owady, nie widząc ich. Dziurawiąc zgniłe liście, czasem jeden lub dwa pozostawia na dziobie przy osadzie i wtedy przedstawia się ptak w monstualnych kształtach, liście te usuwa z wielką tru-

dnością nogami lub dziobem, ocierając o gałązki. Głębiej utkwione glisty wydobywa z wysileniem, wtedy się nogami zapiera, ciało w tył chyli i wydobywszy, pożera. Przewracając liście, szuka także drobnych ślimaczków do nich przyklepionych i połyka je wraz ze skorupą. W głodzie, zmuszona, zjada zeschnięte i obumarłe drobne żuki, czasem znowu szuka pożywienia na spróchniałych pniach, rozdrapując pazurami i rozrzucając dziobem trociny, aby się dostać do larw owadów. Zdawałoby się, że mrowiska dają najobfitsze słońkom pożywienie, doświadczenie jednak uczy, że go nie szukają nigdy na mrowisku. Czy ruchliwość mrowiska je straszy, czy też lękają się dokuczliwego kęsania mrówki, odgadnąć trudno, zdaje się wszakże prawdopodobnem, że larw mrówczych nie spożywają.

Polowanie na słonki jest, zdaniem Wodzickiego, wzruszające, dziwnie elektryzujące cały organizm myśliwego. Każde zaś jest odmienne i zabawne. Głównie jednak ciąg przy wschodzie i zachodzie słońca, na wiosnę, otoczony jest urokiem, poruszającym wszystkie nerwy. Zdaniem naszego Nemroda, to prawdziwa poezya życia, którą pochłaniamy w głębi duszy. „Ów chóral ptactwa, ów obraz zwierzostanu, kadzidło przyrody, szmer zachwycający, upajające balsa-

miczne powietrze, wynurzające się tajemnicze, nasuwające się zagadki, wszystko to elektryzuje, podnosi umysł ku wyższym sferom, w głębi serca odżywia gorący promień piękna i życia. Fletowemi tonami obudzają kos i drozd naszą uwagę; raszka pieśzcotliwym, cichym, fagotowym śpiewem nuci swą dziecienną modlitwę; płochacz, zwiastun ciągu słońek, posuwający się wśród drobnych gałązek, wydaje głos, niedający się ująć w pewną melodyę, bo on w nieustannym ruchu, niezdolny skryzalizować jej; ale cenny to ptak, bo zdradza jawienie się oczekiwanych długodziobów. Wzrusza nas beczący rogacz, ocierający przestarzały mech z rogów; gniewa się na krzaki i bodzie jakby wrogów swoich; niekiedy słyhać piskliwe szczeknięcie liszki, przywołującej swe dzieci; szczekanie lisa w pogoni za sarniátkiem lub zającem; szmer kłębiących się owadów; kwakanie ciągnących kaczek i gwizdanie długonogich brodzieców, a wszystkie te głosy odzywają się przy akompaniamencie śpiewu wielu gatunków drozdów. Marzenie owłada umysł, dusza w zachwycie, krew czyściej krąży, przeistacza się człowiek w zwątpieniu, ażali to rzeczywistość, czy sen uroczy. Wtem, jakby z pod ziemi jawi się słonka tajemniczo na szarem tle i t. d.“

Ostatnim z podróżnych ptaków, odtworzonych przez Wodzickiego, jest powszechnie znany i lubiony śpiewak pracowników gleby—skowronek-rolnik. Mieszanina rudawizny z szarym kolorem tworzą miłą oku pstrokaciznę, tak podobną do bryłki ziemi, że trudno od niej skowronka odróżnić, nawet na kilka cali odległości—i ten kolor zabezpiecza go od licznych wrogów. U nas wytrzymuje skowronek jesienne słoły, przymrozki i polskie zmiany klimatyczne; dopiero gdy śniegi przykryją ziemię, lub mrozy poczynają dokuczać, opuszcza letnią ojczyznę. Ciąg skowronków niepodobny jest do innych ptaków. Ptaki te wypychają się ku wschodowi stadami, posuwając się za ledwie o kilka mil. To luzowanie się stad na oznaczonych stacyach, obfitych w pożywienie, odbywa się corocznie i systematycznie. Istne armie z etapami, uregulowanemi do tego stopnia, że wyjątkowo ptaki na jednym miejscu bawią dłużej, jak dobę. Różnią się od innych ptaków wędrówką w dzień, wabiąc wdzięcznie w locie; wysokość zależy od wiatru i powietrza; wyjątkowo w nocy wędrują przy świetle księżyca i to wtedy, gdy zamrożona ziemia i mroźne powietrze pędzi spóźnionych.

W owym obranym, nader ciasnym rewirze, nie zniesie skowronek drugiego, bije

się i walczy, dopóki natrętnego przybysza nie wypędzi. Jeszcze słońce nie zeszło, on już śpiewa; zasłona spada na przyrodę, on nuci, a na wszystko ma czas i zdawałoby się, że dla niego dzień nigdy nie jest za długi. W pożywieniu odrębne zwyczaje stosuje do pory roku, znosi wesoło przednówek i głód, lecz przysmaczki umie cenić. Na wiosnę, gdy świat owadów pogrążony w śnie letargowym, lub też jeszcze nie wykluty, skowronek zmuszony jest urywać końcówki wstążeczek ozimin i trawek. Niebawem jednak mnożą się nowalie i ptaszyna rozkoszuje się w pożywaniu muszek, czołgających robaczków i żuków; goni je i podskakuje na ziemi z wielką zręcznością. Zabawny jest skowronek jako kucharz, przyrządzający jadło. Nie znosi bowiem skrzydeł twardołuśkich żuków, więc je zabija, łapie w dziób i niemi o ziemię tłucze, dopóki skrzydła nie odpadną. Zawzięty jest na koniki polne, te drobne skoczki; one są jego ulubionym przysmaczkiem, wszakże bez długich i twardych nóg, więc z niemi postępuje w ten sam sposób, jak z żukami. Ziarnka zboża spożywa wszelkiego gatunku, wszakże owies ma pierwszeństwo, który z podziwienia godną zręcznością z plewy ogałaca; bardzo ceni rzepak, mak i inne tłuste nasiona.

Przylatuje do nas skowronek w końcu lutego, wyjątkowo w drugiej połowie marca, przy spóźnionych wiosnach, w dużych stadach. Odlot następuje w pierwszej lub drugiej połowie października, podług temperatury; pojedyncze leniuchy zostają dłużej. W łagodnych zimach pozostają w Księstwie Poznańskim i Bawaryi. Podług opisów, zimują w Węgrzech i naddunajskich prowincjach. Skowronek, uposażony nadzwyczajnymi narzędziami lotu, widocznie podróżuje bez wysilenia, zwłaszcza, że wszędzie łatwo znajduje pożywienie. Gniazdo skowronka, ledwie że splecione kilkoma sznurkami perzu i ździebłami roślin, barwy zastosowanej do gruntu, na którym ułożone bywa. Kolor jajek równie niepewny i kryjący je przed drapieżnymi wrogami, szary z odcieniami żółtawymi i marmurowanymi, ciemniejszymi plamkami.

Samiczka siedzi twardo na jajach; niekiedy na parę stóp zbliżyć się można, zanim zeskoczy, odbiegnie i ciężkim lotem odleci. Ona sama, bez udziału samczyka, wysiaduje jajka w 14-tu dniach, z pilnością i zaparciem siebie tak wielkiem, że stężeje na gnieździe z powodu tak długiej nieruchomości, traci pierze na brzuszku i jest obrazem wysilonej położnicy. Skowronczęta, z mchem na głowach, z krótkimi ogon-

kami i skrzydełkami, już wyłazą z gniazda, czy dobrowolnie, czy wypędzane przez rodziców – tego odgadnąć trudno, lecz wyłazą z mozołem. Każde umieszcza się po zbożach i trawach, piszcząc żałośnie za pożywieniem. Wszakże czuła para opiekuńcza nie zapomina o rozrzuconej dziatwie po łąkach, wie, gdzie która dziecięca siedzi, więc systematycznie je obdziela pożywieniem, uczy chodzić, szukać robaczków, wyciągać skrzydełka, podnosić się do lotu i żyć samostannie.

Zabawne są kąpiele w kurzu skowronków, które do higieny należą; ostremi pazurkami drapią ziemię i mielą bryłeczki, gdy się już utworzy kupka pyłu, siada w nim skowronek, przytula brzusek, trzepie skrzydełkami, drapie palcami i tarza się – z daleka widzieć można kolumnę kurzu, unoszonego powiewem powietrza. Skowronek przytem nie lubi wilgoci, stroni od wody i smutny nader w czasie słoty; krople rosy rannej i wieczornej gaszą mu pragnienie, a soczyste robaczki zastępują napój. Pożałowania jest godna położnica w czasie deszczu, siedząc bez nakrycia, wystawiona na zmoczenie i na zalanie zniesienia; robaczki się pochowały, trudno o pożywienie, zimno i mokro na gnieździe, a samczyk, zasepiony, nie śpiewa, nie odbywa swych zręcznych powietrznych ewolucyj,

ledwie że niekiedy zawabi i poskarży się na wspólne nawiedzenie. Czasami skowronek dobiera sobie oryginalne miejsce na gniazdo. Budnik przy kolei północnej w Austrii, odkrył pewnego razu gniazdo z czterema jajami, umieszczone pod szyną kolei i często widywał samiczkę, siedzącą pilnie na jajach i nieruszającą się w czasie pogoni pociągów, których liczba na dobę dochodziła do 40.

By pojąć płodność skowronkowej i łatwość mnożenia się tych ptaków, trzeba mieć przed oczami miliony łowionych skowronków w Niemczech, strzelanych we Francyi, duszonych i tłuszczem zalewanych we Włoszech; te krocie jaj i piskląt zniszczonych pługłem i bronami, przez drapieżców lotnych i czworonożnych, a dopiero obrachowawszy stracone w prześladowaniu i policzywszy mnóstwo latających śpiewaków, przyznamy, że skowronek stoi pod wyższą opieką, niż inne ptaki. Dodać jeszcze należy, że w Niemczech łowią skowronki w dzień i w nocy, krociami, bez przeszkody, przytem łowią na lep i różne siatki, oraz na wabie; lecz zbrodniczy jest ich sposób łowienia samców na wiosnę, które najlepiej śpiewają, oczywiście od jaj i młodych, z których połowa z tęsknoty ginie.

Zestawiłem rozmyślnie w jednym szeregu

pięć monografij ptaków podróżnych, gdyż zbadanie zwyczajów i uzdolnień naszych letnich gości jest o wiele trudniejsze, niż wystudyowanie tych ptaków, które w terminologii myśliwskiej zwane są stałemi. Przedewszystkiem zaciekawiającemi są ich tajemnicze podróże i ów dziwny zmysł przewidywania fenomenów natury, nad czem już zastanawiali się pisarze starożytni ⁴⁸⁾, dociekając z równą skwapliwością, jak Wodzicki, dokąd się jaskółki udają na zimę. Instynkt wróżbiarski ptaków podróżnych spożytkowuje często rolnik, rybołówca lub żeglarz, gdy mu chodzi o przewidzenie zmian klimatycznych. Z pojawienia się pewnych ptaków na zimę lud zwykł wnosić, iż mrozy będą silne i długotrwałe, pojawienie się innych wcześniej na wiosnę znamionować ma zbliżające się ciepła. Tak np. pojawienie się orła rybołowa uważają mieszkańcy nad brzegami rzek północnych za najstosowniejszą porę do rozpoczęcia rybołówstwa, a śpiew kozodoja (*Caprimulgus carolinensis*) przypomina rolnikom, iż nadeszła dogodna pora rozpoczęcia siewów ⁴⁹⁾.

⁴⁸⁾ Serres: „Des causes des migrations des divers animaux“, str. 98.

⁴⁹⁾ Serres: „Des causes des divers migrations“, str. 124.

Łatwo sobie wyobrazić w jaką szatę legend i przesądów przyodziały wierzenia ludowe każdego z owych ptaków podróżnych. Począwszy od powszechnej anegdoty, iż derkacz przewodniczy w podróży przepiórkom, dzięki czemu, dostała mu się nawet nazwa niemiecka i francuska („Wachtelkönig“, „roi des cailles“), a skończywszy na podaniu o śnie zimowym jaskółek w wodzie, wytworzyła wyobraźnia ludowa całe szeregi, niekiedy bardzo dziwaczných baśni i przeistoczyła ptaka podróżnego w jakąś cudotwórczą postać. Przedewszystkiem zaś przypisywano skrzydlatym podróżnikom zmysł odgadywania usposobień człowieka i przewidywania ważnych zdarzeń w jego życiu. Gniazdo jaskółcze, przyklepione do strzechy, jak to Szekspirowski Makbet świadczy, oznaczało spokój domu i poczciwość jego mieszkańców. Starodawni zaś germanowie wierzyli święcie, że gdy bocian wyniósł pisklę z gniazda, umieszczonego w twierdzy, poddanie się obleżonych było bliskie i nieuchronne ⁵⁰). Nie zawsze tylko wędrowny ptak przeistoczony bywał w półbohatera-wróżbitę; dla wojsk zjawienie się orła bywało przepowiednią zwycięstwa. Gdy w r. 1782 Gibraltar obleżony był od lądu

⁵⁰) Freytag: „Aus dem Mittelalter“ T. I. S. 192.

wielką i doborową armią, a od morza pływające baterye d'Arçona miały zadać twierdzy cios ostateczny, nad skałą pławiał się orzeł i siadł na proporcu sygnałowym, umieszczonym na szczycie skalnej twierdzy. Anglicy, ujrzawszy orła, odpoczywającego na ich знамениu bojowem, pewni byli zwycięstwa i nie wątpili o niem ani na chwilę ⁵¹⁾.

Głównie jednak wędrowne ptaki oddziaływały na wyobraźnię ludów tajemniczością i niezwykłością swych przyzwyczajzeń. Jakżeż zaś nie miały wywierać niezwykłego wpływu, gdy uczeni badacze natury i wykształceni myśliwi zdumieni bywali przedziwnym instynktem lub oryginalnością przyzwyczajzeń owych podróżników. Każdy prawie z tych skrzydlatych tułaczy miał odrębny sposób odbywania dalekich wędrówek. Jedne, urągając prądom powietrznym, przesywały kluczem przestworza i nie obawiały się ciągnąć pod wiatr; inne niżej, nieprawidłowemi sznurami i tylko z wiatrem ośmielały się wzbijać do lotu, a drobniejsze ptastwo, nieobdarzone silnemi lotkami, ciągnęło zwykle nisko nad ziemią, osłaniając się dla bezpieczeństwa mrokiem nocnym i pomagając sobie, w razie znuże-

⁵¹⁾ Lecky: „Geschichte Englands“. T. IV. S. 259.

nia, spacerem lądowym lub wodnym. Często niepodobna prawie zrozumieć, w jaki sposób drobny ptak, o słabym locie, może odbywać dalekie wędrówki i przeprowiać się przez morze. Pod tym względem zaś, najciekawszy przykład przedstawia przepiórka. Dotychczas też odlot i przylot wędrownych ptaków, oraz sposób odbywania podróży, przedstawia dla badaczy natury nieprzeparty urok, a przedmiot to przez ornitologów i myśliwych niewyczerpany bynajmniej i każda chwila może nam przynieść nowe odkrycie.

Przed sześcioma, czy siedmioma laty, przypominam sobie w felietonie „Gazety Kolońskiej” spostrzeżenie ciekawe poważnego przyrodnika i podróżnika, dotyczące wędrówek żórawi. Zauważono np., że na grzbiecie żórawi, za ich naturalnie najwyższą zgodą, odbywają podróż drobne ptaszyny, które, wywzajemniając się swym dobrodziejom za bezpłatny przejazd, oczyszczają im pierze z owadów. Gdy żórawie odpoczywają, wówczas sublokatorzy szukają w pobliżu pożywienia, ale znajdują wybornie tajemnicze sygnałowe swej władzy i nie spóźnią się nigdy na pociąg. Wielu sekretów komunikacyjnych nie zdołali badacze przyrody, pomimo usilnych dociekań, odkryć i dlatego to plan podróży, nietylko dla myśliwe-

go, ale i dla fachowego ornitologa, stanowi prawie nigdy niewyczerpany przedmiot badania i studyów.

Owych pięciu skrzydlatych podróżników odtworzył Wodzicki z tym wytwornym zmysłem myśliwskim, jaki go nigdy nie opuszczał. Żadna troska w głodowej epoce, a następnie w gorączkowych zajęciach rodzicielskich, żadna rozkosz pożycia małżeńskiego, lub upajanie się wybuchami maurytańsko-kukułczej krwi, nie pozostało mu obcem, a jakie subtelne odcienia w postaciach i charakterach tych ptaków przechował nam w „Zapiskach“. Dopiero, gdy wędrowcy opuścili naszą ziemię, Wodzicki mniej zajmuje się ich tułaczą dolą i znowu wita ich powrót skupioną uwagą i niestrużonem podpatrywaniem, aby nam opowiedzieć ich etyczne poglądy na rodzinę, a ekonomiczne na założenie nowego gospodarstwa.

„Zapiski ornitologiczne“ zawierają prócz tego pięć monografij ptaków stałych, które, co najwyżej, mogą być zaliczone do kategorii błędzących. Nasamprzód zajmę się kuropatwą, która należy niewątpliwie do ptaków najlepiej zbadanych i cenionych przez naszych myśliwych. Kuropatwa, jak twierdzi nasz Nemrod, przebiedowawszy twardą zimę, już w miesiącu lutym czuje niepokoje

serca, ruch wyobraźni, przeczuwa zmiany nastąpić mające, lustruje swój strój, przygląda się szatom towarzyszek i spostrzega, że to już szaty godowe, według twierdzenia doświadczonych rodziców, już oddawna połączonych nierozdzielny węzeł. Gdy nareszcie miłosierne słońce obudziło świat roślinny, wabi głośno stary kohot, kurka o ton niżej, ptaszęta gromadzą się koło patriarchy rodu i słuchają rad i pożegnalnych słów. Dramatyczne chwile przepędzać muszą młode kurki w obecności rodziców, nie mogąc zdradzić uczuć, ani też upatrzonemu kohotowi dać poznać nawet swej sympatii. Biją się bracia, a one, jak na teatrze hiszpańskim, przypatrywać się muszą i bez oporu przyjąć na małżonka zwyciężcę.

Po opuszczeniu dzieci przez rodziców, zrywają się pobrane parki i każda leci w swoją stronę, pozostają jedynie pobite, smutne kohoty, pełne zawiści i pożalowania godne. I one nareszcie w locie szukają ratunku, szybując w dalekie strony. Kuropatwa, przy pierwszym zniesieniu, nie żałuje sobie rozkoszy małżeńskich, myśl jej nie sięga ku przyszłości, nie obejmuje skutków swej płodności, nie liczy się z obowiązkami, czekającymi na znużoną ptaszynę. Posłuszna samkowi, nie broniąca się

nigdy, na podobieństwo naszej domowej kury, znosi obowiązkowo codzien swe jajko z własnym zadowoleniem. W gnieździe jajka umiejętnie układa, jedno ku drugiemu spycha, aby jedynie środek zajmowały, próbuje na nich siadać, poprawia je, umieszcza się znowu z przeciwnej strony i znowu dawną pozycję zajmuje, rozpościera skrzydła, pierze napusza, nareszcie sobą całe zniesienie nakrywa.

Wysiedzenie zależy od stopnia temperatury; gdy ciepło, już 14 — 16 dnia wykluwają się pisklęta pierwsze; najczęściej po trzech tygodniach jest zniesienie wysiedziane. Starsze pisklęta ruchami niespokojnymi dobitnie dowodzą, że im już oprócz ciepła czegoś więcej potrzeba, mianowicie pożywienia, zaś jaja, już na wysiedzeniu będące, ani chwili bez ogrzania pozostawać nie mogą. Niejedna matka w tych komplikacjach straciłaby głowę, kuropatwa zaś wypuszcza starsze pisklęta z pod skrzydeł, woła głośnem wabieniem kohota i jemu dziatwę powierza, a sama znowu siada na gniazdo i wygrzewa swe benjaminki. Zwyczajnie owe benjaminki stają się utrapieniem matki, bo to później ani daleko polecieć, ani pobiegnać nie mogą, ustawicznie kwilą i tulą się pod matkę, co oczywiście ojca i starszych wielce niecierpliwi, gdyż to wy-

twarza wielkie trudności zabezpieczenia żeru i w ogóle bezpieczeństwa. Niekiedy wypada zmienić pole, schronić się do oddalonych krzaków, a tu drobiazg nadażyć nie może. Wtedy to matka podziwienia godna, młódzież chroni, karmi, prowadzi, niecierpliwość uśmierza, aż nareszcie swe benjaminski wychowa na doskonałe ptaki.

Rodzice mają krocie wybiegów i środków pełnych przezorności i zręczności, aby ślad stada zatracić. I tak: przeświadczone o niebezpieczeństwie, szybują szybkim lotem w jedną stronę, siadają na widnokregu, niebawem się zrywają i ponad ziemią lecą w przeciwną stronę i dopiero siadają, gdy mają przekonanie o zupełnem bezpieczeństwie, lub też ulatują daleko, siadają i co które może wyciągnąć nożęta, piechotą uciekają, przebywając przestrzenie kilku tysięcy kroków. Według danego przez rodziców hasła, kuropatwy warują lub ciekną—zależy to od miejscowości; częstokroć zapadną niedaleko, biegną do kryjówek i tam dopiero przycupną. Stare, doświadczone ptaki tak piechotą uciekają szybko, że pies szybkim truchtem nawet nie zdoła się do nich zbliżyć; one, oddaliwszy się na bezpieczny dystans, lotem zabezpieczają ucieczkę.

W każdym stadzie, przy wschodzie słońca, słyszymy zwykle trzy wabienia: pier-

wsze gromadzi rozpięzchnione, żerujące ptaki, powtórne zwołuje oddalonych, a trzecie jest sygnałem do odlotu, gdy cała rodzina w gromadzie czeka rozkazów. Taktyka kuropatw przed jastrzębiem lub sokołem jest różna, według okoliczności. Znają rodzice świsł jego lotu, złowrogie kołysanie się pod obłokami; rodzice mają baczne oko na wszystkie strony, a instynkt matki wywołuje dobroczynne przeczucia. Ratunek zależy od gatunku i stopnia niebezpieczeństwa; jeżeli groźne i natychmiastowe, wtedy na rozkaz wszystkie warują z główką schowaną, udają bryłki; jeżeli jeszcze wróg da chwileczkę pochwycić, wtedy biegną pod miedzę, na rolę, pod bryły lub pod cień roślin, gdy zaś niebezpieczeństwo dozwala w locie szukać ratunku, wtedy z pewnością zrywają się i szyją pędem do zarośli, niewyżętego zboża, łąnów kartofli, szuwarów i t. d., a doleciawszy do swego asyłu, osiadają i kamieniem leżą.

Kura, w swem poświęceniu nieporównanem, częstokroć wyjątkowo bez pomocy kohota wysiaduje i wychowuje dziatwę. Dawna przeto metoda strzelców niemieckich odbijania kohotów, nawet w lutym i marcu, jest niebezpieczną i szkodliwą. Kurka bowiem, po utracie kohota, tak dalece tęskni, że żadnej konkurencyi nie dopuści

i w tym lecie znosić już nie będzie. Najpierwsze i najwcześniejsze kuropatwy wychowują się w krzakach i w zaroślach; te bywają już na Ś-ty Bartłomiej farbówkami, zadanie więc najważniejsze chować je koło cierni i zarośli, a w braku takowych, sztuczne im gąszcze potworzyć sadzeniem. Po drapieżnym człowieku największe szkody wyrządzają kuropatwom ulewy, zatapiając jaja i pisklęta. Gniazdo bowiem i młode nielatające pozostają na ziemi i mimo wszelkiej zabiegliwości rodziców, prowadzących dziatwę na pagórkowate miejsca, słońce je dziesiątkuje.

Gdy ptaki młode wyrosły i podkowami, czyli tarczami, ozdobione zostały, dzielają obowiązki rodziców, chodzą na warty i pilnują obozu, stają się z każdym tygodniem ostrożniejsze, a oparte na doświadczeniu, wiedzą, że są jedynie silne i bezpieczne, gdy pozostają razem w zwartej rodzinie. Zdarza się często, że ciągnące stado, upatrzwszy siedzące kuropatwy, do nich się spuszcza, wtedy, w jednej chwili, ptaki się szykują do boju, czekając wyniku działania parlamentarzysty i albo się łączą w całość, lub, w razie nieprzyjęcia do rodziny nowo przybyłych, biją się, jak koguty, do upadłego. Na równinach zwykle zimują na miejscu, t. j. w tejże samej okoli-

cy wylęgnięte stada; przeciwnie, z gór wysokich i zimnych, wystawionych na wiatry i zimne zawieje, kuropatwy migrują, czyli posuwają się do tej granicy, na której napotykają żer i schronienie. Te wędrówki i migracye kuropatw są nader ciekawe do badania i jeszcze tajemnicą osłonięte. Nikt z myśliwych i ornitologów z pewnością twierdzić nie może, z jakich okolic przybywają, dokąd lecą i w jakim miejscu resztę zimy przepędzają.

Kuropatwa, jest to polny ptak, jak skowronek i dlatego możnaby ją nazwać rolniczką. Zamieszkuje zbożowe okolice, woli lekki grunt, niż twardy czarnoziem, gdyż jej łatwiej grzebać za robakami; najliczniej się mnoży w piaszczystych okolicach, zbożem uprawionych. Jej ulubione przestrzenie są na płaszczyźnie zbożowej, przegradzanej łączkami suchymi i zaroślami, gdyż mokrego położenia nie lubi i wzdryga się na samą myśl siania gniazda na wilgotnej ziemi. W polu, na wiosnę, zamieszkuje kuropatwa żyta, później rzepak, lucerny i koniczyzny; gdy pszenica podrośnie, tam biegnie i już pozostaje do żniwa. Jeżeli zamieszkuje łąny jarzynem zbożem zasiane, to z pewnością twierdzić można, że obfitują w robactwo. Kartofli zwykle unikają, a jeżeli je tam spotykamy, to siedzą dla

bezpieczeństwa, a nie dla zera. Kuropatwa ziarno więcej z potrzeby, niż z łakomstwa, pożera i jak długo może znaleźć dla dzieci mrowiska, w których grzebie jajka oraz liszki mrówek, drobne ślimaczki i koniki polne, żuki biegające i listkowe, pająki, muchy, ćmy, jednoroczne pędraki, czyli liszki majowych chrząszczy, wreszcie glisty, można być pewnym, że zboża nie ruszy. Bardzo lubi sałatki, trawki i różne rośliny, w których przebiera ze znajomością botaniki, gdy zaś pod jesień owady swe przemiany odbyły, pochowały się głębiej w ziemię, w korze drzew i pniaków spróchniałych, wtedy zmuszona kuropatwa żywi się ziarnem i tu na pierwszym miejscu stoi pszenica.

Od niepamiętnych czasów przechowuje się w naszych krajach tradycya o kuropatwach kamionkach. Dawni myśliwi rozróżniali je od pospolitych, wiele gadek o nich opowiadali i kamionka, jak myt, przechowała się do naszych czasów, wszakże niewidziana, niestrzelana i niezdefiniowana, zupełnie jak żelazny wilk. Wodzicki spotkał jednakże w Poznańskim stado białych zupełnie kuropatw, z dziewięciu ptaków złożone, po szarych rodzicach. Na wiosnę z owego stada cztery, czy nawet sześć ptaków, poszło w pary i rzeczywiście się gnie-

ździły. Jakież było zadziwienie właściciela, gdy białe, już mocno zabrudzone kuropatwy, wychowały szare, a jeszcze większe, gdy i rodzice w pierzeniu powtórnem otrzymali pierwotną barwę pospolitych kuropatw. Przyczyny odmian wyjaśniamy wrażeniami brzeziennych matek i kuropatw na jajach siedzących, niekiedy zaś wyziewami wód mineralnych, wpływami atmosferycznymi i t. d., które bynajmniej rodowi nie szkodzą.

Z ptaków najsrożej prześladuje kuropatwy jastrząb gołębiarz, nazwany nawet kuropatnikiem. W niektórych bowiem okolicach, obfitujących w te smaczne ptaki, on niemal wyłącznie niemi się żywi. W czasie opadania liści i po żniwach w jesieni, gdy o schronienie coraz trudniej, jastrząb, upatrzawszy sobie stado kuropatw, takowego pilnuje, jak własnej trzody; również i w zimie jest on straszliwym ich wrogiem. Można się przekonać, że i na śniegu wybierze wszystkie znajdujące się w stadzie kuropatwy i wtedy dopiero wynosi się w inne strony. Wszystkie trzy gatunki błotniaków (*Circi*) łowią kuropatwy popłoszone i warujące na ziemi, w piskłętach nawet znaczne szkody zrzządzają. Żarłoczne wrony i kruki często-króć złowią młode ptaszęta, a niektórzy autorowie i leśniczowie twierdzą, że nasza

sójka łowi młode kuropatwy, czego jednak Wodzicki sam nie zdołał sprawdzić. Złodziejska sroka również szkody wyrządza, ona wszystko wie, wszystko wyszuka i odkryje, a przytem smakosz niepospolity, więc używa, gdzie może, na jajecznicach i oblanych pisklętach.

Uwagę Wodzickiego zwrócił także nieodłączny towarzysz mieszkań naszych na wsi i w mieście — wróbel domowy (*fringilla domestica*). Podsiadły, z wypiętym brzuszkiem, niebardzo zgrabny, krótkie nogi skakanie mu utrudniają, krótkość lotek nie dozwala szybkiego lotu bez wysilenia, używa też lotu z potrzeby, nigdy nie lata dla rozrywki, jak inni mieszkańcy powietrzni. Chciwy sobek, uosobienie używania rozkoszy, wściubski i natrętny, a płochliwy i ostrożny podług okoliczności, pełen konceptów, umie się stosować do miejscowości, umie z wszystkiego korzystać. Ani czuły, ani melancholiczny, wróblisce przecież za nim przepadają; donosi samicy na jajach siedzącej tyle pożywienia, ile koniecznie potrzeba, aby jaj nie opuściła, lecz nic więcej, bo on bardzo nie lubi zastępować ją w gnieździe, jak to mówią, nie lubi niańczyć. Później pisklętom donosi jadło, najadłszy się sam pierwszej do syta i tu wróblisca więcej troskliwości okazuje. To-

warzyski, wszakże gwaru nie lubi, stary wróbel stroni od hurmy ptaków, wyjątkowo z innymi ptakami obcuje, jeżeli mu to żerowanie ułatwia. Smakosz nieporównany, to Lucullus ptasiego rodu! Jak on sobie zielenizny wcześniej wynajduje, później jagody i owoce, jak umie trafić do składów, magazynów, śpichlerzy i spiżarni, jak się nauczył entomologii i wie dokładnie, gdzie owady znoszą jajka, gdzie pełza gąsienica, w których miejscach się zapoczwarzyła, a zna owady wszelkiego rodzaju, umie je łowić, jak rzeczywisty myśliwiec, potyka się odważnie z wszelkimi żukami, stacza z nimi walkę, rozszarpuje, z wroga wyżera wnętrzności, zostawiając łuski, te zbroje żuków. Dobrze odziany na zimę, wytrzymuje mrozy bez narzekania, wszakże nad wszystko ceni ciepło i miękkie łożo. Delikatnością się brzydzi, zna jednak wartość wygod życia, pojął i umie cenić komfort, ma wolę, rozum i spryt, i na swoją korzyść je obraca.

Są wróble miejskie i wiejskie, każdy zachowuje swe odrębne zwyczaje i wierny im przez całe życie. Ojciec uważa się za stałego mieszkańca, zostaje więc na swoim miejscu, lecz młodzież wygania za szukaniem chleba, nie lubi też rodziny, która się razem ściska, życie i pożywienie utrudnia.

Takie postępowanie nie znamionuje wielkiej czułości rodzicielskiej, ale dowodzi głębokości praktycznego jego rozumu, bo wydając na świat 17 — 20 wróbli corocznie, gdyby tego nie uczynił, chciwa i niedelikatna, a tak liczna rodzina, zatrułaby mu życie, którego tak znakomicie umie używać. Niemal co rok w lutym, marcu zbiera się po kilkanaście wróbli, zasiadają i widocznie radzą. Siedzą z napuszczonem pierzem, ćwierkają ustawicznie i to przez kilka godzin, odpowiadając sobie wzajemnie. Bywa 15—20 samców razem, a rzadko kiedy samiczka do tych wróbli klubów przypuszczoną bywa. Prócz tego rano, po późnem śniadaniu i w wieczór, po zaspokojeniu potrzeb dziennych, zlatuje się kilka wróbli, wabi chrapliwie, przyłącza się do nich niebawem więcej, tworzy się nareszcie hałaśliwa hurma, gwarząca nieustannie między sobą. Przesuwają się pod gałązkami, zbliżają się do siebie, kłóca, biją się i znowu godzą. Zimniejsza dopiero temperatura, lub zmrok, rozpędza gwarne towarzystwo; w innych miejscach klubują do późnej nocy, bo to przecie najważniejsza chwila w roku kojarzenia małżeństw.

Zamiłowanie kąpieli w dniach ciepłych jest właściwe wróblom. Po różnych zajęciach, lecą zwykle kąpać się razem, wła-

żą do wody, kąpią brzuszki, skrzydełkami i dziobem kropią pierze, a napławiwszy się należycie, ulatują z trudnością. Pocieszne i pożałowania godne są ptaszęta po pierwszej kąpieli. Wylazłszy przerażone, omaczane, ze spuszczonej skrzydłami, bolesnym głosem wołają o ratunek, ani się z miejsca ruszają, dygocząc od zimna. Stare już się otrząsły, już pierzem furczą, trzepoczą skrzydłami i zachęcają pisklęta do naśladowania, lecz one pozostają w tejże samej pozycyi, jak gdyby czekały na bonę do ukończenia toalety. Najpospolitsze gniazdo wróbla jest w rynnach i koszach tychże przy dachach. Pojąć nie można, jak przezorny i rozumny, a tak praktyczny ptak, może narażać swą rodzinę na to nieustające niebezpieczeństwo. Przy ulewnym bowiem deszczu, woda zaleje gniazdo, jaja podmoczy, materyały popsuje, kilkakrotne zaś do roku czyszczenie rynien, w których gniazda prąd wody hamują, sprowadza nieochybnie wyrzucenie jaj i piskląt, a przecież po klęsce doznanej, z wysileniem wielkim znowu w tem samym miejscu gniazdo zakłada. Mimowoli nierozsądek ten rozumnego ptaka nasuwa zdrożną myśl, czy przypadkiem tego nie robi, aby po pogrzebie piskląt nie przystąpić jaknajspieszniej do nowego wesela. Wodzicki odsuwa je-

dnak to podejrzenie, rzucające fatalny cień na charakter naszego nieodstępного towarzysza.

Wróbel przemyślny, czasem odważny nad miarę, z dziwnym sprytem rozróżnia miejsca bezpieczne od niebezpiecznych. Zdybujemy też jego zniesienia tam, gdziebyśmy nawet nie śmieli przypuszczać, że wśród zgiełku ludzi i hałasu wychowa pisklęta. Krzaki niskie i ziemia nie odpowiednia dla niego, natomiast opuszczone gniazdo srok, wron i wiewiórek wysoko ceni, nawet drobniejszych ptasząt gniazda przywłaszcza sobie, a czasami siłą, mocą zdobywa. Najwyżej ceni gniazda jaskółcze, chroniące od przeciągów, bo dobrze zamknięte, które sobie podług potrzeby i zachcianki urządza. Ciśnie się do gołębników. Ściele gniazda wśród gałęzi gniazd bocianów, orłów i innych ptaków drapieżnych, we wnętrzach tej znacznej gałęziowej budowy umie kryjówkę bezpieczną wynaleźć. Zabawny jest widok wróbla, gdy wśród orląt i bocianiąt biega, kręci się i szuka, jak gdyby był do biesiady zaproszony; zdarza się wszakże, że życiem łakomstwo przypląci, lub z bolesną raną odejdzie ugodzony dziobem.

Wróbel, mimo swego sprytu, jako budowniczy nie okazuje zdolności, gniazdo jego budowy nieforemne, wiotkie, środek wy-

gniata i próżnię potrzebną tworzy sobą samym, kręcąc się ustawicznie. Najczęściej jest ono wiszące, niedbale wplecione materiały zdradzają gniazdo, są to źdźbła słomy, siana i różne korzonki, spostrzedz je więc bardzo łatwo. W środku pierze być musi, nie gardzi wełną, drobnymi szmateczkami, sierścią, szczeciłą i mchem, to wszystko razem układa, przeplacie i ugniata. Wróbel ani majster, ani budowniczy, a spieszy się w czasie lęgu, więc znosi materiały bezładne i nie może tychże ułożyć, lub wpleść w gniazdo, z tej to przyczyny widzimy wiszące słomy, trawki i długie piórka z gniazd. Najzabawniejszy jest, kiedy wiszące z gniazda pióra lub źdźbła, nieprzystępnego dla niego z krawędzi gniazda, w locie łamie, wrywa i wnosi do środka, widoczni czyni wysilenie, aby oznaki, zdradzające gniazdo, schować.

Samiec żywi i prowadzi głodne wróblątka, zadawalnia wróblęcę, o niej pamięta i donosi pożywienie, kradnąc takowe żarłocznym dzieciom. Łatwo sobie można wyobrazić wysilenia tego męża i ojca, to też dziwić się nie należy, gdy usamowalnia dziatwę z pierwszego łoża, spuszczać się na Opatrzność, niedozwalającą zginać żadnemu żyjątku. Gdziekolwiek człowiek co wybuduje, zaraz wróbel się zjawia, reko-

gnoskuje, z drugimi komisyjonuje kilkakrotnie, a jeżeli budowę uzna za stosowną, zaraz tam młodzież osadza, lub sam się przenosi. Między dobrymi i złymi ludźmi umie stosunek zachować, a jak mu zbyt do kuczają, zawoła szilb, szilb i wędruje dalej, gdzie bezpieczeństwo znajdzie. Ptaki, żyjące w bliskości człowieka, naprzykład drób domowy, przyznają wyższość wróblowi, jego ostrzeżenie jest zawsze słuchanem. Nibyto drzymie, trawiąc mozolnie, napuszy pierze, jak rozczochrany pijak, jego wszakże żywe czarne oczka biegają, jak perpetuum mobile. Każde niebezpieczeństwo spostrzeże i świat o niem ostrzega. Mało który ptak drapieżny poszukuje wróbli, ten ptak bowiem ciężki i ospały z dziwną zręcznością ucieka przed krogulcem, wpada w gęste krzaki, pod strzechę lub w snopki, życie ratując.

W niewoli wróbel niczem jest nie pocieszony, samiczki znać nie chce, je, bo życie konserwować pragnie, w nadziei uwolnienia swego, dziki, tłucze się po klatce, dziobie i rozbić chce swe więzienie, nic go pocieszyć nie może, nawet czas uspokoić go nie zdoła, wabi, lecz nie śpiewa, najczęściej zaś tak się potłucze, że i zginie. Uczeni przyrodnicy, wyrachowawszy cyframi pożytek i szkodę, wywalczyli dla wróbla odpo-

wiednie stanowisko na tym Bożym świecie. Badając lat kilka gnieźdzące się parki, wykazano bowiem, że jedna parka na dzień, do wyżywienia piskląt, donosi od 60 — 65 gąsiennic, larw i chrząszczy. Na jedno znieśnienie wróbla trzeba zatem liczyć około 3,360 owadów, wliczając jajka tychże, muchy, koniki polne, bąki i t. d.

Wróbel jest szczególnie niebezpiecznym w czasie dojrzewania zbóż. Klinowatym, silnym dziobem doskonale łupie i rozłamuje twarde pożywienie, do czego mu ostre krawędzie skutecznie pomagają. Ziarnka mączne i olejne sztucznie z łuski twardej obiera i środek tylko pożera. W owocach, szczególnie wiśniach i czereśniach, wyjada mięso, zostawiając pestki nagie z ogonkami, a na stopniu dojrzałości zna się lepiej, niż ogrodnik; za owadami łązi, pnie się, jak dzięcioł po pniu drzewa, zbiera po listkach i na ziemi. Mimo swych krótkich skrzydełek, puszcza się w powietrze za motylem, ćmą lub żukiem i za kapryśnym lotem owadu zdąża on temi samemi ewolucjami, zwalnia i wyteża lot, kręci się za uciekającym, podnosi się i zniża z dziwną zręcznością. Przysmaczek jego, za którym przepada, są pędraki, larwy, chrząszcze i gąsiennice, dla nich on towarzyszy pługom i łopatom, szczególnie lubi drobniej-

sze larwy, w pierwszym i drugim roku wykształcone są dla niego za duże. Trzema, lub czterema, głód zaspokoi, oderwawszy zawsze pierwszej głowę, później smakosz roztwiera brzuch, wyjada soczyste wnętrzności, a resztę zostawia. Na wiosnę żywi się liśćmi sałatki i innej ogrodowizny, pączki drobniutkie z gałązek obrywa, po inspektach łązi i zrywa wszystko zielone, co się z ziemi wykluwa, próbuje, a jeżeli niesmaczne, wypluwa.

Włochatemi gąsiennicami gardzi, nawet gdy bywa głodnym takowych nie dotknie, koleczaste dziennych motyli pożera, wszakże przepada jedynie za drobnymi, gładkimi. Zdarza się, że zabije żuka znacznych rozmiarów, wielką gąsiennicę ciem, lub wyrosniętego pędraka, a nakoniec świerszcza, lecz nie pożera pokonanej ofiary, wydawałoby się, jak gdyby chciał swą okolicę jedynie oczyszczać ze szkodników. W spiżarni i na strychach szuka przede wszystkim krupek i twarogu, dziobie mięso, a nie znalazłszy tego pokarmu, nawet mąkę zjada, bieląc sobie czoło i gardziel, jak sprzedająca mąkę przekupka.

Nietylko największy smakosz w naszym ptasim rodzie zwrócił uwagę Wodzickiego, studyował on z jeszcze większą pilnością najmeźniejszego rozbójniczego rycerza, ja-

kim był i jest jastrząb, gołębiarzem zwany (*Astur palumbarius*). Rozbójnik ten występuje w różnych charakterach, a najczęściej z podniesioną przyłbicą, w zbroi, z natarczywym impetem porywa ofiarę, to znowu, jak złodziej, chyłkiem się podkrada, czatuje, zasiada w ukryciu, zręcznością i cierpliwością celu swego dopina, a nakoniec maskowany łatwowiernych łowi. Napuszy pierze, siądzie na nogach, gdyby kwoka, szyję skurczy, przytuli się do gałęzi, poddasza, komina, wytrzymuje szpiegostwo, natarczywość ciekawych ptasząt bez ruchu i niecierpliwości, udaje bezwładnego, lub naśladuje sowę śpiącą w dzień z przymrużonemi oczyma. Dopiero, gdy wybrana ofiara się zbliży, lub z nim oswoi, gdy już nie zwraca żadnej uwagi ptastwa na siebie, wtedy z szybkością błyskawicy uderza, porywa ofiarę i znika z nią wobec steroryzowanych i oszukanych świadków.

Z gołębiarza jest namiętny myśliwy w każdej porze roku. Widywać go można w lecie na błotnych i polnych polowaniach, na słonkach i zajacach, jak gdyby sobie wyrozumował, że uczestniczyć powinien przy łowach naszych, ułatwiających mu zdobycz. Podziwienia godny jego przebiegły rozum i ostrożność. Poluje z nami tak długo, póki nie zaspokoi swego głodu, a trzyma się

w bezpiecznem oddaleniu. Jeżeli zaś wobec myśliwego uderzy na zwierzynę, to z taką natarczywością, że najzręczniejszy strzelec nie będzie miał czasu złożyć się i celnie do niego strzelić. Młode, niedoświadczone ptaki, są często tak zuchwałe, iż łowią gołębie, pomimo, że do nich strzelają po kilka razy i śmierć nieuchronna zdaje im się grozić. Przyciśnięty głodem, leci na gołębnik, siada na okalającej go desce, a rozpostarłszy skrzydła, jak baba spódnice, posuwa się do koła, lotkami i dziobem tłucze w gmach z szybkością wzbudzającą podziwienie. Wynik manewru łatwy do przewidzenia: gołębie, niepospolicie spłoszone, jak z procy wylatują, nawet samice jaja opuszczają, a rabuś, wybrawszy sobie ptaka, goni za nim i chwytą.

Gołębiarz jest tyranem na jarzabki, te żarłoczne, nieporadne i tchórzliwe ptaki, a wysoko ceni smaczne ich mięso. Można przypuścić, że ich więcej spożywa, jak człowiek, albowiem skrupulatnie pilnuje stadko przez całą zimę, dopóki ich zupełnie nie wytepi. Szybkość, impetyczność, zręczność i przebiegłość dochodzi u niego do tego stopnia doskonałości, że bażantarniki częstokroć siedzą na zasadzce przez całe tygodnie, a złodzieja ani uchwycić, ani zastrzelić nie mogą. Bywają tak rozumne

i przebiegłe gołębiarze, że gdy głęboki śnieg ziemię pokryje i zającowi, lub kuropatwie, dozwoli się zupełnie zakopać, one, gdyby gończe psy, łażą po tropach i nareszcie zwierzynę wypłaszają i łowią. Dopiero też, zbadawszy tego ptaka, pojąć można, jakie wielkie szkody wyrządza nam w drobiu i w zwierzynie.

Już w pierwszych dniach kwietnia spostrzegamy pary gołębiarzy, bujające pod obłokami. Zanim wszakże gody weselne nastąpią, walki przedługowe odbywają się w powietrzu, wyjątkowo na ziemi. Gnieździ się po wielkich lasach i po gajach, wysoko i nisko na drzewach. Ściele obszerne gniazdo, lub wypędza i zdobywa gniazda kań, a nawet i wron, gdy go potrzeba przycisnie. W czasie lęgu nader ostrożny, rzadko kiedy za las wycieczki przedsięwzięje. Pożywienie wtedy stanowią: gołębie dzikie, turkawki, drozdy, wiewiórki, koszatki, młode zające i pisklęta wron, porywane z gniazd. Po trzech tygodniach, wyłażą rabusie z jaj, ogrzewane przez dni kilka pierzastym brzuchem matki. Wtedy to podziwiać musimy zręczność, siłę i odwagę samca, żywiącego tę żarłoczną rodzinę, gdyż samica wcale nie opuszcza gniazda. Wodzicki sprawdził nawet, że samiec, gdy samica zabita zostanie, wysiaduje jaja i mimo tak kłopotli-

wego zadania, zdoła nakarmić siebie i pisklęta.

Jeżeli ludzie podchodzą często pod gniazdo gołębiarza, wówczas zdarza się, że rodzice przenoszą pisklęta na inne gniazdo, odległe o kilkaset kroków. Bywają znowu zdarzenia, że ze strachu porzucają jaja, a nawet pisklęta przeznaczają na śmierć głodową. Już od niemowlęstwa wychowują dzieci na rabunkowych rycerzy. Posłanie bywa twarde, na drzewie, mchem nieco nakrytem. W pierwszych dniach przynoszą obskubane, drobne ptaki, szarpią je na gnieździe i karmią pisklęta, kładąc w dziób kawałkami mięso, później uczą skubać pierze, przynoszą żywe ptaki i każą zabijać pisklętom, a nareszcie donoszą czworonożne, pokaleczone ssaki, kładą na gniazdo i szponami przytrzymują. Gdy już pisklęta wszystkie klasy przebyły, rodzice wypędzają z gniazda pasibrzuchów, pędzą je na pierwsze gałęzie, później na dalsze, z drzewa na drzewo i nareszcie prowadzą pod obłoki koła toczyć, zwroty robić, impetyczność lotu wykształcać, uczą napady czynić, niebezpieczeństwa omijać.

Na całej mili przestrzeni jeden gołębiarz nie zniesie drugiego, gdyż ta przestrzeń ledwie wystarczy do wyżywienia nienasyconych żarłoków. Oblatuje codzień swój

zdobyty rewir i biada napastnikowi, któryby się chciał wcisnąć do tego obwodu. Nawet w jesieni, gdy młode ptaki wędrować poczynają, uderza na nie, pędzi i nie dozwala choćby noclegu. Głosu przez cały rok nie wydaje, jak prawdziwy złodziej, aby się nie zdradzić i nie wskazać miejsca swego pobytu. W czasie lęgu, tocząc koła, żałośnie kwili, młode zaś w powietrzu nawołują się wzajemnie. Gdy dzieci swoje gołębiarz wychował, wyuczył i zaprawił, gdy jest spokojny o ich przyszłość, pasuje je na rycerzy i rozpędza na cztery wiatry, czyli puszcza na własny chleb, uposażywszy takowe zapewnionym zarobkiem. Po scenie rozpędzenia dzieci następuje prawdopodobnie rozczulające pożegnanie z żoną, przyrzeczenie zlecenia się razem znowu na wiosnę i każde z rodziców obiera sobie państwo, które siłą, mocą i zręcznością broni przed napastnikami.

Dowodów zręczności i rozumu gołębiarza istnieje aż nadto. Wiadomo, że susły są nader ostrożne, uposażone znakomitym słuchem i wzrokiem i że w dzień ledwie na kilka stóp od swych kryjówek odbiegają, a przy najmniejszym szeleście, spieszą pod ziemię. Otóż te kilka stóp i ta chwileczka wystarczają gołębiarzowi do złowienia susła. On nigdy nie krąży dla łowów, to je-

go igraszki tylko; wiedząc, gdzie ma polować, w to miejsce leci i poluje, zupełnie na utropionego zwierza, lub upatrzonego ptaka. W lecie znów, kiedy gołębie na jajach się luzują, lub kiedy z dziupeł wylatują, on na nie czeka i nic czasu nie traci. Rycerz rabunkowy zna zwyczaje i zatrudnienia swych poddanych i znakomicie umie je wyzyskiwać.

Bystrość wzroku gołębiarza nie może być porównaną, jak tylko ze wzrokiem sokółów. Zdawałoby się, że widzi ofiary w trawach i ciemnych zaroślach. Gdy więc wypatrzył jarząbki pod krzakami i wszystkimi sztuczkami nie mógł ich wypłoszyć, wtedy, jak stary myśliwiec, siada na ziemi, z powagą i ostrożnością idzie do gąszczy piechotą i wypędza swe ofiary. Gołębiarz, upatrzawszy sobie stado kuropatw, jarząbków, lub cietrzewi, z pewnością pilnować ich będzie i codzień nawiedzać. W szczególności ten rabuś jest straszny, gdy całun zimowy okryje ziemię i dozwoli mu na szerokiej przestrzeni spostrzegać każdy ruch ptaka. Gdy zaś zielone dywany zboża ozimowego w jesieni barwią pola, a siewki zbijają się w wielkie stada, wtedy gołębiarz porzuca swą upatrzoną zwierzynę i towarzyszy migracyom siewek, dziesiątkując takowe.

Pomimo drapieżnej nawskrós natury ptaka, potrafił Franklin raz gołębiarza tak oswoić, iż żył wśród drobiu i nocował w gołębniku. Z gołębiami też latał w pole, bujał w powietrzu, toczył koła pod obłokami i wracał o tych samych godzinach przyjmować z rąk swego pana pożywienie. Wszakże, pomimo znakomitego wychowania, nastąpiła chwila słabości, pokusa była nad siły i gołębiarz popełnił zbrodnię na gołębiu. Franklin, widząc to, wybił prętem ptaka i puścił go. Gołębiarz, po otrzymanej karze, poleciał na kufę, napełnioną wodą, siadł na krawędzi, po chwili rzucił się do środka i utonął.

Ponieważ kruków spotykał Wodzicki w Tatrach tak wielkich, że dzisiejszym myśliwym wydają się chyba ptakami legendowemi, więc okazałość zewnętrzna i pewna posepność grobowa tego ptaka, zachęciły naszego Nemroda do poświęcenia mu specjalnego studyum. Kruk, zdaniem Wodzickiego, rozumem jest małą, drapieżnością i żarłocstwem—istnym wilkiem w ptasim rodzie. Jego dowcip, pamięć, bystrość, ostrożność, a w potrzebie odwaga, przebiegłość i rozwaga, jakoteż inne, podziwienia godne zdolności, nie były nigdy dosyć badane, nigdy dostatecznie opisane. Zna niebezpieczeństwo i w jednej chwili je oceni. W jednych miejscach pou-

fały, w innych ostrożny do najwyższego stopnia, nawet przesadnie trwożliwy. Gdy człowiek nadchodzi, wzrokiem go obejmie, oceni i do swej definicyi kroki zastosuje. Strzelbę zna doskonale, również odległość, którą nabój przebiez może. Rzadko kiedy da się zjechać i to wtedy, gdy żarłoczność weźmie górę nad ostrożnością. Do tego słyszy doskonale. Ozdobiony więc bystrością wzroku, niepospolitą wonią i dobrym słuchem, przy swym rozumie, urąga niebezpieczeństwu.

Kruk niepospolite ma skalpele do operacyj anatomicznych; dziobem, z ostremi krawędziami, kraje bez wysilenia, jak nożem lub piłą i ucina; nogi silnie zdobycz przytrzymują, szpony do rwania pomagają. Szczególniejszy ma dar rozpoznawania postrzelonej zwierzyny od zdrowej—już z oka postrzelonej nie spuści, a gdy ofiara żyć przestała, woła drugich do uczestnictwa przy uczcie. Częstokroć jeszcze zwierz łązi, upada, dźwiga się, aby znowu się położyć, krwawi swój trop, a już zebrane kruki po nad wierzchołkami drzew radośnym krakaniem śpiewają de profundis. Każdy, wydany przez niego głos, ma swe znaczenie; jest to rozmowa nieustająca. Przytem nader łatwo uczy się mówić basem, niekiedy tak wyraźnie, jak żadna papuga. Niejednego oszukać może, przemawiając chrypliwym głosem.

Najstraszniejsza broń kruka to teroryzowanie swej ofiary; zupełnie jakby ją magnetyzował, krąży nad nią, okala, bije na nią, trzepocze w górze, krakając bez ustanku. Zajęcie i kuropatwy, przepiórki i chróściele, drobne ssaki, rzeczywiście paraliżuje do tego stopnia, że się bez ucieczki brać pozwalają. Szybkość lotu jego nadzwyczajna, wszakże bez zwinności i to jest powodem, że w locie nie chwyta swych ofiar. Gdy kruki wypatrzyły otwory kotlin zimowych w śniegu, a nadzwyczajnym swym wiatrem przekonały się, że tam zajęcie siedzi, wtedy jeden kruk w otwór wlaził, drugi zaś pilnował przy wyjściu, gdy zajęcie się wymykał i albo go dziobnął, albo też, siadłszy na niego, skrzydłami trzepotał, a silnym dziobem ciosy zadawał. Polując dużo z puchaczem na drapieżne ptaki, ma się sposobność podziwiania rozumu i ostrożności kruków. Gdy sroki i wrony zajadły na puchacza biją, kruk, choć go nienawidzi, w jednej chwili oceni sytuację i zakrakawszy z wysoka, odleci.

Kruk jest miejscowym ptakiem. Wziąwszy dla siebie i rodziny znaczne przestrzenie w posiadanie, jak wódz ze swym wojskiem, tak on z rodziną strzeże i broni granic. Jedynie głód, co wszakże rzadko się zdarza, zmusza go do czasowej emigracji. By-

wa wszakże, że znaczne padliny sprowadzają wielką ilość kruków, są one bowiem przeznaczone do uprzążania ziemi z nieczystości, zwołują się więc do roboty, a gdy ta ukończona, każda rodzina wraca do swej siedziby. Wątpliwości nie podpada, że kruk, ze znanych nam ptaków, żyje najdłużej. Różnicę rozmiarów należy przypisać różnicom wieku, z każdym zaś rokiem rozmiary się powiększają, ptak grubieje i rozrasta się do tego stopnia, że jednoroczny w porównaniu do staro ptaka, innym się wydaje być gatunkiem. Spotkać go można nawet w Tatrach na skałach 3,000 stóp wysokości, z rzeczywistym zadziwieniem, bo zaiste, co za żer nagie te skały przedstawiać mogły; dopiero w zimie spuszczały się kruki do wsi i tam wśród ludzi na drogach zimowały. Wśród burzy zwykle jest niespokojny, jak gdyby był niecierpliwy, koniec bowiem burzy, to uczta dla niego. Badacze zaś fauny groenlandzkiej opisują wycieczki kruków za myśliwymi na reny. Ptaki się bowiem przekonały, że groenlandczycy zdejmują skóry z renów, a najczęściej mięso zostawiają, więc lecą, oczekując końca upragnionej operacji.

Gnieźdzenie się kruka, jego gody i zwyczaj w tym czasie różnią się tak bardzo od innych ptaków, w najdrobniejszych nawet szczegółach, że warte są osobnego

obrazu. Ku końcowi lutego i na początku marca głośne krakanie kruków w powietrzu —siedząc bowiem, innego głosu używają—zapowiada krucze gody. Cała przyroda jest jeszcze martwa, w śnie zimowym po-
grążona, lecz kruk gardzi ciepłem schronieniem, urąga wichrom, szydzi z polskiej wiosny; zwykle smutny i poważny, w godowym czasie nie zmienia nastroju. Kruki rok cały trwają w pożyciu małżeńskim i dlatego nie potrzebują szukać samiczek; u nich walk o towarzyszkę nie spostrzegamy; jedynie kruki jednoroczne zdobywają sobie towarzyszki na całe życie, nie obchodzi się i wówczas bez pojedynków oraz zapasów, lecz odbywają te rywalizacye z podziwieniem godną powagą i w skrytości, jak gdyby te familijne niesnaski ukryć chciały przed niedyskretnymi świadkami.

Gdy się dzień zupełnie rozjaśni, wówczas kruk zakracze w powietrzu, wołając do tańca krukową. Przez długie godziny kołują w powietrzu, stykając się i rozłączając, nakoniec szybkim lotem, po odbytem powietrznem tokowaniu, lecą na wybrane i wyrestaurowane gniazda. Nie płoszone i nie zdradzane, całe życie używają tego samego gniazda, w potrzebie znoszą się na gniazda ptaków drapieżnych, a w ostatecznym razie i wronie biorą w dzierzawę.

Obrawszy gniazdo, lub powróciwszy na własne dawne, starannie restaurują, gałązkami okalają, a gdy już samica osiadzie na jajach, jeszcze samiec majstruje i potrzebny materiał donosi i wplata do krańców, ona zaś ciałem okrągłe wygniata łożę. Pomimo, że w nader wczesnej porze się gnieździ, drugiego zniesienia nie ma; zdawałoby się, że za ciepła dla niego późniejsza temperatura. Sam gniazdo własne ściele na najwyższych gładkich drzewach, najczęściej niedostępnych, na skalnych urwiskach i na opuszczonych wieżach. Nie cierpi w sąsiedztwie hałaśliwych wron, któreby jego gniazdo zdradzić mogły, prześladowuje je też i odgania. Ostrożnym jest w tej porze do najwyższego stopnia. W odludnej okolicy często pożywienia nie znajduje, zbliżyć się więc musi do mieszkań i wsi; wszakże, aby nie wypatrzone gniazda, czasem milę i dalej na żer leci i z każdym kawałkiem do domu powraca, co powtarza kilkakrotnie w jednym dniu.

W środku gniazda posłanie z włosów, szczeciny i mchu, rzadko kiedy z pierza i wełny, ściany gdzieniegdzie ziemią i gliną zalepione, jak gdyby chronić miały samicę wysiadującą od zimna i wiatrów. Spodziewamy także różnobarwiste szmatki; trudno mu wprawdzie wyżywić samicę, ale

i w tej ciężkiej pracy nie zapomina o swym złodziejskim zawodzie i co napotka z kosztowności, lub błyszczących monet, znosi i układa na krawędzi gniazda. Można śmiało twierdzić, że w gatunku tych ptaków góruje ostrożność nad przywiązaniem do dzieci; nigdy życia nie narażają, a zdarza się, że głodem piskłeta morzą, gdy spostrzegą czatujących ludzi. Nawiedzenie gniazda powoduje czasem samicę do opuszczenia jaj. Samicę ostrzega samiec o niebezpieczeństwie mrukliwym krakaniem; ona czujnie siedzi na jajach i przy najmniejszym szeleście podnosi się i rekognoskuje, a gdy uzna, że dowierzać nie można, cicho się wynosi i zawczasu ulatnia. Następnie krąży nad gniazdem w znacznej wysokości i nie powróci, dopóki zupełna cisza nie nastanie i ludzie nie odejdą.

Jaj jest zwykle 4 — 5, samica pilnie na nich siedzi i bywa przez samca z przykłądną akuratnością żywiona. W południowych godzinach zastępuje ją zwykle na jajach i wtedy samica leci się kąpać, a wzmocniwszy się, powraca do obowiązków. Piskłeta, to istne płody czarta, obrzydliwe, a żarłoczne i nienasycone, ustawicznie dopominają się pokarmu, otrzymując niezwykle dowody poświęcenia się rodzicielskiego. Przemysł kruków w tej dobie jest zdumie-

wający; owadów, robaków, myszy, ślimaków, piskląt, zajęczków znoszą w obfitości. Żer drobniejszy znoszą w gardzieli, którą do tego stopnia zapełniają, że gula sterczy pod dziobem; większe zaś stworzenia donoszą w dziobie i szponach. Gdy kruczęta podrastają, wrony mają już jaja, a niektóre już wyklute pisklęta, otóż w głodzie kruki wypijają im jaja i zabierają dzieci. Ślimaki łuszczy jak ostrygojad i mięksisz wyjada lub pisklętom donosi; pilnie gniazda rewiduje i rabuje ptaszęta; szczególniej krukowa w porze lęgu jest niebezpieczną napastnicą i naraża się nawet na niebezpieczeństwo. Zkąd biorą rybki, jak je łowią, odgadnąć trudno; wszakże resztki przy każdym niemal gnieździe spostrzedz można. Jest to ulubiony przysmak kruków. Po burzy, lub po wylewie rzek, przy spustach stawów, pilnie ryb szukają, nawet wchodzą po kolana do wody i łapią je.

Po kilku tygodniach, już kruczęta pierzem okryte, miejsca w gnieździe znaleźć nie mogą, siadają na krawędzi, a najodważniejsze na najbliższych konarach. Rodzice głodem zmuszają je do lotu, przeganiają z drzewa na drzewo, coraz dalej, nareszcie namawiają do polotu, zwykle przy wschodzie słońca, dla bezpieczeństwa. Pomimo, że latają same, pożywienia nie szukają, lecz

zupełnie, jak młode wrony, biegają za rodzicami, trzęsą skrzydłami i kwilą, dopominając się jedzenia. Tu znowu rozum i roztropność rodziców podziwiać należy, gdy dziatwę z miękkimi jeszcze dziobami i słabymi pazurami prowadzą na łąki i role, wskazują żabki, ślimaki, glisty i żuki, uczą łapać i pożerać, później dopiero myszy, krety, zajączki młode, ziemne pieski (skrząceczki) i t. d., aż niebawem młode rabusie zasmakują w awanturniczem życiu i dzień cały rodzina przebywa na łowach. Rodzice długi czas młodzi z oka nie spuszczaają, uczą ostrożności, przestrzegają niedoświadczonych, wskazują niebezpieczeństwa, nic więc dziwnego, że pod takim przewodnictwem już przed zimą młode kruki wydoskonalonymi rabusiami się stają. Chudy całe życie, jak potępieniec; czy w jesieni, czy w zimie, bryłki tłuszczu na kuku nie znajdziesz. Trawi go jakiś ogień piekielny; pomimo swej żarłoczności i podziwienia godnej zręczności w zaspakajaniu swych potrzeb, czy młode, czy stare, pozostają chudymi. Mięso czarne, żyłaste i twarde nie do spożycia; nawet młode ledwie najbardziej zgłodniały człowiek spożyć może.

Ostatnią monografię poświęcił Wodzicki tym wszystkim gatunkom orłów, które w różnych stronach naszego kraju przebywają

i gnieźdzą się. Wspaniałe te ptaki, ze srogim wejrzeniem, potężnie uzbrojone, zdaniem naszego Nemroda, rodzą się już z piętnem panowania w swym świecie. Potęga orłów gardzi zasiadkami, podstępem i podejściem; ona tak wielka, że swe ofiary wstępnym bojem zwalczą i niszczy. Posiadają jakąś siłę magnetyzującą żyjątką, przeznaczone na łup. Jak węże grzechótniki, tak i orzeł krąży, spuszcza się kilkakrotnie nad zającem lub sarneczką, coraz niżej, szumiąc nad nimi lotem, wznosi się, spuszcza i pławi się nad nimi, jak gdyby igrał z bezbronnemi ofiarami, a steroryzowawszy je, bierze na pół żywe w swe szpony. Orzeł nie posiada zwinności sokołów, nie prześladowuje lotem chybionej ofiary; on, jak odyniec, uderza, a nie porwawszy łupu, okrąża zwolna plac boju, dąży za uciekającą ofiarą, płosząc ją swą potężną postacią i szumem lotek zmuszając do przywarowania, lub też ją opuszcza i szuka innej. Zarozumiały i samoistny, ufny w swą odwagę, siłę, często się rzuca na zwierzęta, których unieść nie może, więc w spokoju odrywa mięso koło szpon i uwalnia ofiarę wobec nadchodzącego człowieka. Często zaś ginie, nie mogąc wyrwać szpon, ani też z łupem odlecieć. Jak wielbłąd na puszczy wypija wodę na zapas kilkodnio-

dniowy, tak i orzeł napelnia swe wnętrzości na dnie głodu, gdyż niechętnie poluje w dżdżyste dnie, a przytem często i jemu nie udają się łowy.

Orzeł przedni (*Aquila fulva chrysaetos*), najmajestatyczniejszy ze wszystkich, mięso ssaków przenosi nad ptaków, choć jest swoją drogą strasznym wrogiem dla dropi, bocianów, indyków i bażantów. Gdzie jednak upatrzy chomiki (skrzeczki), zatrudnione przy swych żniwach, lub susły igrające, czeka cierpliwie przez długi czas, dopóki od jam nie odbiegną. Zajac zaś jest jego ulubionym przysmakiem i wśród jego rodu największe też szkody wyrządza. Zdechłego zwierzęcia nie tknie i błędem jest twierdzenie, jakoby orzeł przedni żywił się ściwem. Przytem, znając zręczność oraz szybkość sokołów i jastrzębi gołębiarzy, często je pilnuje i za nimi goni, odbierając łup w locie przez nich złowiony. Nieraz mniemamy, widząc orła na gołębiu lub kuropatwie, że on te ptaki złowił, tymczasem król odebrał je wasalowi. Orzeł przedni nie woła nikogo na pomoc i nie dzieli się z nikim; gdy łupu nie może spożytkować sam, to go zostawi na zepsucie; wszakże nikomu udziału w uczcie brać nie pozwoli.

W pogoni lot jego jest szybkości błyskawicy, a głośny świst i szum zapowiada na-

pad tego rabusia. Ma unosić młode sarniątka, jelenie, kozice a nawet warchlaki, czego jednak sam Wodzicki nie widział; pewną jest natomiast rzeczą, że unosi głuszcze, dropie i żórawie. Orzeł przedni obżera się nad miarę i wtedy naraża się na niebezpieczeństwo, gdyż podlecieć nie może i bywały wypadki, że kijem króla ptaków ubijano. Również i głód przez długi czas cierpieć może, gdy śnieżyce i słoty nie dozwalają pomyślnych łowów. Czasem w niewoli przez cztery tygodnie nie dawano mu żadnego pożywienia, a mimo to, nie kwilił z głodu. Nikt orła pijącego wodę nie widział, widocznie na wolności ciepła krew mu służy za napój, w niewoli przeciwnie, pije. W zamian za to, kąpie się i kąpać się lubi, z powodu trapiących go srodze owadów. Gdy się wykąpie, z trudnością się podnosi i siada na najbliższym konarze, poczyną trząść pierzem, furcząc głośno, potem swym dziobem olbrzymim czesze piórko po piórku, co niekiedy trwa godzinę, dopiero gdy zupełnie wyschnie, unosi się w powietrze.

Wyjątkowo pozostają orły przednie razem po wychowaniu dzieci; na wiosnę za to udzielają nam przepyszne przedstawienia w swych eterycznych pieszczotach, gdy suną pod obłoki, goniąc się wzajemnie; toczą

koła ponad obłoki, coraz wyżej, ku słońcu, a po chwili, nakształt skowronków, złożwszy skrzydła, pędem spadają na gniazdo. Orzeł przedni jest ptakiem zwyczajnym, wierny swemu rewirowi, gniazdu, nawet konarowi, na którym noce przepędza, do tego stopnia, że reparing corocznie przez kilka lat, używa tego samego gniazda, jeżeli nie bywał płoszony i prześladowany. W czasie gnieźdzenia podwaja swą ostrożność i nigdy na gniazdo nie siądzie, gdy człowieka w bliskości widzi. Gniazdo zaś bywa płaskie i z drugiego drzewa łatwo zobaczyć jaja białe, chropowate, popstrzone ceglastym kolorem, wielkości jaj indyków. Jaj bywa 2—4, piskląt dwoje się wyklują, a najczęściej jedno, szarym puchem okryte, wzbudzające wstrętny widok, z dużą głową, grubymi nogami i dziobem zakrzywionym. Żarłoczność piskląt tak niepojęta, jak niepojęte poświęcenie rodziców w łowieniu i dostarczaniu pożywienia żarłokom. Niejedno gniazdo bywa przez zręcznych i przebiegłych chłopców odwiedzane, w czasie nieobecności orłów i rabowane z pożywnych stworzeń, a gdy się nagromadził zapas psuć poczynają, zrzucają go na ziemię.

Samica zwykle twardo na jajach siedzi, kładąc głowę na krawędzi i trzeba często kilkakrotnie uderzyć w pień drzewa, aby

ją zmusić do zlecenia. Gdzie czaple lub gawrony założyły swe kolonie, a orły je odkryły, tam spada na nie codzienna klęska, gdyż głodne ptaki po kilka i kilkanaście z gniazd porywają, pożerają, lub młodym donoszą. W czasie lęgu, panowanie parki orłów rozciąga się na kilka mil kwadratów, które niemal codziennie oblatują i w których łowy odbywają. W chróstowych ścianach orlego gniazda zwykle ściele wróbel swe gniazdo. Czy orły wiedzą o obecności wróbla i cierpią tak natrętne go sąsiada—orzec trudno, gdyż przy zbliżaniu się rodziców, wróbel zawsze chowa się w swej kryjówce, lecz widocznie orlątko jest oburzone obecnością współuczestnika i często sięga dziobem po zwinnego wróbla, uciekającego pod gniazdo. Gdy zaś orlątko wyrośnie na orła i odleci, wtedy wróbel również opuszcza swą siedzibę czasową.

Orzeł krzykliwy (*Aquila naevia*), często orlikiem lub półorłem zwany, jest u nas nader pospolity. Nieomal w każdym lasku spotkać go można, czy w liściastym, czy w iglastym, lecz wymaga wody w bliskości dla pożywienia i kąpieli. Przesiaduje godzinami na kamieniu lub bryle w polu, na palu, wystającym z wody, na poręczach i suchych gałęziach; to są jego, obrane nie-

mal na całe lato, obserwatorya, z których czyni swe łowieckie wycieczki. W głodzie pożera żaby i jaszczurki, wszakże główne jego pożywienie stanowią piskleta, które zręcznie z gniazd wybiera, krety, chomiki i myszy, a w lesie łowi koszatki i wiewiórki, niekiedy nawet owadami się żywi. Nader pocieszny widok przedstawia, gdy po roli chodzi za pędrakami, lub w trawie za żabami, nachylony, ze wzrokiem przed siebie wlepionym, pełen uwagi, z pominięciem wrodzonej ostrożności.

Orły krzykliwe reparują zwykle stare gniazda. Gniazdo stosuje się do drzewa, na którym bywa umieszczone; jeżeli silne konary, to gniazdo obszerne; jeżeli zaś młodsze, to podobne do gniazda orła karzełka i wtedy z dołu można zobaczyć ogon i głowę, na jajach siedzącego, ptaka. W potrzebie naglej wypędzają gnieźdzące parki mysołówów i kań, gniazdo przeistaczają i powiększają, uznawszy zdobycz za własność. Konkury bywają głośne i wrzaskliwe; w czasie zaś lęgu ostrożność wymaga tajemniczej ciszy; wtedy orły krzykliwe głosu nie wydają i żadnymi widocznymi ruchami się nie zdradzają. Młodsze ptaki częstokroć znoszą jedno jajo, starsze dwa, niekiedy trzy; w tym ostatnim wypadku jednego jaja nie wysiadują, pozostawiają w gnieździe,

lub wyrzucają. Gdy pisklęta zmieniają mech na pałki pierza, wtedy, w mokrych okolicach, te orły zrzadzają znaczne szkody w wodnym ptactwie. Dzień cały się pławią nad trzcinami, oczeretami i mokremi łąkami, upatrując kaczki siedzące na jajach, które często łowią i jaja wypijają. Stare ptaki wypędzają przemocą orlęta z gniazda, często bowiem już wypierzone lecieć nie chcą. Rodzice stopniowo wprawiają je do łowów, uczą zdradziectwa, zasadzek i podstępów, gdyż te orły wstępnym bojem nie walczą i odwagą zaślepioną na niebezpieczeństwo się nie narażają. Przy sposobności i on popełni zbrodnię na zającu i drobiu domowym, lecz za tem się nie ugania, gdyż ma swój specjalny zawód w polu, w lesie, na wodach i moczarach.

Orzeł karzełek (*Aquila pennata v. minuta*) do tego stopnia jest mało znanym i zbadywanym, że kiedy jedni wskazują mu południe i wschodnie kraje za ojczyznę, inni północ, wszyscy zaś piszą o jego przelocie, a nie o gnieźdzeniu i najczęściej opisują pierwsze jego upierzenie. Wodzicki w okolicach Brzeżan, przez szereg lat, nadybał sześć, czy siedm gniazd, z jajami i pisklętami tego orła, może więc twierdzić stanowczo, że się u nas gnieździ i nie jest bynajmniej przelotnym podróżnikiem. Ka-

rzełek jest wizerunkiem orła przedniego, w kształcie jego drobnej fotografii, gdyż posiada ledwie rozmiary myszołowa, lub kruka doskonałego. Łowi zręcznie, lata bystro, odważny i zdeterminowany, a mniej dziki, jak jego pokrewne gatunki. Gdy orły bieliki odważają się wdzierać w jego rewir, pomimo drobnej budowy, atakuje walecznie ogromnego ptaka. W lesie łowi drozdy, kosy, nie pogardzi myszkami, wiewiórkami i koszatkami, w głodzie drobnymi ptaszkami głód zaspakaja; nie rzuca się na zajaca lub kuropatkę, nawet sójki w jego sąsiedztwie swobodnie żyją; widocznie już i te ptaki są zanadto wielkich dlań rozmiarów.

Karzełek długo w bezleśnej przestrzeni nie pozostaje i powraca na brzegi lasów, gdzie sobie wybiera drzewa na obserwatorya i z nich pędem uderza na upatrzony łup. Przylatuje do nas w kwietniu i widywać go można na ciągu słonek; wszakże poczyną się gnieździć dopiero w połowie maja, jakby oczekiwał pokrycia z zieleni. Jego gniazdo okrągłe, dosyć małe i w najrozmaitszych umieszczeniach; można je znaleźć na wierzchołkach staropniowych drzew, wśród korony, na horyzontalnie wyrastającym konarze, bywają i na młodszych drzewach, tak, że niktby nawet nie przypu-

szczał, że to gniazdo orła. Plecionka dosyć gęsta, śróty gniazda z tego powodu nie przebija; w krawędzie wplatywane są zielone gałązki i w tej zieleni siedzi orlica. Środek gniazda wysłany mchem, suchymi trawami, niekiedy sierścią. Orlica znosi najczęściej jaj dwa i dwoje orląt wychowywa, gdy bywa więcej w gnieździe, zazwyczaj pozostają niewysiedziane. Karzełek kocha swą orlicę, pieści ją, żywi, za nią tęskni, przy niej siada, z nią kwili, dzieli powodzenie i nieszczęście, zapowiada swe przybycie, widocznie się raduje, przynosząc smaczny kęs na gniazdo. Mąż i żona walczą razem, mężnie i bez przerwy, zabezpieczając swą siedzibę i wytrwałością, oraz połączonymi siłami zdobywają swą niepodległość. Przy gnieździe zapomina karzełek o wrodzonej ostrożności; stare ptaki są do siebie i do piskląt czule przywiązane, z tej to przyczyny nader łatwo rodziców ubić.

Orzeł gadożer (*Aquila brachydactyla*), jak jego poprzednik karlik, umiał przez wieki ukrywać swe życie przed badawczym wzrokiem człowieka i oszukiwać ornitologów zmianami barw, zwyczajami, wreszcie życiem i lęgiem swym. Ulubiona siedziba tego ptaka jest w liściastych gajach, z wysokimi drzewami i w lasach mokrych,

przerzynanych bagnistemi łączkami, strumykami i jeziorkami. Jego życie ciche, wśród zieleni łowami swemi nie zdradza się. Przyłot jego do nas późny, wtedy, gdy już żaby kumkają i wtedy stanowią główne jego pożywienie. Widok tego ptaka jest zachwycający, gdy siedzi pionowo, nieruchomy, wystawiając jasną pierś, co czyni też i w locie, gdy krąży—wtedy wydaje się zupełnie białym i usprawiedliwia nazwę, nadaną mu przez Buffona: „Jean le blanc“.

Trafnie nazwany gadożerem, pożera przeważnie żaby i żabami wychowuje pisklęta. Upatruje je z drzewa i do nich zlatuje; niekiedy zaś krocząc, lub skacząc łowi. W lesie zjada żabki zielone drzewne, przeważnie zaś żaby jadalne i wczesne—ropuch zaś nigdy nie ruszy. Ulubiony przysmak ma w wężu padalcu; węże również nosi, często je jednak zabija poprzednio. Twierdzą, że także zmijami się żywi, które zręcznie porywa, aby go nie ukąsiły w nagie miejsce, gdyż zwartość pierza chroni go w każdym razie od ukąszenia niebezpiecznego. Prócz tego zjada i młodym donosi pisklętom wszystkie trzy gatunki naszych jaszczurek, zaś myszy, wiewiórek prawdopodobnie nie rusza nigdy. Czy się niekiedy żukami, pisklętami ptaków i większemi gąsiennicami żywi—trudno sprawdzić, chociaż

przypuścić wolno, że się samemi amfibiami nasyca. Gadożer posiada dziwny zwyczaj moczenia nóg do kolan. Siada on po ukończonych łowach i zaspokojonym głodzie w wodzie i godzinami w nieruchomości siedzi. Mniemać można, że w wodzie drzemie, gdyż go łatwo podejść. Badanie gnieźdzenia gadożerów przedstawia znaczne trudności, ptaki są bowiem w tej porze nader ostrożne, żyją tajemnie, nie wydając głosu i nie wychylając się na jasne miejsce, ani też nie krążą i nie toczą kół ponad drzewami. Wypada często przebyć duże przestrzenie, zanim się ich siedzibę odkryje, a w końcu gniazda ich nie różnią się od gniazd innych drapieżców i bywają wysoko na drzewach zawieszane.

Orzeł rybitw, rybołów (*Aquila haliaetos*) ma ze wszystkich orłów lot najzręczniejszy. Nietylko toczy majestatycznie koła pod obłokami, lecz zadziwia szybkością i impetem uderzenia, staje w powietrzu wysoko, niekiedy znowu nie wyżej, jak dwa sążnie nad zwierciadłem wody. Gdy rybę upatruje, umie na miejscu przez dłuższy czas trzepotać skrzydłami, nie posuwając się naprzód. Ma nader bystry wzrok do upatrywania pożywienia swego; najciekawszy do obserwowania w swych łowach, gdy bada manewr upatrzonej ryby, jeszcze dla niego

głęboko zostającej — lotem i wzrokiem ją ściga, oczekując chwili sposobnej do złowienia i towarzyszy jej nad wodą przez długi czas z wielkiem zajęciem, gdyż często, zapatrzony, nadlatuje prosto na strzelca. Rybołów mógłby przewodniczyć w towarzystwie rybackiem, tak dokładnie zna gatunki ryb i ich zwyczaje oraz porę tarła; wie, o której godzinie wypływają na powierzchnię wody i o tych godzinach swe łowy rozpoczyna. Godzinami często krąży i nurkuje bez pożytku i znowu lata, upatrując pożywienie.

Gdy szpony wyprostuje do chwytania ryby, składa dwa palce naprzód, dwa w tył, skrzydła składa ku ogonowi, nachyla się łbem i prostopadle uderza, z głośnym pluskiem, w wodę, zanurza się z impetem dosyć głęboko i ledwie po kilku, a niekiedy kilkunastu sekundach, wylatuje, trzepocąc piórami. Gdy rybę złowi, wydobywanie jest wolniejsze i wtedy zaraz leci, ze swym łupem, ku brzegowi, obiera ją starannie z łusek, zostawiając głowę i ości. Węgorz jest dlań za długi i za ciężki, nadto okręca się koło skoków i nie dopuszcza odlotu, więc rybołów zabija go i pożera na miejscu. Łapie myszy i chomiki, czy to uderzając na nie z góry, czy też podskakując i goniąc takowe. Są to jego wyjątkowe łowy, odby-

wane wtedy, gdy mętna woda nie pozwala wypatrywania ryb, a głód mu dokucza. Jako korsarz współzawodników nie nadybuje, z podobnymi sobie zacięte walki stacza, w celu utrzymania wyłączności rybołówstwa; jedynie przed orłem bielikiem, czyli białogonem, spiesznie ustępuje, nie próbując nawet walki.

Samica znosi dwa, niekiedy trzy i cztery jaja, wychowuje jednak najwięcej dwa pisklęta. Na gnieździe siedzi twardo; bezpieczna w swej fortecy, dozwoli uderzyć w pień drzewa kilkakrotnie, zanim się zerwie do lotu, widocznie mocno zasiedziana, gdyż ciężko i niezgrabnie zlatuje, tłukąc się po konarach—jednak nie siada już, lecz odlatuje i z oczu znika. Pisklęta niczem się nie różnią od innych drapieżnych, wyjąwszy grubemi skokami i chropowatemi palcami. W pierwszych dniach wyklucia, najczęściej w czerwcu, drzemią ustawicznie, karmione małemi kawałkami ryb. Aby ocenić ogrom szkody, wyrządzanej w rybołówstwie przez orły, trzeba wiedzieć, jak się rodzice doskonale żywią, co ich tłuszcz tranowy uwidocznia i co za ilość ryb młodym przynoszą. Na krawędzi gniazda można też znaleźć duże płocie, okonie, karpie w takiej ilości, że znaczna część pozostaje niespożyta, ulegając zepsuciu.

Najpospolitszym orłem w naszym kraju jest bielik, białogon, zwany również łomignatem (*Aquila albicylla*). W łagodnych zimach, przy niezamarznięciu wód, poluje na stawach i jeziorach, gdy zaś lód pokryje łożyska, wtedy z wyrafinowanym rozumem i nabytem doświadczeniem, szuka na rzekach szybkich prądów, gdzie woda nie zamarza i gdzie się kaczki oraz nurki koncentrują. Tam je dziesiątkuje różnemi sposobami, bo i korzysta z zasadzek, łowi w otwartem polu, na ziemi i na wodzie, częstokroć z takim impetem uderzy na kaczkę, że zanim ona zdąży zanurkować, on ją już w swe potężne szpony uchwycił, a nawet nurkujące ptaki, równie, jak ryby, chwytą i wydobywa, unosząc daleko po za brzegi. Bielik, chytry i podstępny, maskuje się, jak gołębiarz, siadając na brzegu, między kamieniami nieruchomy i do ziemi przytulony, istny duży kamień. Kaczki stopniowo przyswajają się, zbliżają i na brzeg wychodzą, suszyć i muskać pierze, wtedy często jednym skokiem porwie ofiarę i uniesie.

Bielik łowi kilkofuntowe szczupaki, a w czasie tarła i karpie; zwykle pożera, co może i łowi dalej, chowając zapas do gardzieli. Zwolnywanie się tych ptaków na padlinę, lub do pokonania większych ofiar, przypo-

mina zwyczajnie sępów. Czasem stare bieliki z młodem uderzają na warchlaka i pokonywają go. Zwykle ptak ten nie gardzi ścierwem w najwyższym rozkładzie, ani też padliną jakiegobądź gatunku. Z nieczystości i surowego pożywienia pierze jego wydaje fetor i zapełnione jest owadami i robactwem. Nietylko łąwi, morduje, co zdybie, lecz i rabuje. Trudno uwierzyć temu, że rycerski orzeł przedni najczęściej porzuci zająca, aby walki nie przyjąć z potężnym bielikiem; siła jego jest też niepospolita, bez wysilenia niesie rybę, ważącą kilka funtów, lub zająca. Gnieździ się na starodrzewach, gdzie je jeszcze siekiera oszczędziła, przeważnie w bliskości rzek, jezior i stawów, nad morzem i w górach; gnieździć się ma w rozpadlinach skał. W potrzebie nagłej spędza czaple, czarne bociany (baki), wzmacnia i powiększa gniazda, przywłaszczając je sobie na przyszłość. Samica znosi dwa jaja, lecz najczęściej wysiaduje tylko jedno orlątko. Żarłoczność piskląt bajeczna i często wieśniacy, podpatrzywszy bielików, podbierają z gniazda żywność, której jest zawsze za wiele.

Pięć monografij ptaków stałych, które przedstawiłem w streszczeniu, napisał Wodzicki, prawie z jeszcze większą dokładnością i drobiazgowością, niż poprzednie. Na

zaletę powyższą wpłynął niewątpliwie ten
wzgląd, że wszystkie ptaki stałe łatwo cho-
wać i obserwować w niewoli, tymczasem
podróżne, albo marnieją w więzieniu, jak
kukułka, lub też smutnieją i wiodą przy-
gnębiony żywot, co na obserwację nieko-
rzystnie wpływa. Wodzicki zaś nietylko
badał ptaki na wolności, lecz przezimowy-
wał znaczną ilość kuropatw, chował kruki
i orły, przypatrując im się pilnie i study-
jąc ich zwyczaje. Sądziłbym jedynie, że po-
winien był z większym naciskiem potępić
wszelkie polowania z sieciami na kuropa-
twy, ze względu na potrzebę jeszcze wię-
kszego rozmnożenia tego ptaka u nas. Zre-
szta kuropatwa nie należy do rzędu pta-
ków zbyt ostrożnych, a teren łatwy, wśród
którego się pościg odbywa, czyni całe po-
lowanie do tego stopnia pozbawionem tru-
dności, że myśliwy powinien się raczej sta-
rać o ich wynalezienie, a nie zamieniać ło-
wów w istną rzeź i tępienie, które dla niego
żadnej przyjemności przedstawiać nie mogą.
Nietylko więc, że u nas wszelkie polowanie
z siecią, lub z rozciągniętym sznurem, jest
zupełnie niewłaściwem, lecz nadto należa-
łoby opóźnić łowy na tego ptaka, przynaj-
mniej do połowy września. Wtedy bowiem
jest, a raczej zaczyna być hardym, t. j.
rwie się dalej i z większym ogniem, tak,

że strzał może być trudniejszym, zwłaszcza w zaroślach.

Kończąc pracę moją o Wodzickim, muszę jeszcze pokrótce zwrócić uwagę na wszystkie jego monografie ptasich rodów, które w streszczeniu podałem. Zapiski bowiem ornitologiczne, obok wielkich, niezaprzeczonych przymiotów, posiadają również i ujemne strony, których pomijać nie wolno. Wprawdzie Wodzicki nie przystrajał się nigdy w tę urzędową doktrynę i z tego względu możnaby mu było oszczędzić niejeden z zarzutów; w każdym razie jednak, ów brak wewnętrznego ładu i przewodniej, systematycznej myśli, jaki się w „Zapiskach“ uwydatnia, nie może być przemilczanym. W poprzednich pracach, z których zdawałem sprawę, Wodzicki potrafił trzymać się należycie badanego przedmiotu i jedynie piękność natury pozwalała mu niekiedy o nim na chwilę zapomnieć. Tymczasem w „Zapiskach“ myśl naszego Nemroda odbiega daleko od studyowanego ptaka i zaczyna go identyfikować do tego stopnia z jakąś postacią ludzką, że nareszcie i sam czytelnik, ulegając złudzeniu, nie wie: czy ma przed sobą jastrzębia gołębiarza, przemawiającego jako żelazny kanclerz Niemiec, czy też księcia Bismarcka, siedzącego na gałęzi ze zdobytym gołębkiem w szpo-

nach. Wplatanie zaś traktatów najrozmaitszej, a często bardzo rozwlekłej treści do monografij ptaków, zaciemnia tylko portret łowiecki i rozprasza, a nawet nuży uwagę czytelnika.

Gdy Wodzicki, unosząc się pięknnością natury, zapomina na chwilę o bocianie, słońce i t. p., a opisuje w porywający barwnością i świeżością sposób, staw zarosnięty trzciniami, pożar lasów w górach, lub zniszczenie drzewostanu przez owady, wówczas razem z nim zapominamy chętnie o zboczeniu od badanego przedmiotu. Tej samej nieprzepartej pokusie ulegamy, gdy, rozszerzając sferę studyów, zamieszcza mimochodem wiadomość ciekawą o innych ptakach, którym osobnej monografii nie poświęcił. Jakżeż bowiem mógł taki zapalony myśliwy z towarzyszami zawodowymi nie podzielić się wiadomością, że np. młode jarzabki, wystraszone, kładą się na grzbietach, trzymając w łapkach zeschnięte liście, ukrywający ich przed wzrokiem drapieżcy, lub że niektóre ptactwo wodne buduje nad gniazdem baldachim z trzciny, aby jaja ukryć przed szkodnikami. Te i tym podobne wzmianki dodawały wdzięku i oryginalności portretowi głównemu, a składały się niejako na bogate tło dla opisywanego ptaka.

Inaczej się jednak ma rzecz z traktatami filozoficznymi, przygłuszającymi treść myśliwską „Zapisków“. Choć one znamionują na każdym kroku umysł wcale niepospolity, to jednakże psują jednolitość obrazów myśliwskich i usuwają główny cel studyów na plan podrzędny. Zarzut odbiegania od właściwego przedmiotu, powinien jednak spotkać Wodzickiego wśród okoliczności łagodzących. Przecież uczone dzieła nasze przepełnione bywały historyozofią, obcą badanemu przedmiotowi, tak, że nawet botaników: „bolała świadomość, że przy innym ustroju społecznym, wobec zdolności i chęci do pracy, jaką w pierwszej połowie XVI wieku na wszystkich polach objawialiśmy, mogliśmy i w botanicznym kierunku wysunąć się dobrze naprzód“⁵²⁾. Wobec też wielu i bardzo nęcących przykładów, trudno się dziwić Wodzickiemu, że uległ pokusie.

Obserwacje ornitologiczne, podawane w językach obcych, towarzystwom naukowym zagranicznym (o kukułce, o bąku i wielu innych), zjednały Wodzickiemu nie małą sławę. Nietylko, że się taka powaga, jak Brehm, na jego spostrzeżenia powoły-

⁵²⁾ „Pamiętnik Akademii Umiejętności Nauk w Krakowie“, T. IV. Rostafiński: „Nasza literatura botaniczna w XVI wieku“. Str. 202.

wał, ale liczne stowarzyszenia naukowe mianowały go swym członkiem, aż nareszcie wyczytał w katalogu ptaków europejskich nazwę „Luscinoides Wodzickiensis“, która była wynagrodzeniem za wyborny opis lęgu drozda skalnego (*Turdus saxatilis*). Radości, jaką mu to połączenie nazwiska rodowego ze zbadanym ptakiem sprawiło, nie skrywa wcale Wodzicki, również wdzięcznie wspomina uznanie uczonych towarzystw, jakie mu w udziale przypadło. Tryumfy te jednak nie wbijają Wodzickiego w doktrynerską dumę i wyniosłość. Czuć w nim zawsze to głębokie przeświadczenie, że wszystkie honory uczone zawdzięcza swemu temperamentowi nawskróś myśliwskiemu, który go nauczył badać i podpatrywać zwyczaję dziczyzny wszelakiego rodzaju. Jedynie tylko w tym zakresie przebija się w nim duma starego, doświadczonego oraz przenikliwego myśliwca i, nie bez pewnego lekceważenia gabinetowych ornitologów opowiada, jak godzinami całemi zamienił się w szczura wodnego, aby podpatrzeć huczenie bąka, lub jak niedźwiedzice sięgały po jego czuprynę, chcąc na nim zdobyć indyjskie trofea.

Zapoznanie się z treścią „Zapisek ornitologicznych“ oddziaływać będzie zawsze jaknajkorzystniej na wykształcenie myśli-

wego i wpłynie niewątpliwie na uszlachetnienie tej namiętności. Reumann, przed pół wiekiem prawie, słusznie narzekał, że wykształcenie starych myśliwych polega jedynie na tem, aby umieli nabijać strzelbę i celnie strzelać; rezultatem zaś takiej edukacji musiało być wytrzebieenie zwierzyny i wypustoszenie lasów ⁵³). Tymczasem „Zapiski ornitologiczne starają się z myśliwego uczynić zabiegliwego gospodarza zwierzyny i wszczepić weń uczucia humanitarne zarówno, jak i estetyczne. Niewątpliwie też „Zapiski“ zwalczają i zwalczają będą wszelkie kłusownicze nawyknięcia, jakie się przechować zdołały w drużynie myśliwskiej naszego kraju i dla śpiewaków leśnych nie przestaną wyjednywać życzliwości, a dla zwierzyny, w czasie trosk rodzinnych i w epoce klęsk zimowych, łaskawej protekcji i opieki myśliwego. Cóż wreszcie nadmienić można o języku, jaki panuje w opisach żywota ptasiego? Słowacki napisał niegdyś:

„Chodzi mi o to, aby język prędkie
 Powiedział wszystko, co pomyśli głowa,
 A czasem był, jak piorun, jasny, prędkie,
 A czasem smętny, jako pieśń stepowa,
 A czasem, jako skarga nimfy, miętke,
 A czasem piękny, jak aniołów mowa.

⁵³) „Gospodarstwo łowieckie z historią starożytną łowiectwa polskiego“. Str. 2—3.

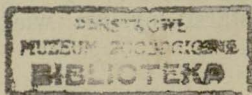
Aby przeleciał wszystko ducha skrzydłem.
 Strofa winna być taktem, nie wędzidłem,
 Z niej wszystko dobyć, zamglić ją tęsknotą,
 Potem z niej łyśkać błyskawicą cichą,
 Potem w promieniach ją okazać złotą.
 Potem nadętą dawnych przodków pychą,
 Potem ulepić z błota, jak pod strychem
 Gniazdo jaskółcze, przybite do drzewa,
 Co sobie słonku porannemu śpiewa“.

Otóż, Wodzickiego język ulepia nam z błota jaskółcze gniazda, szczebiocze szczęściem rodziców ptasich i szumi bojowem skrzydłem orłów i jastrzębi. „Zapiski“ obudzą też niechybnie w pamięci każdego myśliwego zamierzchłe łowieckie wspomnienia i wskrzeszą w jego wyobraźni ową wspańiałą i wiecznie odradzającą się naturę. Przytem i niejednego z myśliwych żal szczyry ogarnie, że już ów jedyny tom przygód łowieckich, na który życie się składa, dobiega do schyłku, a zgryzota przypomni mu, w chwili rozpamiętywań, każde morderstwo niepożyteczne, które lekkomyślnie okryło żałobą rodzinę śpiewaka leśnego, lub, co gorsza, skazało jego pisklęta na śmierć głodową. Aby jednak tej zgryzoty nie doznawały następne pokolenia myśliwych, trzeba, żeby pilnie czytały „Zapiski“ Wodzickiego; „bo gdy poznacie moje ptaszęta (jego słowa), to je pokochacie“.

Wszyscy starsi myśliwi wiedzą o tem

dobrze, ile przesądów, zabobonów i przywidzeń posiadali dawni kłusownicy i mimo-woli coś z tej tradycyjnej spuścizny każdy z nas przejął, choć się tego wypiera, a nawet głośno z niej natrzęsa i wyszydza. Przypominam jedynie cały szereg legend, dotyczących zmysłu przenikliwości u zwierząt, mocą którego np. wilk i lis wychodzą najczęściej na lichego myśliwego, którego lichotę zawietrzyć potrafią; że gołębiarz, towarzyszący myśliwemu, uderza na kuropatwę zawsze po dwóch danych strzałach, wiedząc, że ma już przed sobą pustą strzelbę i t. p. Otóż, czytając „Zapiski ornitologiczne“, uporczywie napływały mi do pamięci dawne łowieckie przesady i przywidzenia. Wyobrażałem sobie, że wiedzione dobrym instynktem ptaki, zawsze zatrzymywać się będą podczas wędrówek przylotnych i odlotnych nad grobowcem Kazimierza Wodzickiego, aby żalobnym śpiewem dziękować mu za uczucia życzliwości i opieki, jakie się starał dla nich wyjednać wśród myśliwskiej drużyny.

Dnia 16 kwietnia 1891.



Deotyma (Jadwiga Łuszczewska). Zwierciadłana zagadka, powieść	1 50
Dickens K. Klub Pickwicka, powieść, przełożona z angielskiego, 2 tomy. Lwów	1 50
Dickens i Collins W. Bez wyjścia, powieść, przełożył z angielskiego St. Boduszyński	— 90
Dumas Aleks. Hrabia Monte Christo. Wydanie 2-gie, poprawione. 4 tomy. Lwów. (Rs. 6) zniż.	4 —
— (syn). Dama w perłach, powieść	1 20
Es-em-er. Starzy i nowi. Szkic powieściowy z niedalekiej przeszłości	1 —
Faleński Felicyan. Utwory powieściowe. Tom I	1 50
Treść: Z daleka i z bliska.—Na schyłku starego roku.—Strzępy dawnej okazałości.—Świetne widoki pani Marcinowej.—Bez służby.	
Feuillet O. Historia jednej paryżanki, powieść z franc. (kop. 80) zniż.	— 30
Fothergill J. Po krwi i duchu, powieść, przeł. z ang.	1 —
— Walka ducha, powieść, przekł. z ang. K. Dalewskiej	1 20
Gamaston. Fata Morgana, opowiadanie ze wspomnień szkolnych.	1 20
Geniusz, powieść z niemieckiego, przełożył W. Stebelski	— 40
Gliński Henryk. Tylko doktor! Szkic powieściowy.	— 70
Gomulicki W. Róże i osty. Nowele, obrazki, szkice. Serya I	1 50
Treść: Prawo Malthusa. — Beppo. — Staruszek z Tamki. — Mucha. — Potrawka z gołębi. — Co widział promień wiosennego słońca. — Gadająca brzoza. — Grzech śmiertelny. — Pisarz z Ratusza. — Trzewiczki. — Na jednodominutowym przystanku. Pod parasolem.—Wszędzie oni!...—Mundur.	
Grudziński Stanisław. Nowele. Zamieć zimowa.—Koncert.—List bezimienny.—№ 2564. — Snieżyca.—Lala.—Okno na poddaszu	1 50
— Pod szczęśliwą gwiazdą, powieść obyczajowa.	— 75
Hahn-Hahn J. hr. Eudoksya, obraz z V wieku. Kraków	— 60
Harletta, powieść tłómaczona z angielskiego	— 60
Hodi T. Pan ślepy Paweł. Powieść	1 —
Hugo W. Han z Islandyi. Powieść, przełożył z francuskiego J. Tański. 3 tomy. Kalisz.	1 —
leske-Choiński T. Stłumione iskry, opowieść	— 90
leż T. T. Lat temu dwieście. Opowieść na tle dziejów Kroacyi	1 —
— Niezaradni, powieść	2 —
— Wnuk chorążego, powieść, 2 tomy	2 —

Jokaj M. Kobieta z morskimi oczyma. Powieść. Przekład z węgierskiego A. Callierowej	— 90
— Z Bo	2 —
Jordan. Gawędy	1 20
.	1 20
Kaczkowski Zygm. Abrahama Kitaj, powieść z czasów Króla Jana. 2 tomy	3 —
Konopnicka Marya. Moi znajomi. Nowele, 1890.	1 20
Treść: Martwa natura. — Urbanowa. — Morze. — Ksawery. — W starym młynie. — Moja cioteczka. — W winarskim forcie. — Józik Srokacz. — Maryśka. — Lalki moich dzieci. — Banasiowa. — Anusia. — Z cmentarzy.	
Kościalkowa Wila Z. W półcieniu, opowiadania i obrazki	1 50
Kosiakiewicz W. (Nowele). Druty telegraficzne.	1 20
Treść: Trzecią klasą. — Sarna. — Michałowa. — Pierwszy kwiatek. — Samobójstwo. — List. — Wyrok śmierci. — Bogaci wujostwo. — Pan sędzia pokoju. — Fräulein. — Wujaszek smok. — Ważne przedstawienie. — Ex-aktor. — Mój sąsiad. — Tylko dwa przedstawienia. — Majowe nabożeństwa.	
Kosiakiewicz W. (Nowele). Widmo	1 20
Treść: Środa. — Zakopane pieniądze. — Z dzienniczka kobiety. — Własną pracą. — Pietrek. — Bembo. — Literatura mojej żony. — Mama Crétien. — Powołanie. — Ze wspomnień autora dramaty cznego. — Bąk. — Niebieska sukmana.	



Biblioteka Muzeum i Inst. Zoologii PAN

K.6527



1000000015762